

KAZIMIERZ ORŁOŚ

CUDOWNA MELINA

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1973

CUDOWNA MELINA

KAZIMIERZ ORŁOŚ

« BIBLIOTEKA KULTURY »

TOM 227

CUDOWNA MELINA

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600-MAISONS-LAFFITTE

INSTITUT
PARYŻ



LITERACKI
1973

TEGOŻ AUTORA
U INNYCH WYDAWCÓW

Między brzegami, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1961.

Koniec zabawy, Czytelnik, Warszawa 1965 (Nagroda im. St. Piętkaka).

Ciemne drzewa, Czytelnik, Warszawa 1970 (Nagroda Fundacji Kościelskich w Genewie).

I. HONOROWY DAWCA KRWI

Mógł przyjechać do nas wieczorem, ostatnim autobusem, kiedy już sklepy były pozamykane. Spóźnieni goście wychodzili z „Obywatelskiej”. Na rynku pijani chłopcy śpiewali wsiadając do taksówek.

Postał koło autobusu chwilę — nie wiedział pewno dokąd iść. Może nie miał pieniędzy? Mógł wejść do poczekalni i tam przesiedzieć do rana.

Poczekalnia mieści się w starym, parterowym budynku (zaraz obok wąska uliczka skręca na plac targowy). Nad wejściem (skrzypiące, wahadłowe drzwi) napis: „Dworzec PKS — poczekalnia”. Po dwóch stronach białe tablice z rozkładem jazdy. Wewnątrz, wzdłuż ścian — ławki. Okienka kas zamknięte. Ostatnie autobusy przyjeżdżają do nas przed dwudziestą czwartą. Później, do piątej, cisza.

Usiadł w kącie, na szerokiej ławie o listwach, z których poschodziła farba. Podłoga była zaśmiecona (podarte papierowe torby, niedopałki, kromka suchego chleba). Błaznane spluwaczki stały pod ścianami. Przy drzwiach biało-czarny kosz pingwin. Obok stłuczona butelka z zielonego szkła. W przyćmionym świetle widział rozdarty plakat z połową hasła „Niech żyje...” i zaciśniętą na drzewcu pięść. Stare kobiety drzemały na ławkach. Głowy trzymały na szarych tobołach. Błaznane bańki stały

na podłodze. Słyszał spokojne oddechy. Przed „Obywatelską” śpiewali.

O północy mógł przyjść sierżant Olszewski z naszej Komendy. Wysoki — schylił się przestępując próg. Kobiety spały oddychając spokojnie. Olszewski obszedł poczekalnię naokoło — potrząsał każdą za ramię.

— Nie spać, nie spać, nie spać!

Kobiety, jedna po drugiej, siadały przecierając oczy. Rozglądały się nieprzytomnie. Olszewski powiedział surowo:

— Nie wolno spać. Nóg na ławkach nie trzymać.

Milczały. Któraś ziewnęła, inna pociągnęła nosem. Sierżant rozejrzał się, pogroził palcem:

— Niech no jeszcze zobaczą. Będzie mandat!

Wyszedł. Wahadłowe drzwi kołysały się chwilę skrzypiąc. Kobiety zaraz zaczęły układać się do snu. Tobały podkładały pod głowy, kuliły nogi. I znów słyszał: spokojne oddechy, skrzyp drzwi potrącanych wiatrem. Mógł w końcu sam zasnąć. Głowę położył na oparciu ławki — drzemał z otwartymi ustami.

W nocy, daleko szczekały psy.

A może przyjechał w południe, zatłoczonym autobusem, którym te same kobiety jechały na targ? Mógł wysiąść na rynku i stać chwilę patrząc na szary gmach Prezydium Rady Narodowej. Widział pewno odbicie nieba w szybach.

To miasto nie było duże. Zjeżdżali serpentynami w dół i daleko, w dolinie, zaświeciła w słońcu blacha na wieży kościoła. Widział domy, jak klocki, zakola rzeki, łuk mostu. Potem jechali wzdłuż łąk (stado bydła w chmurze pyłu szło do wodopoju). Pamiętał: baby w chustach jechały na targ, kurz z uchylonych okien, zaduch w autobusie, tłok, tobały, blaszane bańki z mlekiem i już był łuk drogi wysadzonej jesionami, ruiny zamku, domy, rynek, niskie akacje. Niebo w oknach Prezydium.

Potem Lenka, sekretarka przewodniczącego, powiedziała „proszę”, kiedy zapukał do drzwi. Dwa razy musiała powtarzać, nim wszedł. Wyglądał zwyczajnie: czterdziestoletni mężczyzna w zielonym ortalionowym płaszczu, poplamionym na rękawach, w tyrolskim kapeluszu, z teczką-aktówką z wytartego zamszu. Kołnierzyk koszuli miał brudny, widać było kawałek gumki od krawata.

— Taki spod budki z piwem — mogła pomyśleć Lenka.

Stefcia gońcówna (kleiła koperty przy stoliku pod oknem) patrzyła na niego w milczeniu. Zdjął kapelusz i wtedy zobaczyły, że jest trochę łysy i ma spoczone czoło.

— Czy jest przewodniczący Turoń?

— Nieobecny — powiedziała Lenka. Znów zaczęła segregować pisma przeznaczone do wysyłki. On stał w drzwiach przestępując z nogi na nogę. Patrzył na paprotki i pelargonie na parapecie. Za plecami Lenki gęsty bluszcz wspinał się na drewnianą kratę. Może patrzył na włosy dziewczyny? Były szare, jak futerko myszy. Na szyi Lenki podzwaniała szklana kolia.

— Pani pewno lubi kwiaty.

— Lenka uśmiechnęła się. — Owszem. A towarzyszy w jakiej sprawie?

Zakaszła. — Chciałem zobaczyć się z Heńkiem Turoniem. To mój kolega. Jeszcze ze szkolnej ławy.

— Ach, tak. Proszę, niech pan usiądzie. Stefciu, daj krzesło, albo proszę wejść do gabinetu. — Wstała i otworzyła drzwi obite skórą. — Niedługo powinien wrócić. Może herbaty?

Mężczyzna w ortalionowym płaszczu podziękował. Usiadł w fotelu, przy małym stoliku, obok wielkiej agawy w donicy. Na podłodze leżał czerwony dywan. Ze ścian patrzyły kamienne twarze. Ich odbicia widział w szklanej płycie na biurku. Posiedział chwilę, potem wstał, powiesił płaszcz i kapelusz przy drzwiach. Podeszedł do okna. Widać było dach budki z piwem między aka-

cjami. Naokoło stali mężczyźni. Słyszał przytłumiony gwar, śmiechy. Umorusany traktorzysta podnosił butelkę do ust. Zostawił silnik na wolnych obrotach — mężczyzna patrzył chwilę na dygocący traktor (z blaszanego komina strzelały w górę obłoki spalin). Ulicą przejechała milicyjna nyska z megafonem na dachu. Głośnik zahuczał: „Piesi, pamiętajcie o białych pasach!” Ci spod budki nie zwrócili uwagi. Pili. Powiew wiatru przyniósł zapach piwa.

Ktoś otworzył drzwi obite skórą. Mężczyzna odwrócił się, ale była to tylko Stefcia-gońcówna ze szklanką gorącej herbaty.

Lenka opowiadała potem maszynistce Stasi z Komitetu (siedziały w ogródku za domem, na plecionych krzesłach ustawionych pod jabłonką).

— Był u nas jeden gość, wiesz? Taki jakiś... — I zamyśliła się.

Jadły krem ubity przez Lenkę. Na małym stoliku, obok, stały szklane talerzyki, salaterka i rodzyнки w kamionkowej miseczce. Stasia często odwiedzała przyjaciółkę. Była młodsza, weselsza, twarz miała okrągłą. Chodziła w kolorowych spódniczkach-mini, choć nogi miała grube. Kiedy śmiała się, widać było dołki w policzkach.

— Madziu, Madziu, uważaj! — pogroziła koleżance palcem.

— Zasnął w fotelu, wiesz?

Przewodniczący cofnął się od drzwi. — Kto to? — spytał.

Mężczyzna spał z otwartymi ustami. Widać było zarośnięte policzki, rękę trzymał bezwładnie opuszczoną.

— Pana kolega — wyjaśniła Lenka. — Czeką już dwie godziny. Turoń zamknął drzwi. Pochylił się nad śpiącym, mógł lekko potrząsnąć za ramię.

— Andrzej Muszyna — powiedział, kiedy gość otworzył oczy.

Tej rozmowy Lenka nie słyszała, choć dwa razy wchodziła do gabinetu. Zabrała pustą szklankę, potem kładła na biurku teczkę z korespondencją.

Może nie wiedział, co mówić? Przewodniczący — w jasnym garniturze z tropiku, opalony, przystojny — pewno go onieśmiał. Zapalili. Turoń usiadł za biurkiem. Na placu hałasował traktor.

— Heniu — mógł zacząć — Heniu...

— Wal śmiało, stary.

— Czasem tak jest w życiu...

— Nie wychodzi, co?

Zakaszłał, ręką potarł policzek. Słyszeli gwar spod budki z piwem.

— Pisali o tobie w gazecie. Nowy pan przewodniczący! Myślałem...

— Czytujesz prowincjonalną prasę?

— Gdzie ja nie byłem, stary. — Pokiwał głową.

Przewodniczący spytał ciszej: — Siedziałeś ostatnio?

— Krótko. Niecały rok.

— Co to było?

— Książeczki — westchnął.

— Kiedyś, podobno, miałeś niedobory w kasie. Lewandowski pisał. To prawda?

— Dawno, dawno.

— Co z żoną?

Wzruszył ramionami.

— Pijesz?

Nie odpowiedział. Turoń patrzył na jego znoszoną marynarkę, krawat na gumce, zakurzone buty.

— Masz może dowód, legitymację? — Wyciągnął rękę.

Muszyna krzywiąc się (dym z papierosa gryzł go w oczy) szukał chwilę w starym portfelu. Wstał, żeby podać kartonik w plastikowej okładce. Przewodniczący rzucił okiem, oddał zaraz.

— Ładnie. Honorowy dawca krwi. I nic więcej?

— Nic. — Usiadł z powrotem w fotelu. Może milczeli chwilę? Za oknem hałasował traktor.

— Co z tobą, Madziu? — pytała Stasia. — Mówiłaś, że nieciekawo: łysy, brudny, w poplamionym płaszczu.

Lenka próbowała tłumaczyć: — Miał takie oczy, wiesz?

— Jakie oczy?

— Szare.

Ale Stasia tylko śmiała się.

Kiedy wychodził z gabinetu przewodniczącego, sekretarka uniosła głowę. Zadzwońiła cicho szklana kolia.

— Już pan wyjeżdża?

Muszyna pocałował dziewczynę w rękę. — Do widzenia! Mam nadzieję, że nie.

Wyszedł. Została po nim brudna szklanka, kilka niedopałków w popielniczce i nieodkryte drzwi na korytarz. Lenka siedziała w kwiatkach — pelargonie na parapecie, paprotki, gęsty bluszcz na drewnianej kracie. Odgarnęła z czoła włosy, spojrzała w okno.

Muszyna wypił piwo przed budką i poszedł wzdłuż niskich akacji do parku. Siedział jakiś czas na ławce, niedaleko pomnika Kościuszki. Naczelnik trzymał uniesioną szablę (na klindze ślady ptasiego kału, twarz Kościuszki szara, jakby umęczona). Spał trochę nad rzeką, w wiklinowych zaroślach — zszedł w dół, z wysokiej skarpy za ruinami zamku, na łąkę, gdzie rosły arniki i gęsi z sykiem uciekały spod nóg. Spał z teczką pod głową, przykryty ortalionowym płaszczem, wiklinowe gałązki chwiały się poruszone wiatrem. Pachniało rzeką.

Potem wrócił do miasta i do szóstej przesiedział w restauracji „Obywatelska” przy rynku.

Inwalida Franek Słomkiewicz (lat dwadzieścia jeden, niedowład lewej nogi na skutek skomplikowanego złamania kości podudzia i zmiążdżenia rzepki kolanowej)

siedział sam przy stoliku, z którego kelner Ludwiś nie zdążył jeszcze posprzątać. Franek był trochę pijany, dlatego wybierając stolik nie zwrócił uwagi na puste butelki po wódce i oranżadzie, na wpół opróżnione kieliszki, talerze z resztkami sałatki z zielonych pomidorów i pełną niedopałków popielniczkę (część niedopałków leżała na stole). Siedział podpierając głowę pięścią, laskę powiesił na oparciu krzesła i za każdym razem, kiedy Ludwiś przechodził obok, powtarzał:

— Panie Ludwiś, pozwól pan na chwilę!

Ale kelner Ludwiś nie zwracał na Franka uwagi. Franek przysypiał, potem jakieś głośniejsze słowo obok budziło go, rozglądał się po zadymionej sali, unosił nieco z krzesła i wołał:

— Panie Ludwiś, pozwól pan!

I znów Ludwiś (brudny biały kitel, niedomyte paznokcie, jęczmień na oku) mijał go w milczeniu, Franek osuwał się na krzesło, głowa opadała, zamykał oczy.

Muszynę zaczął pierwszy: — Panie nieznajomy, uprzejmie proszę! — (Muszyna rozglądał się za wolnym stolikiem). — Pan łaskawy spocznie.

Potem zaraz zaczął opowiadać o swoim wypadku.

Rok minął niedawno, jak sekretarz Miedza, wracając z rybacówki służbową warszawą, potrącił niedaleko mostu pijanego Franka. Pijany szedł w dodatku nieprawidłową stroną. Franek twierdził, że było odwrotnie: to nie on był pijany, a sekretarz Miedza (mówił nawet, że widział w samochodzie dziewczynę) i nie on szedł nieprawidłowo, a sekretarz zjechał na pobocze, oslepił światłami i odrzucił ze złamaną nogą na bok. Potem uderzył w drzewo. Śledztwo, prowadzone przez porucznika Gontarskiego, pod nadzorem komendanta naszej MO majora Popielaka, wykazało bezpodstawność tych oskarżeń. („Wymieniony Słomkiewicz Franciszek w stanie nietrzeźwym szedł prawą stroną drogi i w chwili, kiedy samochód marki warszawa, prowadzony przez obywatela Miedzę Eugeniusza, mijał go, zatoczył się pod koła

wozu...” — odpowiedni fragment protokołu przesłuchań).

Franek przeleżał w szpitalu niecałe trzy tygodnie — dziewiętnastego dnia został wypisany. Chyba za wcześnie, bo kość nie zrosła się dobrze. Przyjęto go wprawdzie po dwóch dniach z powrotem (leżał później dwa miesiące), ale od tego czasu noga nie chciała się goić. Franek cierpiał bardzo, w dodatku po trzech miesiącach przyszło wymówienie z pracy (był listonoszem i jasne się stało dla kierownictwa urzędu, że z chorą nogą nie będzie mógł pracować). Później były także kłopoty z rentą, której ostatecznie nie dostał. Franek wracał do domu wieczorem — dawno już rozwiózł pocztę. W mieście załatwiał sprawy prywatne. („Od godziny siedemnastej trzydzieści do dwudziestej piętnaście przebywał wraz z ob.ob. Okrasą Stanisławem i Lewandowskim Zenonem w restauracji „Myśliwska” — zanotowano w protokole). Franek twierdził wprawdzie, że nie był w „Myśliwskiej” i nie pił w towarzystwie wyżej wymienionych, ale świadkowie podtrzymali sformułowania zawarte w protokole. Później na własną rękę dochodził sprawiedliwości: pisał skargi, zażalenia i odwołania, jeździł nawet do stolicy, do fali pięćdziesiąt sześć. Wszystkie jednak interwencje w jego sprawie skutecznie odpierano kilkoma fragmentami protokołu.

— I co, panie łaskawy? Powiesz pan, że jest sprawiedliwość na świecie? — spytał Muszynę, kiedy opowiedział wszystko.

Muszyna milczał. Przed chwilą zamówił kotlet schabowy i piwo. Kelner Ludwiś zatrzymał się w końcu koło nich i w milczeniu, stawiając na tacy brudne talerze i puste butelki oraz strzepując na podłogę niedopałki, wysłuchał zamówień.

— Ludwiś, kochany — powiedział Franek — jedno piwko dla mnie, bardzo proszę.

— Kto to jest ten Miedza? — spytał Muszyna.

Słomkiewicz odsunął się z krzesłem od stołu. — Kochany panie, skąd pan jesteś?

Muszyna wzruszył ramionami. — Nietutejszy, jasne.

Przy sąsiednim stoliku siedziało dwóch milicjantów i cywil w ciemnych okularach (młody, szczupły mężczyzna w szarym garniturze). Milicjanci nie zdjęli czapek. Później usiadł przy nich drugi cywil — tęgi, czerwony na twarzy mężczyzna. On jeden był pijany — cywil w okularach i milicjanci pili oranżadę. Mówili do tęgiego „kierownika”. Był to pracownik Prezydium — Rybaczynski, zwany Jasiem Flachą.

— Kierowniku — powiedział jeden z milicjantów — trzeba pójść do domu i przespać się.

Franek, kiedy opowiadał o wypadku, często zwracał się w ich stronę, jakby chciał, żeby milicjanci słyszeli. Teraz przechylił się i chwycił tęgiego za rękaw.

— Panie Jasiu, pozwól pan do nas na chwilę.

Tęgi zamrugnął powiekami. Był bardzo pijany — wstając wywrócił krzesło. — Ja bardzo przepraszam — powiedział do milicjantów.

Franek pomógł mu podnieść krzesło. — Siadaj pan, panie Jasiu i opowiedz temu gościowi o mnie. Tylko tak szczerze, jak bratu.

Tęgi podał Muszynie rękę. Chwilę nie mówił nic, potem pochylił się nad Frankiem i zaczął szeptać:

— Franiu, ja ciebie bardzo lubię, ale ja przecież nie wszystko mogę. Ja bardzo przepraszam — zwrócił się do Muszyny — zamienię z kolegą dwa słowa.

— Proszę, proszę — kiwnął głową Muszyna.

— Franiu — szeptał tęgi — wiesz sam, jak jest. Ty mówisz tak, protokół co innego. Myśleć to ja mogę tak, jak ty mówisz, ale mówić, to mogę tylko tak, jak jest napisane w protokole. Od tego są kompetentne czynniki, żeby napisały i pouczyły obywateli, co i jak! — Ostatnie zdanie powiedział głośno. — Dobrze mówię? — zwrócił się w stronę milicjantów.

Nie odpowiedzieli zajęci rozmową.

— A pan kolega, przepraszam, kto? — Jasiu popatrzył na obcego.

— Przyjezdny — powiedział Muszyna.

— Ja bardzo przepraszam, może to nieładnie wobec pana przyjezdnego, ale w jakiej na przykład sprawie?

— Prywatnej, prywatnej... — Muszyna odsunął pustą talerz. Dopił piwo i rozejrzał się za Ludwisiem.

Franek wyjął z kieszeni rozerwaną kopertę — rzucił na stół.

— Proszę, czytajcie! Czytajcie, jaka jest sprawiedliwość. Będę mówić głośno, tak jak jest. Nie boję się nikogo. — Popatrzył na milicjantów.

Jasiu Flacha pochylił głowę nad poplamioną serwetą.

— Czytaj, panie łaskawy, czytaj — Franek podsuwał Muszynie papier: — „W odpowiedzi na skargę obywatela zawiadamiamy uprzejmie, że otrzymaliśmy wyjaśnienie z Komitetu w...”

— Rozumiesz, panie łaskawy — mówił Franek — rozumiesz? Kto im posyła wyjaśnienie w mojej sprawie? No kto?

Muszyna nie odpowiedział. Zapłacił, podał Frankowi rękę.

Dwaj milicjanci także wstali i wyszli. Kelner Ludwiś zgarniał niedopałki do popielniczek, Jasiu Flacha spał z głową na brudnej serwecie. Pijacy bełkotali przy stolikach i dym wypełniał obie sale „Obywatelskiej”.

Muszyna stał jakiś czas przed restauracją. Wdychał czyste powietrze i patrzył na drobne liście akacji. Drżały lekko na wietrze.

Kilka minut po szóstej zapukał do drzwi Turoniów. Mieszkali w nowym bloku przy ulicy Projektowanej za miastem. Na klatce schodowej pachniało olejną farbą. Turoń był sam — w koszuli z podwiniętymi rękawami, przepasany fartuchem, w rannych pantoflach. Wydawał się trochę zmęczony — wyglądał inaczej niż rano (pewny

siebie w tym jasnym garniturze). Prosił, żeby Muszyna czuł się swobodnie.

— Wybacz, stary, mam dyżur. Żona poszła do miasta.

Wprowadził gościa do dużego pokoju z balkonem. Obok, w małym, płakało dziecko. Henryk kończył pranie pieluszek w łazience. Czasem zaglądał do kuchni, żeby pomieszać kaszkę.

Siedzieli później przy okrągłym stole (pachniały narcyze, z dworu wiało chłodem). Turoń kołysał wózkciem — starał się uspić dziecko. Póki nie zasnęło, mówili szeptem. Słychać było skrzyp źle naoliwionych kółek. Na ławkach nad rzeką odzywały się gęsi.

O Turoniach mówiono u nas różnie: dobrze i źle. Przyjechali przed rokiem — Myszka, żona Turonia, była w trzecim miesiącu ciąży. W pół roku później urodziła dziecko. Starszą dziewczynkę oddali do przedszkola. Z początku wiodło im się nieźle: ludzi mało znali, wrogów nie mieli. Zaraz, jako pierwsi, wprowadzili się do nowego bloku przy Projektowanej. On przewodniczył w Radzie, ona dostała etat kierowniczkę w Domu Kultury. Dopiero po kilku miesiącach stało się jasne, że nowy przewodniczący nie umie z ludźmi żyć.

— Ona, ta Myszka, nie można powiedzieć: dobra kobieta. Tylko on jakiś dziwny. Nieudany człowiek. Nie na ten czas.

Taka była o Turoniach opinia.

Wszystko zaczęło się od imienin. Ludzie dowiedzieli się, że obchodzi w lipcu — poszła do niego delegacja. Normalnie: kupili kwiatki, album, butelkę koniaku. A on nie przyjął.

— To są niedopuszczalne praktyki — powiedział podobno. — Jestem zdecydowanym wrogiem libacji w zakładach pracy. Proszę w przyszłości nigdy... — I tak dalej. Przez dziesięć minut mówił. Oni wszyscy (Lenka między innymi i Jasiu Flacha) czerwoni ze wstydu przestępowali z nogi na nogę. Kwiaty odesłał do przedszkola,

album do miejskiej biblioteki, a koniak po prostu zwrócił.

Odtąd w Prezydium musieli uważać. Trzeba było drzwi pokoiów zamykać na klucz podczas imienin. Warty na korytarzach ustawiali, do Lenki dzwonili, żeby dowiedzieć się, czy jest, albo kiedy wraca.

— Po prostu nieludzki człowiek.

Później pokłócił się z Miedzą. Z początku sekretarz — nie można powiedzieć — życzliwie do przewodniczącego podchodził. Na rybki nad jezioro zapraszał (Turoń powiedział, że nie łowi), na kolację z żoną, wydzwaniał często do Komitetu.

— Towarzyszu Henryku to, towarzyszu Henryku tamto...

Dopiero jak raz i drugi starli się na zebraniach (w Radzie i na posiedzeniu egzekutywy) — zmienił zdanie o przewodniczącym. Ostatnio po prostu patrzeć na niego nie może.

— Józek — skarży się czasem Gniazdowskiemu (dyrektorowi naszego szpitala) — ten człowiek do grobu mnie wpędzi. Jak z nim gadać? Nie pije, nie pali. Jak święty!

Nazwał Turonia Chrystuskim.

Zaczął się od kanalizacji. Jak wiadomo stare domy w rynku i tak zwanej drewnianej dzielnicy, nie są skanalizowane. Zimą ludzie wystają z wiadrami przed oblodzoną studnią. Ścieki płyną wąskimi kanalikami z bram. Cuchnie. Latem roje much obsiadają śmietniki. Są kłopoty z wywozem szamba z klozetów — nie ma u nas odpowiedniego wozu. Wywożą szambo furmankami — wyziewy wiszą nad miastem. Turoń postarał się o dodatkowe pieniądze z Województwa — chciał wstawić roboty kanalizacyjne do planu. Miedza nie zgodził się.

— Najpierw trzeba wybudować kilka niezbędnych obiektów. Sklepy, pawilon meblarski, restaurację kategorii pierwszej. Po co kanalizacja? Damy im nowe mieszkania.

— Tych z drewnianej dzielnicy miano przesiedlać do bloków.

Turoń podniósł głos: — Ludzie żyją w niedopuszczalnych warunkach. Nie można tak! To wstyd. Co o nas turyści myślą, kiedy widzą te wozy z szambem? A restauracje mamy aż trzy. Po co nam jeszcze jedna? Żeby ludzi rozpijać?

Tak podobno na zebraniu egzekutywy powiedział.

— Głupi! — ludzie pukali palcem w czoło. — Kto to widział mówić, co ślina na język przyniesie? Zraził sobie sekretarza na amen!

Rzeczywiście — od tego czasu wiadomo było, że jeśli Turoń powie „tak”, to Miedza „nie”. I na odwrót. Każdą decyzję przewodniczącego łatwo było zmienić. Wystarczyło pójść do Komitetu.

— Papierowy przewodniczący — śmieli się chłopci.

Potem spierali się o wykorzystanie pieniędzy przeznaczonych na rozwój bazy turystyczno-sportowej. Turoń chciał boisko dla młodzieży budować i skocznię narciarską za miastem. Miedza uparł się przy restauracji z motelem. Zwłaszcza słów „motel” upodobał sobie i stale je powtarzał:

— Motel pierwszej kategorii postawimy!

Na to Turoń: — I znów wszyscy pijacy będą mieli Mekkę.

— Kogo? — spytał Miedza, ale przewodniczący nie wyjaśnił.

Sekretarz pomilczał chwilę (wszystko na ostatnim zebraniu): — W każdym razie na skocznię nie zgadzam się — oświadczył stanowczo.

O sporach i kłótniach dowiedziano się w Województwie.

— Nie myślcie, towarzysze — tłumaczył sekretarz — że nie chcieliśmy nowemu przewodniczącemu podać ręki. Wielokrotnie podejmowaliśmy inicjatywy w kierunku przełamania kryzysu. To bardzo trudny człowiek.

Fakt, że z początku chciał jak najlepiej.

— Towarzyszu Turoń, co wy tak na piechotkę? — pytał. — Służbowego samochodu nie macie?

Turoń co rano odprowadzał córkę Małgosię do przedszkola. Myszka niosła niemowlę do żłobka.

— To kłuło w oczy — powiedział do Muszyny teraz.

Flacha kiedyś przyszedł do nowego przewodniczącego: — Towarzyszu Turoń, przysłano mnie, żebym was spytał, czy czasem pieniążków nie potrzebujecie? Powiedzcie tylko słówko, a pieniążki się znajdą.

— Proszę wyjść — powiedział wtedy i przybladł.

Czy o tym opowiadał Muszynie? Przez otwarte drzwi balkonowe wiało chłodem. Pachniały narcyze.

— Coś ty, Heniu, taki romantyk? — śmiał się gość. — Jak dają, bierz, a kiedy możesz przymknąć oko, przymykaj. Z ludźmi trzeba umiejętnie, inaczej oni ciebie tak! — I pokazał kciukiem podłogę.

Turoń, kołyszając wózkami: — Pić trzeba, pić. Wtedy uznają cię za swego. A ja, widzisz, niepijący.

To prawda — nie lubił wódki. O sekretarzu ludzie mówili:

— Swój chłop. Potrafi wypić i krzyknie, kiedy potrzeba. A ten — jakiś taki... Za uprzejmy.

— Kierownik Rybaczyński na przykład! Nazwali go Flachą, bo mówi do interesantów: „postaw flaszkę, to pogadamy!” Inaczej nic nie załatwi.

Muszyna śmiał się: — Spróbuj, Heniu. Wódka reguluje żołądek.

Turoń nie odpowiedział. Może wtedy swój plan mu przedstawił? Wyszło na to, że nie Muszyna prosi o pomoc przewodniczącego, ale odwrotnie.

— Pomóż mi, Andrzej — mógł powiedzieć. — To moja ostatnia szansa.

Czy Muszyna zgodził się łatwo, czy kazał się prosić? Nikogo przy rozmowie nie było, tylko to śpiące dziecko. Przez uchylone drzwi na balkon widzeli, coraz ciemniejsze, wzgórze za rzeką. Jeszcze gęsi odzywały się na łąkach, wiało wieczornym chłodem. Zegar na kościelnej wieży

wybił siódmą, skrzypiały źle naoliwione kółka. I tak, pochyleni nad wózkiem, mogli ten plan uzgodnić.

Muszyna zgodził się na wszystko, bo co miał robić? Jasne. Wyglądał, jak ten najgorszy spod budki z piwem. Ani pieniędzy ani dokąd wracać. Dał się wciągnąć przewodniczącemu w jego nieczystą grę.

Wróciła Myszka — żona Henryka. Do ósmej miała dyżur w Domu Kultury. Drobna, szczupła — uśmiechnęła się do Muszyny serdecznie.

— Poznajcie się — powiedział Turoń. — Mój kolega.

Starsza córeczka Turoniów, Małgosia, usiadła ojcu na kolanach.

— Tatusiu, panu Wesołowskiemu zginął Cezar. Cały dzień go szukał.

— I co, znalazł?

— Nie, ale za to kotka mu zaniósłszy. Takiego małego, rudego.

Mężczyźni śmieli się. Myszka podała kolację na zielonych talerzach: kiełbasę w plasterkach, ser, sałatkę z rzodkiewek i groszku. Pili herbatę w wysokich szklankach. Pachniały narcyze, chleb był świeży. Turoń poweselał — śmiał się głośno. Wspominali szkołę, Muszyna opowiadał o Bolku Kopenhadze.

— Pamiętam, jak zrobił nas w konia. To z Kopenhagą poszliśmy na popijawę do „Rycerskiej”. Miał płacić, ale w pewnej chwili wyszedł do klozetu i stamtąd pewno, przez okienko, na ulicę. Czekaliśmy z jednym gościem do późna. Awantura była, nie mieliśmy grosza przy duszy.

— Cały Bolek, cały Bolek — śmiał się Henryk.

Kiedy za oknami pociemniało, Myszka zapaliła lampę. Abazur był słomiany — na ścianach zakołysały się płamy światła.

Późno było, kiedy poszli do Lenki. Mieszkała z matką, staruszką, na drugim końcu miasta. Szli krótszą drogą, przez pola.

— Na razie tam zamieszkasz, a potem zobaczymy — powiedział Turoń.

Muszyna milczał.

Rano przyszedł do Prezydium na zebranie Rady, które miało zacząć się o dziewiątej. Henryk czekał na niego w gabinecie. Muszyna zmienił się nie do poznania — Stefcia goścówna spojrzała zdziwiona. Był w sportowej marynarce (pożyczonej od Turonia), miał czystą koszulę i nowy krawat. Pachniał kremem Nivea. Na jego ramieniu wisiał aparat fotograficzny-lustrzanka (także własność Turonia).

— Witaj! — powiedział przewodniczący stając w drzwiach. Wprowadził Muszynę do gabinetu.

O dziewiątej wyszli na zebranie. Lenka wzięła plik kartek podaniowego papieru i poszła za nimi. Miała protokółować.

Zebrania Rady odbywają się u nas raz w miesiącu. Towarzysze radni omawiają najważniejsze sprawy naszego miasta. W sali konferencyjnej na parterze zebrało się całe prezydium. Był dyrektor szpitala Gniazdowski, inżynier Szafranek — kierownik Miejskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego, nauczyciel Szeląg i dyrektor gimnazjum Kwasiborski. Przyszła żona sekretarza Miedzy — Helenka — przewodnicząca miejscowego Koła Ligi Kobiet. Major Popielak, komendant naszej MO, rozmawiał z dyrektorem Fabryki Przetworów Owocowych — Kuleszą. Wszyscy palili. Architekt powiatowy Targowski papierosa z ustnikiem „Carmen”, inżynier Szafranek fajkę. Chmura dymu wisiała nad stołem.

Muszyna z Turoniem usiedli. Turoń miał przewodniczyć. Wyjął z płaskiej teczki notatnik, zaczął przeglądać. Lenka przysunęła mały stolik bliżej okna (i tu na parapetach stały paprotki). Muszyna uśmiechnął się do niej. Odgarnęła z czoła kosmyk mysich włosów. Położyła na stoliku plik kartek, zaczęła temperować ołówek.

Zebrani czekali kilka minut na sekretarza Miedzę. Wszedł w końcu zostawiając szeroko otwarte drzwi na korytarz (ktoś zerwał się i zamknął). Rozmowy przy stole zasłanym zielonym płótnem przycichły. Sekretarz obszedł stół różnym krokiem, sapiąc i wypinając brzuch. Był dużym, tęgim mężczyzną. Kołnierzyk niebieskiej koszuli miał wyłożony na klapy marynarki. Widać było szelki przytrzymujące spodnie. Niósł dużą skórzaną teczkę.

— Dzień dobry, towarzysze, dzień dobry! Dlaczego nie zaczynacie?

Usiadł na wolnym krześle, koło dyrektora Gniazdowskiego po drugiej stronie stołu — wyjął z teczki papiery. Potem zaczął nakładać okulary. Duży metalowy futerał położył na zielonym suknie. Chwilę było cicho — zebrani słyszeli tylko sapanie sekretarza i gwar spod budki z piwem za otwartymi oknami. Przez plac, jak wczoraj, przejechała milicyjna nyska.

— „Piesi, korzystajcie z białych pasów na jezdniach!” — zahuczał głośnik. Turoń wstał.

— Pozwólcie towarzysze, że zacznę od prezentacji mojego serdecznego przyjaciela, Andrzeja Muszyny. Kolega jest dziennikarzem, pracuje w centralnej prasie. Przyjechał do nas na kilka miesięcy, aby zapoznać się z terenem i naszymi problemami. Zamierza po powrocie napisać cykl reportaży, czy nawet książkę — tu przewodniczący pochylił się nad gościem — prawda, Andrzeju?

Wszyscy na nich patrzyli. Muszyna, trochę speszony, wstał i ukłonił się zebrany. Wydawało się, że zawadza mu aparat-lustrzanka przewieszony przez ramię.

— Tak jest — powiedział cicho. — Reportaże.

— Otóż — mówił Turoń uśmiechając się do radnych — kolega ma do nas prośbę. Chciałby uczestniczyć w dzisiejszym zebraniu, a także, ewentualnie, w następnych. Żywi nadzieję, że we wszystkich sprawach będziemy mu udzielać niezbędnych wyjaśnień. Czy tak, Andrzeju? — I znów pochylił się nad stołem.

— Owszem — powiedział cicho Muszyna. Spojrzał między głowami Miedzy i dyrektora Gniazdowskiego na Lenkę.

— Aby formalności stało się zadość — ciągnął Turoń — pozwól no, redaktorze, legitymację!

Muszyna podał Henrykowi kartonik w plastikowej okładce. Przewodniczący rzucił okiem, podniósł na chwilę do góry i powiedział:

— W porządku! — Zapytał jeszcze: — Czy towarzysze wyrażają zgodę?

Wszyscy w milczeniu patrzyli przed siebie. Tylko Miedza zakaszła: — Zgoda, zgoda!

— Dziękuję! — powiedział przewodniczący, a zaraz po nim, unosząc się z krzesła, powtórzył, jak echo, Muszyna: — Dziękuję.

Dalszy przebieg zebrania zilustruje najlepiej brudnopis protokołu Lenki. Zwykle, po zebraniach, przez kilka dni przepisywała protokoły na czysto. W kilku kopiach, które następnie wysyłała do zainteresowanych osób. Na kartkach brudnopisów notowała drobnym pismem wszystko, co zebrani mówili. Później, mniej ważne szczegóły, wykreślała. Na marginesach rysowała czasem kotki i zajączki, kobiece główki, a także (w nawiasach) pisała uwagi o wyglądzie zebranych i ich zachowaniu. Protokół dzisiejszego zebrania brzmiał, jak następuje:

„Po prezentacji redaktora Muszyny przewodniczący Turoń proponuje, aby najpierw rozpatrzone sprawy bieżące, a później węzłowe zagadnienia dotyczące podziału kredytów uzyskanych na rozwój bazy turystyczno-sportowej.

Zebrani w milczeniu wyrażają zgodę.

Jako pierwszy zabrał głos towarzysz Miedza Eugeniusz. Chciałby wiedzieć, dlaczego jeszcze nie jest gotowa trybuna przed budynkiem Prezydium? Za trzy dni pochód, a tu same deski leżą i niedokończony szkielet. Deski nie są należycie zabezpieczone — co to za bałaga-

niarska robota? (Jak zwykle: głośno i niegrzecznie! — uwaga Lenki).

Wyjaśnienie składa kierownik Wydziału Gospodarki Komunalnej towarzysz Rybaczyński. Sprawa trybuny wygląda tak: stolarz, właściciel prywatnego zakładu, obywatel Groszek Jan („jak wiecie, towarzysze, nie ma w naszym mieście państwowego zakładu stolarskiego”) odmawia wykonania trybuny, ponieważ twierdzi, że nie otrzymał właściwego materiału. Domaga się kantówki i desek trzeciej klasy. Poprzednio zaczął robić, a teraz robotę przerwał.

Przewodniczący Turoń: — Trzeba, towarzyszu Rybaczyński, zająć się tą sprawą osobiście i to natychmiast!

Towarzysz Miedza! — Groszek musi skończyć trybunę bez gadania! Co to za porządki, żeby stolarz dyktował nam warunki? Deski ma, niech robi!

Kierownik Rybaczyński obiecuje, że zajmie się energicznie sprawą. Zebrani przyjmują jego oświadczenie do wiadomości. Przewodniczący Turoń: — Panno Lenko, proszę zapisać!

Tyle sprawy bieżące. (Z dużej chmury mały deszcz! — na marginesie, koślawymi literami).

Przewodniczący Turoń prosi zebranych o ponowne zastanowienie się nad wykorzystaniem funduszy uzyskanych na rozwój bazy turystyczno-sportowej. Proponuje, żeby wybudować boisko dla młodzieży oraz skocznię narciarską, natomiast radzi zrezygnować z budowy jeszcze jednej restauracji.

Towarzysz Miedza przypomina, że już na poprzednich zebraniach zarysowały się różne opinie na ten temat. On ma wyrobione zdanie: uważa, że propozycja budowy restauracji z motelem jest najlepsza. Do restauracji będzie można zaangażować cygańską orkiestrę.

Stanowisko sekretarza popiera dyrektor Szafranek.

Przewodniczący Turoń: — Proponuję zastanowić się jeszcze nad tą sprawą, towarzysze. Są w naszym mieście dwie państwowe restauracje i jedna prywatna. Brak nam

za to wielu innych, potrzebniejszych obiektów. Nasza młodzież nie ma w ogóle boiska sportowego. Na górkach za miastem możemy wybudować wyciąg narciarski lub skocznię. Chodzi o rozwijanie w młodzieży zamiłowania do sportu, o odciążenie jej spod budek z piwem i włączenia się po ulicach.

Tu wtrąca pytanie redaktor Muszyna: — Przepraszam, towarzyszu przewodniczący, czy rzeczywiście nie ma u was boiska?

Turoń: — Nie ma naprawdę, towarzyszu redaktorze!

(Co tam Miedzunio tak pilnie notuje? — uwaga Lenki).

Sekretarz mówi, że sprawę można by przemyśleć: — Rzeczywiście, możemy jeszcze podyskutować. Czy do mnie tylko należy ostatnie słowo?

Proponuje odłożyć decyzję do następnego zebrania Rady. Zebrani w milczeniu przyjmują wniosek.

Major Popielak występuje z projektem radiofonizacji miasta. Megafony będą założone na co trzecim słupie trakcji oświetleniowej. Studio w budynku Komendy. Chodzi o możliwość pouczania i instruowania obywateli, jak mają zachowywać się w miejscach publicznych, na jezdniach, chodnikach i drogach. Poza tym, zdaniem majora, ludzie chętnie będą słuchać muzyki z płyt.

Przewodniczący Turoń protestuje. Mówi, że sam wprawdzie mieszka za miastem, ale sądzi, że ci co mieszkają w centrum, nie byłiby zadowoleni. Dość mamy hałasów. Chcemy w domach wypocząć w ciszy i spokoju!

— Muzyka, to hałas dla kolegi przewodniczącego? — pyta Popielak.

— Z głośnika, zawsze! — odpowiada Turoń.

Redaktorowi Muszynie wystarczy głośnik na dachu nyski. Jest u nas dopiero dwa dni i zna już wszystkie hasła na pamięć. (Dlaczego nikt się nie śmieje z dowcipu pana redaktora? — uwaga Lenki).

Przewodniczący Turoń: — Domyślam się, jaka ta

wasza muzyka będzie, towarzyszu majorze. Marsze, marsze!

Proponuje, żeby szczegółowe rozpatrzenie projektu komendanta odłożyć na później. Trzeba wysłuchać opinii mieszkańców okolicznych domów.

Zebrani w milczeniu przyjmują propozycję.

Ostatnia część zebrania — wolne wnioski. Prosi o głos nauczyciel Szeląg Mieczysław. Ma wątpliwości, co do udziału w uroczystościach obywatela Wesołowskiego Franciszka — byłego hallerczyka. Obywatel Wesołowski, jego zdaniem, jest weteranem obcym klasowo i nie powinien stać na trybunie obok takich towarzyszy, jak sekretarz Miedza, dyrektor Gniazdowski, czy towarzysz Kotula z Województwa.

Zebrani nie wypowiadają się w tej sprawie. Towarzysz Miedza pyta, kto to jest Wesołowski? Wyjaśnia kierownik Rybaczyński:

— Ob. Wesołowski Franciszek jest starszkiem-emerytem. Ma siedemdziesiąt dziewięć lat, mieszka przy ulicy Projektowanej. Co roku wysyłane jest do niego zaproszenie na trybunę honorową. Był żołnierzem armii generała Hallera. Przed wojną stał na trybunie podczas święta Trzeciego Maja. Dlatego przyzwyczyił się.

Miedza (kaszląc): — Acha!

Przewodniczący Turoń: — Sprawa starszka Wesołowskiego jest rozpatrywana co roku od nowa. Może towarzysze raz na zawsze postanowią: „tak”, albo „nie”? Po co tracić niepotrzebnie czas?

Przewodniczący głośuje za „tak”. Wesołowski ma siedemdziesiąt dziewięć lat. Komu przeszkadza jego niebieski mundur?

— Nie dzielmy weteranów na swoich i obcych klasowo, towarzysze.

Zebrani milczą nadal. Przewodniczący mówi: — Proszę zanotować: „Wyrażono zgodę na udział starszka Wesołowskiego w obchodach”.

Niżej Lenka napisała dużymi literami: „Na tym zebraniu zakończono”. I postawiła wykrzyknik.

Radni zaczęli podnosić się z krzesel. Do Muszyny podszedł sekretarz Miedza (po drodze zapinał żółtą teczkę).

— Serdecznie witam, towarzysza redaktora! Kiedy wpadniecie do Komitetu? Zawsze dla was będę miał czas, pamiętajcie! — Wyciągnął dużą rękę.

— Jeszcze go drzwiami będziecie wyrzucać, a on wejdzie oknem! — zażartował Turoń.

Miedza śmiał się: — Porywam wam redaktora, a wy nic? — I do Muszyny: — Może jutro wpadniecie?

Umówili się na dziesiątą. Redaktor zapisał godzinę w notesie. Rozmawiali jeszcze chwilę stojąc nad zielonym sukniem. Zebrani powoli opuszczali salę.

— Józek! — zawołał sekretarz do dyrektora Gniazdowskiego. — Zaczekaj! — Pożegnał się i wyszedł. Słychać było na korytarzu tubalny głos i śmiech.

Turoń uderzył Muszynę po ramieniu: — No co? Rekin połknął haczyk!

Roześmieli się głośno, aż Lenka (ona jedna została w pustej sali) zdziwiona uniosła głowę. „Piesi, przechodźcie jezdnię po białych pasach!” — zahuczał na placu radiowóz.

II. „BARDZO PRZEPRASZAM, PANNÓ LENKO...”

Lenka klęczała na krześle przystawionym do parapetu i wyglądała oknem. Z ulicy widać było jej twarz między łodygami kwitnących pelargonii. Domek, w którym mieszkają z matką, jest drewniany, niski. Okna są niewysoko nad chodnikiem. Lenka patrzyła czy z dołu, od strony miasta, ktoś nie nadchodzi. Ale był już wieczór — ta uliczka najczęściej jest pusta i teraz nie szedł nikt.

W pokoju wynajętym Muszynie czekała kolacja: kanapki z szynką i żółtym serem, rzodkiewki, pusty talerzyk przygotowany na jajecznicę i filiżanka na kawę. W małym porcelanowym dzbanuszką stała śmietanka.

Lenka co pewien czas podrzucała pod blachę, żeby woda nie przestała się gotować. Potem wracała na krzesło, rozchylała łodygi pelargonii i patrzyła na ulicę. Powoli zapadał zmierzch.

Muszyna do czternastej przesiedział w gabinecie Turonia. Rozmawiali o jutrzejszej wizycie u Miedzy. Przygotowali plan rozmowy.

— Pochodź dziś trochę po ulicach — powiedział Henryk. — Niech cię ludzie widzą.

Kilka minut po drugiej przybiegł zdyszany kierownik Rybaczyński.

— Panie przewodniczący, ja nie dojdę do ładu z tym starym! Daję mu nowe deski, a on mówi, że nie przyjmie, bo to piąta klasa. Krzyczy o łaty i kantówkę... Jak Boga kocham — nie skończy trybuny na czas!

Turoń zaraz wstał i poszli do Groszka. Stolarz mieszkał za rynkiem. Zaczynały się tam niskie parterowe domy w ogrodach. Jeden z takich domów zajmował Groszek z rodziną — pięć osób. Stary z żoną, ich syn, synowa i wnuk. Syn był kierowcą w POM-ie, wnuk chodził do dziesiątej klasy. W szopie, za domem, Groszek miał prywatny warsztat. Robił na zamówienie meble i trumny. Był już starym człowiekiem, ale trzymał się dobrze. Siwy, trochę przygarbiony, najczęściej milczał.

Koło domu był spory sad. O część działki, na której rosły drzewa, Groszek procesował się z powiatowym architektem — Targowskim. Chcieli w tym miejscu wybudować publiczny szalet.

Kiedy Turoń z Muszyną przyszli, akurat jadł obiad. Siedział nad talerzem zupy, przy stole z brzoźowych bierwion, w ogrodzie, pod pnem włoskiego orzecha.

— Panie Janie — powiedział Turoń — co ja słyszę? Trybuny nie chce pan budować? — Podał staremu rękę.

Groszek nie podniósł się i nie poprosił, żeby usiedli.

— A co oni myślą? — zapytał (zaimka „oni” używał bardzo często). — Niech mi dadzą dobry materiał, to będę robił! Leluchowicz płyty pilśniaki na dekorację dostał, dlaczego mnie nie dadzą porządnych desek? Bez kantówki też nic nie będzie.

— Panie Janie — mówił Turoń — za dwa dni święto! Zrobi pan i z niczego, jak zechce!

Groszek wzruszył ramionami. Z domu wybiegła siwa kobieta w fartuchu. Ręce miała zawalane mąką.

— Proszę, proszę — mówiła wycierając dłonie o fartuch. — Siadajcie mili panowie, siadajcie! Jańciu, dlaczego nie prosisz, żeby pan przewodniczący usiadł? Może herbatki?

Turoń podziękował. — Niech pani namówi męża, żeby skończył trybunę. Święto nam chce popsuć, taki uparty!

Stary zdenerwował się nagle: — Jak Groszka chcą uderzyć, to nie patrzą wtedy na nic i nie pytają. Czyj to pomysł, żeby tu, na tej ziemi — wstał i tupnął nogą — budować publiczny wychodek? Ich, ich! — pokazał Turoń palcem. — A potem jak trwoga to do Boga! Buduj Groszek trybunę! Z czego, z czego, pytam? Z powietrza?

— Cicho, cicho! — mówiła Groszkowa. — Nie denerwuj się. Jańciu. Pan przewodniczący to dobry człowiek.

— Wszyscy oni dobrzy. Dla siebie.

— Pan wie, panie Janie, że tego projektu z szaletem nie popieram — powiedział Turoń. — Jak mnie wyrzuca z powodu trybuny, to już na pewno szalet wybudują. Kto będzie Groszka bronił? — Zaśmiał się.

Stary sapał ze zdenerwowania. Odsunął na bok talerz. Zupa chlusnęła na stół.

— Dziwak, ale dobry człowiek — mówił Turoń, kiedy wracali. — Naraził się architekturze i teraz go niszcza. Miedza kazał postawić publiczny szalet w mieście. Słusznie, na pewno jest potrzebny. Architekci zaczęli się zastanawiać, gdzie szalet postawić i ktoś im podsunął pomysł, żeby na działce Groszka. Niedaleko rynku, wystarczy wyciąć kilka drzewek. Stary zaczął protestować. Pisał odwołania, skargi. Jeździł do architekta wojewódzkiego, sprowadzał komisje. Kolejno zapadały decyzje na „tak” i na „nie”. Ostatnia nie wiem jaka, pewno na „tak”, bo Groszek zły. A wszystko dlatego, że komuś nie dał łapówki, albo nie postawił pół litra, albo powiedział głośno, co myśli...

Doszli do rynku. Turoń śpieszył się do domu. — Cześć stary! Pamiętaj, co masz jutro mówić.

Obiad Muszyna zjadł w „Obywatelskiej”. Kelner Lu-

dwiś posadził go przy stoliku przykrytym białą serwetą, w sali za kotarą.

— Pan redaktor uprzejmie spocznie — powiedział. Przyjmując zamówienia powtarzał: — Służę uprzejmie, proszę uprzejmie! — Na koniec zapytał: — Jak smakował obiadek, redaktorowi?

Muszynie odbiło się głośno, kiedy wychodził z restauracji.

Siedział później oparty o pień drzewa nad skarpą i patrzył na rzekę. Świerki na wzgórzach po drugiej stronie były ciemne. Wolno płynęły obłoki.

Blisko ruin ułomny człowiek w pomarańczowej kamizelce robotnika drogowego pasł krowę. Był to Krzywy Stefan — zamiatacz ulic. Krowa należała do inżyniera Szafranka — dyrektora przedsiębiorstwa budowlanego. Żona Szafranka lubiła świeże mleko. Tego z mleczarni nie mogła pić.

— Nie wiadomo, co tam wrzucają do środka — mówiła. — Tak chociaż wiem, że własna krowa.

Ludzie w mieście śmieli się, że Stefan ma drugi etat (Szafranek płacił mu dwieście złotych miesięcznie). Ulice zamiatał rano, a potem pasł krowę. Wyprowadzał z małej obórki koło magazynów przedsiębiorstwa i pędził ulicami na łąki nad rzeką, albo na skarpe.

Dzieci wołały za nim: — Stefan, Stefan, zabiorą ci etat!

Ktoś nastraszył ułomnego, że z powodu krowy straci w Radzie etat zamiatacza ulic. Dlatego zachodził co pewien czas do urzędu zdejmował okrągłą czapkę i zaczynał niewyraźnie mówić. Wystarczyło powiedzieć, że nikt mu etatu nie zabierze i że do renty będzie pracował. Uspokajał się zaraz. Czasem tylko urzędnicy chcieli się pośmiać — udawali, że nie wiedzą, o co chodzi, pytali o krowę. Stefan zaczynał się denerwować, czerwienił, krzyczał, w końcu potrząsając pięściami wybiegał z urzędu.

Lenka czekała. Łokcie oparła na parapecie, patrzyła

w dół, na bzy za parkanami ogrodów. Zamyśliła się. Miała dwadzieścia pięć lat. Od siedmiu pracowała jako sekretarka w Prezydium. Przez ten czas zmieniano przewodniczących pięć razy. Lenka codziennie przed ósmą wychodziła z domu.

Po maturze chciała studiować biologię, ale nie została przyjęta. Jej chłopak, syn rzeźnika Rybarczyka, zaczął studiować na politechnice. Przestał przyjeżdżać do miasta. Jakiś czas pisała listy, potem zrezygnowała, bo odpowiedzi nie było. Stary Rybarczyk przestał odkładać cielęcinę jej matce, udawał, że Lenki nie widzi na ulicy. Kiedyś pojechała, żeby odebrać papiery z uczelni i poszła pod adres, jaki przepisała z ostatniej koperty. Drzwi otworzyła dziewczyna z dzieckiem na ręku. Lenka spytała o młodego Rybarczyka. Tamta zdziwiła się: — Męża nie ma w domu.

Minęło pięć lat i Lenka nie wyjeżdżała więcej z miasta. Była szczupła, niewysoka, mysie włosy rozczesywała codziennie przed lustrem. Nosiła czeską biżuterię, malowała rzęsy. Jej matka, kobieta już nie młoda, martwiła się, dlaczego córka nie wychodzi za męża.

— Może nie chce tych miejscowych kawalerów? — zwracała się ze zmartwienia sąsiadkom. — Prawda, dużego wyboru nie ma. A może czeka, że ten łajdak Rybarczyk wróci?

Lenka poruszyła się niespokojnie w oknie. Ktoś szedł ulicą koło płotów, zza których wychylały się bzy. Ale była to tylko stara kobieta, jej matka. Wracała z wieczornego nabożeństwa.

Historię Krzywego Stefana opowiedział Muszynie Flacha. Spotkali się na skarpie. Jasiu przyszedł po trawę dla królików. Jego syn, sześciolatek, ciągnął drewniany wózek.

— O, redaktor Muszyna! — ucieszył się Flacha. Od piątej do zmierzchu pili w „Obywatelskiej”. Mu-

szyna nie chciał iść z początku — wymawiał się zmęczeniem.

— Redaktorze kochany — prosił Rybaczyński — trzeba! Choć pół literka! — Odesłał chłopca do domu. — Matce powiedz, że przyjdę później! — krzyczał za nim.

Siedzieli w sali za kotarą, przy stole z czystą serwetą. Jasiu skarżył się na niskie zarobki.

— Taki Gniazdowski na przykład, ten zarabia! Tu bierze, tam... Willę postawił za skrobanki. Panie redaktorze, gdybym ja był wierzącym człowiekiem, moja noga nie powstałaby w jego domu... Wszystko tam krew niewinnych istotek! — Śmiał się, parskał śliną.

Muszyna odchyłał głowę. — A Turoń jaki jest? — zapytał. — Chwałą go ludzie?

Flacha pomilczał chwilę. — Uczciwy człowiek, na pewno. Ale żeby ludzki, taki co sam pożyje i da innym pożyć, to nie. Ja bardzo przepraszam, panie redaktorze. Mówię szczerze, jak jest.

Muszyna kiwał głową.

Flacha pochylał się nisko: — ja bardzo przepraszam — powtórzył — ale czy ten Turoń to nie jest?... — Palcami zamachał pod brodą.

Muszyna nie zrozumiał, potem zaczął się śmiać: — Co wy, Rybaczyński? Co wy gadacie?

Był już pijany. Sala naokoło zakołysała się, jak pokład statku. Wstał niezgrabnie — chciał wyjść za potrzebą.

Ubikacja była na zewnątrz, we wnęce muru okalającego ciemne podwórze (drogę pokazał Ludwiś). Drzwi nie domykały się, deska była pokryta kałem, na betonowej podłodze stała kałuża moczu. Ciężki zaduch wisiał w powietrzu.

Trochę później, kiedy już byli po imieniu (objęci ramionami całowali się długo nad stołem), Rybaczyński zapytał nagle:

— Andrzejku, a ty właściwie skąd?

— Z centrali — powiedział Muszyna.

— Ale tytuł, tytuł gazety.

Muszyna popatrzył na Jasia Flachę — na jego czerwoną twarz, wiśniową koszulę non-iron przepoconą pod pachami — i powiedział opryskliwie: — Coś ty taki ciekawy, Rybaczyński?

I wtedy, nie wiadomo dlaczego, Flacha przestraszył się.

— Ja bardzo przepraszam! — Chwycił Muszynę za rękę, potrząsnął silnie. — Bardzo przepraszam. Ja tylko tak, prywatnie, redaktor, mam nadzieję nie weźmie człowiekowi za złe! — Obejrzał się, stuknął kuflem o stół. — Ludwiś, Ludwiś, piwko dla redaktora!

Kiedy wychodzili, było ciemno.

Lenka czekała. Posłała łóżko, swoje i matki, w dużym pokoju za kuchnią. Rzadziej już wyglądała oknem. Ulica między parterowymi domkami była pusta i ciemna. Czytała książkę przy stole, zjadły kolację. Trochę rozmawiały z matką.

— Kładź się. Późno — powtarzała stara kobieta.

Lenka udawała, że nie słyszy. Podchodziła do okna. Czuła na policzkach dotyk liści pelargonii. Nie widziała nikogo.

Sierżant Zenon Olszewski z Komendy Powiatowej — wielki, kościsty mężczyzna — objął służbę o godzinie dwudziestej pierwszej. Był znany z nieprzejednanej postawy wobec elementów chuligańskich, nieprzestrzegających porządku i dyscypliny w naszym mieście. Szczególnie zwracał uwagę na prawidłowe przechodzenie jezdni. Ludzie śmieli się, że dziennie zbiera sto mandatów. Sierżant nie patrzył przy tym z kim rozmawia. Znana była historia dyrektora Gniazdowskiego, od którego zażądał dziesięciu złotych. Kiedy Gniazdowski podniósł głos i zaczął krzyzczeć, Olszewski zagroził użyciem służ-

bowej pałki. Gniazdowski uspokoił się i zapłacił. Później kilkakrotnie interweniował u majora Popielaka. Major bezradnie rozkładał ręce:

— Nic wam nie poradzę, dyrektorze. Funkcjonariusz ma prawo.

Czasem potrafił być kłopotliwy. Na przykład zatrzymał kierowcę stara wyładowanego materiałami z budowy osiedla przy Projektowanej (między innymi: deski całówki i płytki PCV). Materiały były przewożone pod willę Miedzy, gdzie budowano garaż. Olszewski spisał protokół i złożył w Komendzie razem z wnioskiem o wszczęcie dochodzenia. Miedza stracił kilka dni na rozmowy z Popielakiem.

O dwudziestej pierwszej trzydzięci sierżant wyruszył w obchód (ręce założone do tyłu, pasek pod brodą, gumowa pałka na brzuchu). Minął park i wolno szedł w stronę rynku. Naprzeciw restauracji „Obywatelska” zauważył pijanego mężczyznę, który przechodził jezdnię w odległości kilku kroków od białych pasów. Olszewski użył służbowego gwizdka, a potem powiedział głośno:

— Obywatelu, pozwólcie!

Dalszy opis wypadków zawiera notatka służbowa sporządzona przez sierżanta w dyżurce Komendy.

„Na zwróconą uwagę wyżej wymieniony osobnik nie zareagował, natomiast odmówił stanowczo okazania dowodu osobistego i zapłacenia mandatu. Następnie, stojąc w rozkroku, rozpoczął załatwianie czynności fizjologicznej. W tym momencie zbliżył się znany mi osobiście obywatel Rybaczyński Jan — kierownik Wydziału Gospodarki Komunalnej miejscowej RN — także w stanie nietrzeźwym. Obywatel Rybaczyński oświadczył, że „szykanuję ludzi pracy” oraz zażądał pozostawienia w spokoju „redaktora z prasy centralnej”. Rozmowę prowadził w tonie agresywnym. Na zwróconą uwagę, że on sam również przeszedł nieprawidłowo jezdnię, w związku z czym winien zapłacić mandat, odpowiedział śmiechem. Po załatwieniu potrzeby fizjologicznej pijany osobnik,

podtrzymywany przez obywatela Rybaczyńskiego, zaczął oddalać się z miejsca naruszenia przepisów. Wobec takiej postawy wyżej wymienionego zmuszony byłem zastosować przymus fizyczny, a to celem doprowadzenia do izby zatrzymań. Obywatel Rybaczyński, mimo kilkakrotnych wezwań, oddalił się w niewiadomym kierunku...”

Dopisanie kilku ostatnich zdań notatki przerwał Olszewskiemu telefon. Dzwonił major Popielak.

— Olszewski — powiedział krótko — proszę zwolnić człowieka, którego zatrzymaliście pod „Obywatelską”.

— Obywatelu majorze... — zaczął sierżant.

— Zwolnić! — powtórzył major i odłożył słuchawkę.

Olszewski był niezadowolony. Odczekał kilka minut spodziewając się, że major zmieni zdanie, potem niechętnie wydał polecenie dyżurnemu funkcjonariuszowi.

Muszyna spał na ławce w celi obok dyżurki. Otworzył oczy, kiedy milicjant potrząsnął go za ramię. Omalże nie upadł wstając. Funkcjonariusz oddał mu pasek, sznurówka, krawat i aparat-lustrzanekę. Wsadził krawat do kieszeni, wyszedł przed budynek Komendy i stał chwilę nie bardzo wiedząc dokąd iść. Chwiał się — musiał chwycić za balustradę przy schodach. Flacha czekał niedaleko Komendy.

— A co, nie mówiłem? — klepnął Muszynę po ramieniu. — Popielak to mądry gość!

Śpiewali wracając przez puste miasto. Ich głosy, trochę ochryple, słychać było daleko.

— „Rano, rano, raniusieńko, rano po rosie...”

Lenka jeszcze czekała. Matka piła herbatę przy stole w kuchni.

— Madziu — mówiła — dlaczego nie idziesz spać?

Dziewczyna uchyliła okno. Nasłuchiwała. Z dołu, od miasta, słychać było nierówny śpiew:

— „Wyganiała Kasia wołki...”

Tak, to wracał redaktor Muszyna. W rozpiętej koszuli, bez krawata, aparat-lustrzanka krzywo wisi na szyi. Długo stali z kierownikiem Rybaczyńskim naprzeciw niskiego okna. Kończyli nierówny śpiew:

— „Kasiu, Kasiu, Kasiuleńko, cóż za gości masz?”

Lenka stała za firanką. Widziała, jak na pożegnanie objęli się.

— Jasiu, nigdy ci nie zapomnę! — mamrotał Muszyna. — Pa, kochany, pa! — Cofał się w stronę drzwi.

W sieni potknął się o rower. Lenka wyjrzała z kuchni, ale zaraz cofnęła z powrotem.

— Ja bardzo przepraszam, panno Lenko! — powiedział Muszyna do zamkniętych drzwi. — Bardzo przepraszam!

Słysząc było, jak sprężyny jęknęły za ścianą, kiedy w ubraniu upadł na łóżko.

III. ŚWIĘTY JÓZEF NA SZPILCE

Sekretarz Miedza siedział w gabinecie na pierwszym piętrze. Budynek Komitetu stoi naprzeciw parku — okna były uchylone, ciepły powiew unosił muślinową firankę. Miedza powiesił marynarkę na oparciu fotela, siedział w rozpiętej koszuli z podwiniętymi rękawami.

Na ulicy, pod oknami, stała służbowa warszawa, w której drzemał kierowca Józik. Wystarczyło wychylić się przez okno i zawołać:

— Józik, chodź no tutaj!

Kierowca nie śpiesząc się wysiadał z wozu i szedł na górę po schodach wyłożonych czerwonym chodnikiem. Zwykle, w ciągu dnia, Miedza kilkakrotnie wzywał go w ten sposób. Potem wydawał różne polecenia:

— Pojedziesz po papierosy. — Albo: — Skocz, Józik, do domu. Żona czeka. — Józik woził sekretarzową na targ i do sklepów.

W lecie jeździli na ryby. Najczęściej jednak spędzał dzień w służbowym samochodzie. Czytał książeczki z serii z żółtym tygrysem, lub słuchał radia. Może dlatego rozleniwiał się ostatnio i zaniedbał? Golił co drugi dzień, nie oddawał żonie koszul do prania i przez okrągły rok chodził w tych samych, wypchanych na kolanach, spodniach. Miedza, wrażliwy na zapachy, uchylał podczas jazdy szybę.

Dzisiaj od ósmej (zbliżała się już dziesiąta) Józik siedział w warszawie. Sekretarz zamówił telefon do Województwa i czekał na rozmowę. Nie lubił niezapowiedzianych odwiedzin — dlatego co pewien czas starał się upewnić, czy któryś z towarzyszy nie wybiera się z wizytą. Nie lubił na przykład przyjazdów towarzysza Kmity, znajomego przewodniczącego Turonia (Miedza wiedział, że tylko dzięki stanowisku Kmity, Turonia nie przeniesiono gdzie indziej). Kmity nie łowił ryb i nie lubił pić koniaku. Zadawał natomiast pytania, na które często trudno było odpowiedzieć. Kiedy Miedza próbował odpowiadać wymijająco, towarzysz z Województwa przerywał ostro:

— Krótko, krótko, proszę. Tak, czy nie?

Czekając na połączenie, sekretarz kruszył tytoń.

Chodziło o chińską różę — dwumetrowy krzew w wielkiej donicy, pod którym, w kącie gabinetu, stał stolik i cztery klubowe fotele. Na jej liściach pojawiły się mszyce. Miedza zmartwił się bardzo (chińska róża, hibiscus, była przedmiotem jego szczególnej troski), dzwonił nawet do kierownika Wydziału Rolnictwa i Leśnictwa. Przesłali człowieka z aparatem do rozpryskiwania specjalnego płynu, ale sekretarz nie mógł znieść zapachu (preparat nieprzyjemnie cuchnął). Po dwóch dniach kazał sprzątacze Czesi zetrzeć płyn z liści. Mszyce zresztą nie ustąpiły. Helenka poradziła wówczas stary, stosowany jeszcze przez jej babkę, sposób: natarcie róży wywarem tytoniowym. Tytoń papierosowy (ewentualnie fajkowy) należało zalać wrzątkiem i tak zostawić przez noc. Czesia od ósmej trzymała czajnik na maszynie.

Zadzwoił telefon. Miedza chwycił słuchawkę, ale był to tylko profesor Kwasiborski, dyrektor liceum.

— Moje uszanowanie, towarzyszu sekretarzu. Przepraszam, że niepokoję od rana.

— Krótko, krótko, dyrektorze — powiedział sekretarz. — Czekam na połączenie.

— Chodzi o syna. Chłopiec zapuścił długie włosy,

wiecie, takie modne, do ramion. Trzeba żeby poszedł do fryzjera. Szkoła nie może tolerować hippiesów.

Sekretarz milczał chwilę. — Nie za ostro, dyrektorze? Młodzież musi się wyszumieć.

— Towarzyszu sekretarzu — nie ustępował dyrektor — to jest karygodne. Cała szkoła patrzy na waszego syna. Ja bardzo proszę: wpłynicie swoim autorytetem!

— No, dobrze, pogadam z nim. W każdym razie dziękuję za pryncypialną troskę, jaką wykazujecie. — Słowa „pryncypialny” i „troska” zajmowały w słowniku Miedzy ważne miejsca. — Macie tam gdzieś pod ręką towarzysza Szeląga?

— Szeląga? — powtórzył Kwasiborski. Chodziło o nauczyciela gimnastyki i prezesa Kółka Łowieckiego. Kwasiborski nie lubił Szeląga. Młodszy nauczyciel szykował się na objęcie po nim stanowiska. — Nie ma, towarzyszu sekretarzu. Prawdopodobnie na zajęciach. Zwołać?

— Nie, nie. Nic pilnego. Powiedźcie, żeby zadzwonił do mnie. — I Miedza bez pożegnania odłożył słuchawkę. Jakiś czas siedział zamyślony patrząc na muślinowe firanki. Nad nim, na ścianie, wisały kamienne twarze przywódców. W oszklonej szafie widać było kilka książek i ułożone starannie roczniki pism.

Weszła sprzątaczką Czesia z herbatą. — Można, towarzyszu sekretarzu?

Sekretarka Miedzy — Rybaczyńska (żona Jasia Flachy) — miała urlop macierzyński. W sekretariacie zastępowała ją maszynistka Stasia (przyjaciółka Lenki) — herbatę podawała jednak Czesia, u której, w komórce pod schodami, stała elektryczna maszyna i czajnik.

— Proszę, proszę. — Sekretarz odsunął na bok papier z kupką tytoniu.

Czesia była starą, siwą kobietą. Przed rokiem Miedza przypadkiem odkrył w komórce (sprzątaczką trzymała tam ścierki i szczotki) obrazek ze świętym Józefem przypięty do półki. Święty trzymał na rękach małego Pana

Jezusa. Miedza zdenerwował się bardzo i natychmiast kazał Czesi zdjąć obrazek. Później, co pewien czas, zaglądał do komórki. Z pobieżnych oględzin wynikało, że obrazka nie ma, ale Czesia mogła powiesić gdzie indziej. Sprawa ta, obok kłopotów z chińską różą, była również przedmiotem troski sekretarza.

— Niechby któryś z towarzyszy z Województwa zobaczył taką rzecz! — krzyczał czerwony ze złości. — Kto będzie świecił oczami: ja, czy wy?

Czesia przysięgała, że nigdy więcej obrazka nie zawiesi.

Miedza zaczął jeść śniadanie — odwinął zawinięte w bibułkę kanapki, przygotowane przez Helenkę i wysypał do herbaty cukier. W tym momencie Stasia-maszynistka otworzyła obite skórą drzwi.

— Towarzysz przewodniczący Turoń i jeszcze jakiś pan — powiedziała.

Miedza zerwał się. Wymijając biurko ruszył na spotkanie.

— Witamy, witamy — mówił rozkładając ręce. — Serdecznie prosimy redaktora! — Udał, że Turonia nie widzi.

Usiedli w fotelach pod chińską różą. Sekretarz wyjął z szafy butelkę radzieckiego koniaku, rozstawił kieliszki. Henryk odezwał się pierwszy.

— Wybaczcie, że was niepokoję. Przyszedłem w sprawie akordeonu.

Sekretarz jakby nie dosłyszał. — Kawy, redaktorze, napijcie się?

Muszyna podziękował.

Turoń mówił nie zrażony: — Dwa razy była u mnie delegacja Kółka Muzycznego z Domu Kultury. Proszę o akordeon, który pożyczycie w ubiegłym roku.

Miedza wzruszył ramionami. — Dlaczego nie przyjdą do mnie?

— Podobno przychodzili kilkakrotnie. Niestety, tak się składało, że nigdy nie mieliście czasu.

Chodziło o studwudziestobasowy akordeon Weltmeister wartości czternastu tysięcy złotych, który Dom Kultury zakupił dla Kółka Muzycznego. Miedza, po lipcowej akademii, poprosił Myszkę o wypożyczenie harmonii. Nauczył się grać jeszcze podczas wojny, w czterdziestym piątym roku. Znał kilka żołnierskich piosenek. Spodobała mu się gra harmonisty. Zabrał akordeon do rybacówki. Później, w czasie libacji nad jeziorem, instrument zaginął. Sam Miedza nie wiedział dobrze, co się stało: mógł wypaść z łodzi do wody, lub zostać na brzegu (pływając motorówką często przybijali do różnych miejsc). Minęło pół roku i ci z Kółka Muzycznego zaczęli prosić o zwrot akordeonu. Zwłaszcza niepokoił się harmonista Doma-radzki, uczeń ogniska muzycznego (pracował jako referent w POM-ie). Sytuacja była nieprzyjemna także dla Myszki, która osobiście wypożyczyła harmonię.

Miedza powiedział trochę opryskliwie: — Dobrze, dobrze, towarzyszu. Nie mówmy o drobiazgach. Przyślijcie muzykantów do mnie. No co tam, redaktorze? Jak wam się u nas podoba?

Muszyna cały czas pisał coś w notesie. Powiedział przerzucając kartki: — Towarzyszu sekretarzu, mam kilka pytań. Czy można od razu przystąpić?

Miedza śmiał się: — O, widzę, że towarzysz redaktor nie próżnuje. Proszę, proszę, pytajcie.

— Kto to jest Franek Słomkiewicz?

Miedza przestał się uśmiechać. Chwilę trwało milczenie — wyraźnie słychać było głosy z ulicy („Piesi, pamiętajcie o białych pasach!” — zahuczał radiowóz). Musłinowa firanka uniosła się lekko i opadła.

— Rozmawialiście z nim? — spytał sekretarz. I nie czekając na odpowiedź zaczął mówić: — Ten łobuz wygaduje niestworzone rzeczy! Był pijany, zatoczył się pod koła wozu. Trochę go poturbowało, a teraz ma żal do całego świata. Redaktorze kochany, gdzie on już nie pisał...

— Stracił podobno pracę.

— Jego własna wina.

— Nie ma renty.

Mało to ludzi nie ma renty? To znany na tutejszym terenie alkoholik. Za pijaństwo wyrzucili go z pracy. Chodził na dziwki, łajdaczył się!

— Jest inwalidą. Widziałem na własne oczy.

Miedza machnął ręką. Powiedział: — Towarzyszu redaktorze, co ten człowiek krwi mi napsuł, to szkoda słów! Nie mówmy o nim lepiej. Ja, przez niego, musiałem się wyrzec wiece czego? — pochylił się w stronę Muszyny: — W ogóle nie prowadzę wozu.

Muszyna notował pilnie. — Następne pytanie. Można?

Miedza podniósł kieliszek z koniakiem: — Wystygnie, wystygnie, redaktorze! — zażartował. Ręka mu lekko drżała.

Wypili.

— Z jakich funduszy i dla kogo został zbudowany ośrodek sportów wodnych nad jeziorem? Tak zwana rybacówka.

Sekretarz popatrzył na Turonia. Henryk śledził powolne opadanie muślinowej firanki. Wydawało się, że nie słucha.

— No, to tego... Z funduszy przeznaczonych na rozwój bazy turystycznej w mieście.

— Kto korzysta z ośrodka?

— Jakto kto? Wszyscy. Kto chce.

— Mówiono mi — Muszyna postukał długopisem w notes — że ośrodek traktujecie jak prywatną własność. Mało ludzi tam zagłada.

— Bzdury! — zachnął się Miedza. — Tak samo jak z tym Słomkiewiczem. Wierzycie plotkom, redaktorze?

— Towarzyszu sekretarzu — powiedział redaktor Muszyna — ja tu nikogo nie znam. Wasi ludzie tak mówią. Dlatego pytam.

Miedza zwrócił się do Henryka: — Pokażemy redak-

torowi nasz ośrodek, co towarzyszu Turoń? Możemy być dumni, że mamy taki obiekt.

— No ale w mieście boiska dla młodzieży nie ma — powiedział Henryk. — I prędko chyba nie będzie. Zabraliście fundusze przeznaczone na ten cel, żeby zbudować rybaczówkę.

— Naprawdę? — spytał redaktor. Znów coś zapisał w notesie.

Zadzwoił telefon. Sekretarz odstawił kieliszek i podbiegł do biurka.

— Jest Województwo — zameldowała telefonistka.

— Nareszcie, nareszcie! Halo! Czy jest towarzysz Kotula?

Kotula należał do towarzyszy najchętniej przez Miedzę przyjmowanych. Zwykle razem jechali do rybaczówki — obaj lubili łowić ryby. Niestety — akurat wyszedł z Komitetu. Miedza odłożył słuchawkę.

Turoń i Muszyna wstali.

— Pójdziemy już — powiedział redaktor. — Dziennikarskie obowiązki wzywają.

— Tak krótko? Tak krótko? — pytał sekretarz, ale nie nalegał, żeby zostali.

Muszyna zrobił zdjęcie — Miedza za biurkiem, na tle portretów na ścianie. Głośno strzeliła migawka. Po tem wyszli.

Sekretarz zamknął drzwi obite skórą i znów usiadł, tak jak go Muszyna sfotografował — ręce złożone na szklanej płycie, grymas zamiast uśmiechu. Patrzył nieruchomo przed siebie. Przed nim, na kartce białego papieru, leżała kupka tytoniu. Odetchnął głęboko, wstał, zawołał kierowcę i posłał po nowe papierosy.

Towarzysz Kotula zadzwonił kilka minut później. Sekretarka powtórzyła widocznie, że był telefon z powiatu.

— Co tam, towarzyszu Miedza? Macie coś do mnie? Sekretarz ucieszył się. Powiedział najserdeczniej, jak

tylko umiał: — Towarzyszu drogi, kiedy przyjdziecie na rybki? Czekamy na was!

Kotula milczał chwilę, potem fuknął: — Czy wy innych spraw na głowie nie macie? Co z wami? — Miał widocznie zły dzień.

Rozmowa skończyła się nieprzyjemnie — towarzysz z Województwa odłożył słuchawkę nie mówiąc „do widzenia”.

Wrócił Józik z papierosami i Miedza dopiero wtedy wybuchnął:

— Jak ty wyglądasz? Ogól się wreszcie przyzwoicie, wyprasuj spodnie! Daj żonie koszulę do prania!

Józik stał trochę zaskoczony niespodziewanym wybuchem sekretarza. Potem zszedł na dół, rozparł się wygodnie za kierownicą warszawy i zaczął czytać książeczkę z serii z żółtym tygrysem.

Wracając z Komitetu zatrzymali się przed trybuną naprzeciw frontowych drzwi Prezydium. Groszek, w granatowym kombinezonie (z tylnej kieszeni wystawała żółta stolarska miarka) dyrygował ustawianiem podłogi na drewnianych kobyłkach. Dzięki życzliwej postawie majora Pyzika (do którego i w tej sprawie dzwonił Rybaczynski) stolarz dostał do pomocy kilku aresztantów. Ludzie w szarych drelichach pracowali pod nadzorem więziennego strażnika — z pistoletem przewieszonym przez ramię stał obok i przyglądał się robocie.

Groszek podszedł do Turonia: — Panie przewodniczący, sam pan widzi, co to za praca. Deski za cienkie, kantówki nie ma. Nawet gwoździ zabrakło! — Machnął zniechęcony ręką.

— Brawo, panie Janie! Trybuna na pewno będzie na medal! — zażartował Turoń.

Stary zapalił. Ręce miał zawalane trocinami. Nie odezwał się więcej. Ludzie w szarych drelichach zaczęli ustawiać naokoło platformy obudowę z płyt pilśniaków. Był to pomysł plastyka — Leluchowicza. Groszek z po-

czątku protestował, potem — wiedząc, że nie starczy desek na obudowę ani choćby na osłonę mównicy — zrezygnował. Kazał tylko odpowiednio dopasować drewniane schodki.

Turoń i Muszyna weszli do Prezydium.

O czwartej trybuna była gotowa. Pracą ludzi w drelichach dyrygował osobiście magister Leluchowicz. Płyty pilśniaki, ustawione naokoło platformy, obito czerwonym płótnem. Z przodu przypięto szpilkami dwie wielkie jedyńki i słowo „MAJ” z kartonu. Za trybuną, na rzędzie wysokich masztów (ustawiono je również dzięki inicjatywie magistra), zawisły długie flagi. Kołysały się leniwie w podmuchach ciepłego wiatru.

Helenska, żona Miedzy, wyrzała na ganek w chwili, kiedy Józik zatrzymał warszawę przed furtką. Widziała, jak sekretarz sapiąc wysiada z wozu, zatrząskuje drzwiami i macha ręką, żeby Józik nie czekał. Skrzyknęły zawiasy furtki — Miedza w rozpiętej marynarce, z wypiętym brzuchem, w sandałach, z wielką teczką z żółtej skóry, szedł ścieżką, między rabatkami białych bratków w stronę ganku. Mniej więcej w połowie drogi musiał wyminać psa. Wielki dog arlekin drzemał leżąc na ścieżce.

— Co tam, Pajac, co tam? — spytał Miedza. Dog uniósł łeb i stuknął ogonem o ścieżkę.

Miedza stracił z psem kontakt od czasu, kiedy uderzył go kolbą dubeltówki na polowaniu. Pajac warknął groźnie, a później nie dał się wsadzić do samochodu. Wrócił do miasta sam, psim śwędem i odtąd nie słuchał nikogo. Reniek śmiał się, że ojciec trochę boi się psa. Pajac przychodził tylko na obiady i czasem, żeby wyspać się pod gankiem. Włączył się po całym mieście — można go było zobaczyć pod kościołem i w parku. Lubił tereny w pobliżu masarni, czasem kąpał się w rzece. Najczęściej przysiadł na rynku rozpędzając od czasu do czasu pijaków spod budki z piwem. Jeśli zaczepiali go.

— Jezus Maria, Geniusiu, piąta godzina, gdzie by-

łeś, dziecko? — zaczęła mówić sekretarzowa, kiedy Miedza był blisko ganku. — O wpół do szóstej mam zebranie! Spóźnię się. Obiad już zimny.

Miedza wyminął żonę w milczeniu. Poszedł do swego pokoju. Wrócił w gimnastycznej koszulce i w szelkach przytrzymujących niedopięte spodnie. Siedzieli w jadalnym: otwarte drzwi na taras, lśniąca posadzka, gałązka bzu w kryształowym wazonie. Helenka mówiła bez przerwy:

— Nie przysłałeś dziś kierowcy, chciałam pojechać na targ. Jak Rybaczyk nie odłożył mięsa, nie będziemy mieli na niedzielę. Dlaczego Józik nie przyjechał?

Miedza jadł w milczeniu. Rzeczywiście zapomniał przysłać Józka, który codziennie woził jego żonę na targ i do sklepów w rynku. Mógł sam domyśleć się i pojechać, ale Józik był z tych, co to nie upominani będą cały dzień drzemać w samochodzie i nie ruszą się z miejsca. A Miedza po prostu zapomniał. Zapomniał z powodu wizyty Turonia i Muszyny i telefonów z Województwa. To był zły dzień. Odstawił pusty talerz.

— Całe rano stałam nad dziewczynami w ogrodzie — mówiła Helenka — nóg nie czuję. Teraz jeszcze to zebranie. Dlaczego odesłałeś kierowcę?

— Jakie dziewczyny? — zainteresował się sekretarz.

— No, te z technikum ogrodniczego. Prosiłam, żeby przysłali kilka do pomocy. Skopały trochę grządek.

Miedza jadł schabowy kotlet.

— Reniek znów był na wagarach. Wiesz? Jak on wygląda? Dlaczego nie każesz mu pójść do fryzjera?

Sekretarz machnął widelcem. Powiedział z pełnymi ustami:

— Wiem. Kwasiborski dzwonił.

— Geniusiu, dziecko, tak nie można. Nie masz z nim żadnego kontaktu. On taki duży wyrósł. To już mężczyzna. — I Helenka odwróciła głowę.

— Herbaty — przypomniał Miedza.

Kobieta spojrzała na ścienny zegar. — Jezus Maria!

Kwadrans po. Spóźnię się na pewno. Weź, dziecko, herbatę sam. — Wstała i trzęsąc wielkim biustem wyszła z pokoju (zebrania Ligi Kobiet odbywały się raz w tygodniu, w budynku Komitetu; Helenka była przewodniczącą Koła).

Miedza został sam — siedział dłubiąc wykałaczką w zębach. Stały w małym srebrnym kubeczku obok wazonu z gałązką bzu. Patrzył na dwa plecione fotele na tarasie i na białą korę owocowych drzew.

— Reniek leżał z nogami na poręczy łóżka i czytał pismo „Radar”. Uczył się na pamięć słów angielskiej piosenki „Everybody love somebody sometimes”, której nuty i tekst (zapisany fonetycznie) wydrukowano w piśmie. Miedza zapukał cicho i wszedł do pokoju syna. Reniek nie zdjął nóg z poręczy ani nie przerwał nauki. Wyjrzał tylko na chwilę zza „Radaru”, popatrzył na ojca i z powrotem zasłonił się pismem. Miedza przysunął krzesło blisko łóżka i ciężko usiadł. Milczał jakiś czas, podczas gdy Reniek mamrotał z zamkniętymi oczami słowa piosenki: „Everybody love somebody sometimes...”

— Reniu — powiedział Miedza po upływie minuty. — Reniu — powtórzył głośniej.

Reniek położył „Radar” na brzuchu, skrzyżował ręce pod głową i popatrzył na ojca. Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i z łatwością dosięgał rękami sufitu. Nosił buty numer dwanaście.

— Reniu — powtórzył jeszcze raz sekretarz — posłuchaj, synu. Tak nie można.

— Co znowu — zapytał Reniek opryskliwie.

Miedza stropił się. Popatrzył na swoje wielkie ręce o grubych palcach. Zapiął niedopięty rozporek.

— Mama mówiła, że znów nie byłeś w szkole. Dzwonił do mnie dyrektor Kwasiborski...

— Kiedy ten stary wreszcie pójdzie na emeryturę? — przerwał Reniek. — On mnie wpędzi do grobu.

— Synu — zaczął Miedza po chwili — dyrektor

mówił o twoich włosach. Dlaczego nie pójdziesz do fryzjera?

— Kwasiborski nosi brodę. Ja mu nie każę golić.

— Reniu, Kwasiborski jest stary, niedługo już będzie uczył. Nie możesz dla świętego spokoju pójść do Jankowskiego? Zadzwoń do zakładu, jak chcesz. Powiem, żeby ładnie cię ostrzygł.

— Co mi tu ojciec truje? — powiedział Reniek. — Będę nosił długie włosy, póki mnie do woja nie wezmą. Jak wezmą, to sami zetną.

— Kiedyś — powiedział Miedza oglądając ręce — sam może będziesz poważnym człowiekiem, inżynierem, na stanowisku. Będziesz miał dom, dzieci. Wtedy zobaczysz, jak to ciężko, jak trudno żyć. — Zamilkł. Nie wiedział, co jeszcze powiedzieć.

— Niech mi tu ojciec nie truje — powtórzył Reniek. — Ja ojcu do polityki się nie wtrącam.

Miedza wstał. — Lekcje odrobiłeś?

Reniek nie odpowiedział. Znow zaczął czytać „Radar”. Mamrotał pod nosem angielskie słówka. Sekretarz stał nad synem i patrzył na jego długie nogi w wytartych amerykańskich dżinsach, zamszowe półbuty z frendzlami, wielkie kościste ręce, twarz pokrytą krostami i długie włosy, w sprawie których dzwonił dyrektor Kwasiborski. Zrobił krok w kierunku łóżka, jakby chciał pogłaskać Reńka po włosach. Nie dotknął jednak głowy syna, cofnął rękę i wyszedł cicho zamykając drzwi. Reniek słyszał, jak ojciec schodził po schodach na parter.

Zerwał się, przeciągnął dotykając rękami sufitu i podszedł do okna. Między rabatkami, na ścieżce wysypanej żwirem, leżał dog arlekin i drzemał w słońcu.

IV. DYREKTOR GNIAZDOWSKI

O dyrektorze Gniazdowskim mówiono u nas z uznaniem: — Ten kombinuje!

Przyjechał z Województwa i z miejsca objął funkcje kierownika Wydziału Zdrowia, dyrektora szpitala i naczelnika powiatowej przychodni. W willi, którą wybudował po dwóch latach, miał prywatny gabinet. Pacjentów przyjmował codziennie po południu — brał sto pięćdziesiąt złotych za pierwszą wizytę i po sto za następne. Był chirurgiem, ale leczył także jako internista, pediatra, a nawet ginekolog. Kobietom robił zabiegi po tysiąc pięćset i dwa. Kosztowało drożej, jeżeli ciąża była zaawansowana. Mówiono, że willę wybudował za te pieniądze. Fakt — kobiety przyjeżdżały do niego z kilku powiatów. Ludzie śmieli się, że gdyby potrafił, to leczyłby i zęby.

Pacjentów w przychodni traktował opryskliwie, często w ogóle nie chciał rozmawiać, póki nie przyjął w domu. Chętnie wtedy zapisywał lekarstwa z trzydziestoprocentową zniżką.

— Wypróbowany towarzysz — mówił o nim Miedza.

Pewno — zawsze był pierwszy za stołami prezydialnymi, podczas uroczystości i świąt państwowych. Potrafił mówić bez kartki, a wydawało się, że czyta z gazety.

Najgorzej narzekali ci, co trafili do szpitala. Wiado-

mo było, że Gniazdowski nie zrobi nic, póki nie dostanie choćby brudasa w kopercie. Zresztą i to często było za mało. Trudniejsze operacje kosztowały drożej — brał nawet po kilka tysięcy. Zwykle po przyjęciu chorego nie robił nic, póki nie zgłosił się ktoś z rodziny. Mówił wtedy, że w szpitalu nie ma czasu na rozmowę i wyznaczał wizytę w domu. Tam tłumaczył, jak trudna jest operacja, ilu wymaga przygotowań, stosowania zagranicznych leków i tak dalej, a w końcu wprost wymieniał cenę. Ludzie płacili.

Znana była historia kobiety ze złamanymi nogami. Przywiózł ją brat ze wsi przy granicy — jechali wozem dwadzieścia kilometrów. Kobieta wchodziła po drabinie na poddasze stodoły. Szczebble były spróchniałe, załamały się pod nią i spadła na betonową podłogę. Była niemową — brat trzymał ją do pomocy w gospodarstwie. Miała podobno nieślubne dziecko. Zachowywała się spokojnie, pojękiwała tylko cicho przez całą drogę. Przyjechali pod wieczór — czekali jeszcze w izbie przyjęć dwie godziny. Ponieważ sale były pełne, dostała łóżko na korytarzu. Następnego dnia Gniazdowski zatrzymał się przy niej, obejrzał nogi, powiedział coś o skomplikowanym złamaniu, potem zapytał:

— Ktoś z rodziny jest?

Kobieta zabełkotała niewyraźnie — nie umiała mówić. Pielęgniarki za plecami Gniazdowskiego stały w milczeniu. Chirurg przyjrzał się kobiecie uważniej. Wzruszył ramionami i odszedł. Przez kilka następnych dni wydawało się, że zapomniał o niej. Mijał łóżko w korytarzu obojętnie, jakby niemowy z połamanymi nogami nie było. Kobieta unosiła się na łokciach i patrzyła za nim. Nogi bolały ją bardzo — w nocy nie mogła spać. Pod kolanami wystąpiły obrzęki, skóra była pokryta ciemnymi plamami. Brat zajął do szpitala dopiero po tygodniu. Przeszaskał się, kiedy zobaczył nogi siostry. Zaraz poszedł do Gniazdowskiego — krzyczał podobno, dwóch pielęgniarzy musiało go wyprowadzać. Wtedy pobiegł do Ko-

mitetu — okazało się, że to sekretarz z tej przygranicznej wsi. Miedza zadzwonił do Gniazdowskiego.

I chyba tylko ten jeden raz nie dostał nic. Musiał składać skomplikowane złamanie za darmo. Kobieta leżała w gipsie pół roku. Jej brat odgrażał się, że napisze do gazety, ale tylko tak — wiadomo było, że pogada, pogada i przestanie.

Muszyna przyszedł do ośrodka przed drugą — Gniazdowski przyjmował od czternastej do szesnastej. Chciał zgłosić się jako pacjent, ale pielęgniarka w okienku nie zapisała go. Nie miał w ogóle książeczki i nie potrafił powiedzieć, co mu dolega. Kiedy pokazał legitymację honorowego dawcy krwi, wzruszyła ramionami:

— Co pan, żartuje? — I zatrasnęła okienko.

Muszyna rozejrzał się po ciemnej poczekalni. Pod sufitem paliły się dwie żarówki w drucianych siatkach, wisiały lupy na muchy. W kątach stały blaszane spluwaczki, ściany oblepiały plakaty. „Matko, pamiętaj o witaminach dla twego dziecka!” — przeczytał. Niżej, pod hasłem, wymalowano wielki bukiet jarzyn. Podłoga była czarna, krzesła stare i skrzypiące. Ludzie mówili szeptem. Usiadł pod ścianą, założył nogę na nogę, zapalił. Obok przysiadła na brzegu krzesła kobieta z dzieckiem w beciku. Niemowlę miało policzki pokryte krostami. Budziło się co pewien czas i zaczynało płakać. Matka kołysała je cierpliwie.

— Śpij, śpij, Karolciu! Pan doktor zaraz przyjdzie — mówiła.

Gniazdowski spóźniał się. Muszyna kilka razy patrzył na zegarek. Było pięć, dziesięć, a później dwadzieścia po. Rozmawiał chwilę z robotnikiem (dosiadł się, żeby przypalić). Był to młody mężczyzna ze złamaną ręką. Krzywiąc się i głęboko zaciągając dymem opowiedział o swoim wypadku. Pracował w lesie, przy zwózce drzewa. Robili wycinke pod linię wysokiego napięcia. Teren był trudny — jary, wąwozy, skały, z których ściągali świerki. Konie

grzęzły w glinie. Przechodził w jednym miejscu po śliskim pniu nad potokiem, stracił równowagę i spadł na kamienie.

— Cały mokry, panie i ten ból, jakby kto kłuł nożem. Od dziewiątej rano tu czekam. — Pokazał Muszyna nie spuchniętą rękę.

— Nie przyjęli od razu?

Robotnik poprawił papierosa w cygarnicze. — Pana też zbyła, jęcza.

Dziecko z krostami na policzkach płakało.

— Śpij, Karolciu, śpij. Pan doktor już idzie.

Staruszka w białej chustce z frędzlami (duże żylaste dłonie, laska zawieszona na oparciu krzesła) przesuwiała paciorki różańca. Emeryt w okrągłej czapce kaszlał głośno. Było kilkoro dzieci: chłopiec z ręką na temblaku, dziewczynka z czerwonym lizakiem. Była także Czesia, ale Muszyna nie znał sprzątaczk.

Gniazdowski przyszedł o wpół do trzeciej. W szarym garniturze, siwe włosy z przedziałkiem, okulary w rogowej oprawie, czarna teczka. Przeszedł przez poczekalnię szybkim krokiem, jakby nie było nikogo. Wydawało się, że ma bardzo mało czasu. Kilka kobiet wstało i ukloniło się, kiedy przechodził, ale Gniazdowski nie odpowiedział. Wszedł do gabinetu.

Muszyna patrzył na zegarek — upłynęło jeszcze pięć minut, nim pielęgniarka zaczęła prosić pacjentów. Doktor badał krótko — niektórzy zaraz wychodzili, najdłużej trzymał kwadrans. Przyjął tylko siedem osób, a i to nie w kolejności. Redaktor zapisywał coś w notesie, kiedy pielęgniarka wywołała ostatniego pacjenta (chudy, wysoki mężczyzna; siedział na końcu).

— Więcej nikogo doktor nie przyjmie — powiedziała. — Proszę nie czekać.

— Jak to? Jak to? — zdziwił się głośno Muszyna. Wszyscy na niego popatrzyli. Pielęgniarka zatrzasnęła drzwi.

— Mówią — odezwał się robotnik — że prosi tylko

tych, co do niego prywatnie chodzą. I chyba trzeba będzie pójść. Do tej wili przy zamku.

— Pan doktor dobrze wie, co robi — powiedziała młoda kobieta z dzieckiem. — To najlepszy lekarz w powiecie.

Muszyna wiedział od Turonia, że Gniazdowski nie przyjmuje do pracy w ośrodku starych lekarzy. Samych młodych — po studiach. Wiadomo, że ludzie do takich nie mają zaufania. Jeden Lisowski, dentysta, ma podobno czterdzieści lat. Inni mniej.

Podniósł się, kiedy doktor wyszedł z gabinetu (znów ten szybki krok, okulary, siwe włosy, teczka). Ludzie powstawali z krzesel — laska staruszki upadła na podłogę i głośno stuknęła. Muszyna zastąpił Gniazdowskiemu drogę.

— Bardzo przepraszam, panie doktorze, jestem z prasy. Chciałem zamienić kilka słów.

Chirurg nie okazał zdziwienia. Spojrzał na zegarek. — O co chodzi?

— Może wrócimy do gabinetu? — zaproponował redaktor.

— Macie legitymację?

Muszyna zmieszał się. Ludzie patrzyli na nich. — Nie noszę codziennie przy sobie. Widzieliście na zebraniu.

— Więc o co chodzi? Pytajcie.

Stali w ciemnym korytarzu, otoczeni pacjentami — wysoki Gniazdowski z czarną teczką (znów popatrzył na zegarek) i nieduży Muszyna przed nim — w ortalionowym płaszczu i z aparatem-lustrzanką na szyi. Tę rozmowę opowiedziała Stasi-maszynistce sprzątaczką Czesia.

Muszyna (zacinając się): — Pierwsze pytanie: dlaczego nie przyjęliście wszystkich pacjentów? Tu jest człowiek — rozejrzał się, ale robotnika już nie było — ze złamaną ręką. Kto mu udzieli pomocy?

Gniazdowski (ostro): — Znacie godziny przyjęć?

Muszyna (znów zacinając się): — Pytanie drugie:

dlaczego inni lekarze nie przyjmują? Pan jest chirurgiem, a tu widzę i do internisty i do dermatologa pacjenci...

Chirurg jakby nie dosłyszał. Mówił: — Tylko ja, mój panie, decyduję kogo przyjąć i w jakiej kolejności. Znam się na tym lepiej niż dziennikarze. — Popatrzyl na ludzi.

Muszyna był zdenerwowany. W dodatku długopis przestał pisać.

— Czy to prawda, że przyjmujecie najpierw tych, którzy przychodzą prywatnie?

Gniazdowski cofnął się o krok. — Panie, panie! Dość tego! Będziemy rozmawiać, jak zobaczą legitymację! — Teczką odsunął redaktora na bok i ruszył w stronę schodów. Ludzie usuwali się przed nim.

— Cały czerwony, krzyczał — opowiadała Czesia maszynistce Stasi. — Pewno: mało to ma na głowie? A taki jeszcze przyjdzie i zdenerwuje!

Stasia potakiwała.

Redaktor zamknął notes. Rozejrzał się, zakaszłał — nikt z pacjentów nie odezwał się. Dopiero, jak szedł do drzwi, kobieta z dzieckiem powiedziała:

— Kto to widział, żeby tak niegrzecznie do pana doktora mówić? To najlepszy lekarz w powiecie.

Niemowlę obsypane krostami znów zapłakało. Kiedy Muszyna był na schodach, usłyszał, jak kobieta zaczęła swoje:

— Nie płacz, Karolciu, nie płacz!

O tym, że doktor zaraz nadejdzie, już nie mówiła.

V. „STO LAT, STO LAT!”

Przed Prezydium stali ludzie i przyglądali się zawieszaniu wielkich portretów na frontowej ścianie. Pracą dyrygował mężczyzna w czerwonej koszuli w kratę i w cienkich dżinsach. Miał sylwetkę chłopca i siwe włosy. Był to plastyk — magister Edward Leluchowicz. Przyjechał do nas przed trzema laty. Urządził się, dostał mieszkanie — jego żona pracę w Powiatowym Domu Kultury (była bibliotekarką). Dzieci nie mieli.

Od tego czasu miasto jakby nabrało barw. Leluchowicz dekorował ulice przed państwowymi świętami, a także, o czym wiedzieli ksiądz i organista, projektował dekoracje ulic wokół kościoła podczas obchodów święta Bożego Ciała i peregrynacji obrazu Najświętszej Marii Panny. Jego plansze zdobiły skwery, park i place w mieście. Były to ilustracje popularnych haseł w rodzaju: „Przechodź jezdnię po białych pasach!”, „Przepisy BHP to katechizm człowieka pracy!”. Albo: „Pierwsi na polu — pierwsi w punkcie skupu!” (tablicę z tym hasłem, formatu dwa metry na półtora, ustawiono na placu targowym). Zamówienia Leluchowicz wykonywał szybko i zaraz dopominał się o nowe. Jasiu Flacha, który pił z nim często, opowiadał w jaki sposób malował portrety przywódców. Miał podobno rzutnik, którym posługiwał się przy pracy. Obraz z negatywu umieszczonego w aparacie

rzucał na płótno rozpięte na drewnianych ramach dowolnej wielkości. Potem pociągał pędzlem po rysach twarzy widocznych na płótnie i obraz był, jak żywy.

Często mówiono o jego erotycznych zainteresowaniach — podobno Leluchowicz w swojej pracowni produkował zdjęcia pornograficzne, do których pozowały kobiety zdawałoby się uczciwe i porządne.

Leluchowicz lubił zmieniać kobiety, o tym wiedzieli wszyscy. Często wyjeżdżał z miasta — jego niebieski wartburg widziano na okolicznych drogach. Dokąd swoje kochanki woził — nie było pewne. Mówiono, że ma melinę w górach i tam często odbywają się pijackie orgie z udziałem wtajemniczonych mężczyzn. Żona Leluchowicza, Renata, mogła domyślać się wszystkiego, choć zdawało się, że są dobrym małżeństwem. Z czasem tylko, ta wesoła, ładna kobieta zaczęła pić. Zwłaszcza wtedy, kiedy Leluchowicz znikał z domu (zwykle na kilka dni). Widziano wtedy Renatę na rynku przed „Obywatelską”, piła w towarzystwie Flachy i innych. Mówiono, że zaprasza mężczyzn do domu i tam również odbywają się orgie, jak w melinie Leluchowicza w górach. Latem zapraszała długowłosych autostopowiczów, którzy zatrzymywali się przejazdem i szukali noclegu. Słyszeć wtedy było krzyki i śpiew przez otwarte okna (Leluchowicze mieszkali koło parku). Olszewski interweniował kiedyś, gdy na ulicę poleciały butelki.

— A przecież ta wesoła, ładna kobieta ma dom, męża, pracę — co z nią, Myszko? Dlaczego? — pytał Henryk.

Myszka pracowała z Renatą w Domu Kultury i często opowiadała Turoniowi zasłyszane historie. Zaraz po przyjeździe Turoniowie zaprzyjaźnili się na krótko z Leluchowiczami, później zerwali.

— Rozpacz, rozpacz — mówiła Myszka. — Ona wie przecież, co ten człowiek wyprawia.

Turoń kiwał głową: — Każdy ma swoje hobby.

Wtedy protestowała Myszka: — Jakże tak, są przecież granice! Ma taką kobietę w domu! To on jest wien! To on!

— Trzeba zrozumieć i wybaczyć — mówił Turoń.

— I on jej, i on jej, kiedyś.

Czy Leluchowicz wiedział? Nikt nie mógł powiedzieć na pewno. Może przymykał oczy? Kiedyś Flacha w „Obywatelskiej” zaczepił go:

— Edziu, czy ty chociaż wiesz, że twoja się puszcza?

Siedzieli przy stoliku za kotarą: magister, Flacha, inżynier Szafranek, Szelał był także i jeszcze ktoś. Wszyscy spojrzeli na magistrą — o Renacie było wtedy głośno w mieście.

A on jakby nie dosłyszał. Odgarnął z czoła kosmyk siwych włosów, dopił piwo, zapalił. Wszyscy czekali, że coś powie, krzyknie, może uderzy Flachę pięścią w twarz? Ale nic się nie stało, chwilę tak pomilczeli, ktoś zaśmiał się, a potem zaczęli mówić o czym innym.

Teraz Muszyna stał w tłumie pod gmachem Prezydium i patrzył, jak dwie wielkie głowy wolno suną w górę. Leluchowicz krzyczał z dołu do ludzi na dachu. Byli to ci sami aresztanci, którzy pomagali Groszkowi budować trybunę (strażnik z PM-em znikł w tłumie). Inni stali w otwartych oknach — mieli zaczepiać portrety na wysokości trzeciego piętra. Niżej, między portretami, wisało już hasło: „Niech żyje święto międzynarodowej solidarności!”

Muszyna rozejrzał się: miasto jakby poweselało. Zieleń drzew przetkana czerwienią — transparenty zawieszane między latarniami, flagi na wysokich masztach. Nawet na dachu budki z piwem zatknięto czerwone papierowe chorągiewki. Ciepły wiatr kołysał transparentami nad jezdnią.

Mężczyzna w kraciastej koszuli dał znak, ludzie w oknach chwycili sznury przybite do ram portretów. Wielkie twarze znieruchomiały.

— Dobrze! Dobrze! — krzyczał trochę ochryple siwy.

Muszyna trącił Słomkiewicza (z laską i kuflem piwa stanął przy nim): — Kto to? — spytał.

— Ten gość? Magister Leluchowicz. Plastyk.

— Magister? — zdziwił się Muszyna.

Franek poruszył ręką i trochę piwa z kufła chlusnęło na chodnik:

— Jaki on tam magister!

O szóstej w Powiatowym Domu Kultury odbyła się akademія, na którą Muszyna dostał zaproszenie od Lenki. Była to kolorowa kartka z wydrukowanym napisem: „Komitet obchodu święta Pierwszego Maja ma zaszczyt prosić Ob. (tu charakterem Lenki wpisane było imię i nazwisko Muszyny) na uroczystą akademię, która odbędzie się w dniu trzydziestego kwietnia o godzinie osiemnastej w PDK”. Muszyna spytał: „Co to jest PDK?”, a Lenka, udając oburzenie, odpowiedziała: „No, wie pan? Jak można nie wiedzieć? Powiatowy Dom Kultury”.

Miejsce było dobre — w pierwszym rzędzie, obok Miedzy i Turonia. Sekretarz wołał z daleka:

— Towarzyszu redaktorze, prosimy. Tu jest dla was krzesło!

Kilka minut po osiemnastej rozpoczęła się część oficjalna. Nauczyciel WF Szelaę, jako przewodniczący akademii, poprosił o zajęcie miejsc za stołem prezydjalnym: Miedzę, Turonia, przewodniczącą Koła Ligi Kobiet (Helenka w granatowej sukni, z fryzurą, którą Jankowski osobiście układał, weszła na podium rozsiewając naokoło zapach wody kwiatowej „Być może”), majora Popielaka i dyrektora Szafranka. Muszyna został sam, w pierwszym rzędzie, między pustymi krzesłami.

Zapamiętał tylko fragmenty długiego referatu. W sali przycichło, kiedy Miedza, pochylony nieco do przodu,

wsparty o stół przykryty zielonym płótnem, zaczął mówić. Przemówienie trwało godzinę — Muszyna liczył kartki (było trzydzieści dwie).

— Ludzie pracy na całym świecie... — huczał głos Miedzy w sali i na zewnątrz budynku, bo i tam rozwieszono megafony. — Międzynarodowe święto solidarności... awangarda postępowej klasy... siła obozu pokoju... pryncypialne zadania!

O wpół do ósmej rozpoczęła się część artystyczna. Grała orkiestra Kółka Muzycznego i śpiewał chór męski starszych klas licealnych (między innymi Reniek, jako najwyższy stał w ostatnim rzędzie). Były także deklamacje wierszy. Córeczka Turonia, Małgosia, powiedziała wiersz o majowym święcie, kiedy to jest dużo słońca, kwitną bzy, niebo jest niebieskie i tylko trzeba pamiętać o tych którzy pracują pod ziemią, w ciemnej kopalni, albo stoją przy hutniczym piecu. Nie pomyliła się ani razu. W krótkiej białej sukience, z dwoma warkoczykami, dygnęła na koniec i wszyscy bili jej brawo. Przy podium stała przejęta Myszka (miała wypieki na twarzy). To ona, jako kierowniczka Domu Kultury, organizowała występy. Tańczył także zespół szkolny: kujawiaka, oberka i mazura. Kurz poszedł z desek i wydawało się, że drżą lampy na wysokim suficie nad salą. Przez otwarte okna słychać było piski jaskółek latających nisko.

Nie wystąpił tylko harmonista Domaradzki — referent miejscowego POM-u. To jego harmonię pożyczył Miedza i nie oddał. Domaradzki nie umiał grać na żadnym innym instrumencie (Myszka proponowała skrzypce). Zrezygnował z udziału w Kółku Muzycznym i nie przyszedł na akademię.

O dziewiątej rozpoczęła się zabawa. Muszyna siedział przy stoliku z Turoniami — stoliki poustawiano wzdłuż ścian sali. Tańczono po środku. Grała ta sama orkiestra Kółka Muzycznego na zmianę z młodzieżowym zespołem „Trio As” (trzech uczniów jedenastej klasy: kontrabas, fortepian i perkusja).

Turoń wypił trochę, śmiał się, opowiadał dowcipy. Myszka niepokoiła się o dzieci (zostały z ciotką, którą sprowadzili na kilka dni). Muszyna uważał, żeby nie pić za dużo. Tańczył z Lenką. Podeszła, kiedy było białe tango. Turoń zauważył pierwszy:

— Po ciebie, redaktorze! — powiedział.

Tańczyli w przyćmionym świetle lamp owiniętych kolorowymi bibułkami. Pachniało potem i kurzem.

— Może jeszcze, panno Lenko? — spytał, kiedy skończyło się tango.

I tańczyli „Ramone”, coś szybkiego, czego Muszyna nie umiał tańczyć (Lenka śmiała się i próbowała nauczyć go kroku, ale nie słyszał, co mówiła, bo tańczyli blisko orkiestry), a później, kiedy grali chłopcy z „Trio As” — kilka kawałków młodzieżowych: „Czy mnie jeszcze pamiętasz?”, „Znamy się tylko z widzenia” i „Nie przynos mi kwiatów dziewczyno”. Potem odprowadził Lenkę do stolika (siedziała ze Stasią-maszynistką i jej chłopcem). Więcej już nie tańczyli.

Po dwunastej odprowadził Turoniów na Projektowaną. Zapamiętał gwiazdy nad dachami, puste ulice i powtarzające się z bliska i z daleka szczekanie psów. Kiedy otwierał dużym kluczem drzwi parterowego domku, w niskich oknach było ciemno.

Od piątej rano Krzywy Stefan zamiatał plac. Objechał wkoło blaszanym wózkiem z pojemnikiem na śmieci. Miotłą z brzoźowych witek zgarniał na wielką śmietniczkę papiery, koński nawóz i resztki trocin koło trybuny. Jeszcze było pusto — w oknach Prezydium dopiero co zaświeciło słońce. Długie flagi na wysokich masztach kołysały się łagodnie, szeleściły papierowe chorągiewki na budce z piwem.

O szóstej harmonista Domaradzki wyjrzał na balkon (ziewnął, podrapał się w owłosione piersi między rozpię-

tymi połami kurtki od piżamy) i zobaczył ten pusty jeszcze plac — w słońcu, w czerwieni flag i transparentów przetkanej zielenią akacji i Krzywego Stefana w pomarańczowej kamizelce robotnika drogowego, jak zamiętał bruk.

— Hej, Stefan! — zawołał. — Etau ci nie zabrali?

Krzywy Stefan pogroził Domaradzkiemu miotłą.

Od ósmej po placu biegały dzieci — zwłaszcza buszowały na trybunie, na którą trzeba było wchodzić po drewnianych schodkach i gdzie pachniało sosnowymi deskami. Tym mniejszym nie było widać główek — nikły za obudową z płyt pilśniaków.

Dzieci bawiły się w berka naokoło trybuny. Krzyk i śmiech słychać było daleko. Dopiero dwóch porządkowych, Okrasa i Lewandowski, w białoczerwonych opaskach na rękawach, spędziło je z trybuny o wpół do dziewiątej. Rozpoczęła się próba techniczna megafonów rozwieszonych nad placem.

— Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć! — zahuczały głośniki. — Pięć, cztery, dwa, jeden!

O dziewiątej Krzywy Stefan przyszedł na plac i stanął w grupie pracowników Rady Narodowej. Wyglądał, jak kto inny: czarny garnitur uszyty na zamówienie u krawca Brzęczykowskiego za tysiąc pięćset złotych, biała koszula, krawat, nowe buty z żółtej skóry i filcowy kapelusz. Ludzie patrzyli na niego zdziwieni:

— Stefan, nie Stefan?

Kierownik Rybaczyński (akurat rozdawał szturmówki i transparenty do niesienia podczas pochodu), zatrzymał się przy nim i zapytał:

— To ty, Stefan, czy kto inny?

— Ja, panie kierowniku — powiedział zamiatacz. Ukłonił się i zdjął kapelusz.

Kierownik Rybaczyński wręczył mu szturmówkę: — Masz, będziesz niósł! Krowy na pochód nie wzięles?

Ludzie naokoło pośmieli się ze Stefana. Z prawej strony stała kolumna pracowników Fabryki Przetworów Owocowych, a z lewej budowłani. Z przodu, przed zakładami pracy, ustawiły się szkoły. Dziewczynki w białych bluzkach, chłopcy w mundurkach. Drużyna harcerzy w czerwonych chustach, z proporczykami i z dobo- szem, który bębnił od czasu do czasu (gwar na placu milkł wtedy na chwilę). Krzywy Stefan, ściskając drzewce szturmówki, przepchał się między ludźmi bliżej czoła. Nad głowami dzieci lepiej widział trybunę.

Goście zaczęli się schodzić kilka minut po dziewiątej. Dwóch porządkowych, Okrasa i Lewandowski, spraw- dzało karty wstępu.

— Liczysz, Stasiu? — spytał Lewandowski Okra- sę. — Uważaj, żeby ktoś na lewo nie wszedł.

— Liczę, liczę! — odpowiedział Okrasa. — Już trzydziestu dwóch weszło.

— Dużo, kurwa — westchnął Lewandowski. — Strasznie dużo lubi na tej trybunie stać.

Rzeczywiście — trzydzieści dwie osoby stały na dre- wnianym podium, zbitym z desek przez stolarza Groszka. Stano w trzech rzędach. W pierwszym, najbliższym ubodo- wy z płyt pilśniaków obitych czerwonym płótnem — sta- li ci najważniejsi. Krzywy Stefan nie znał nawet wszyst- kich. Tych, których znał, starał się policzyć na palcach.

— Pięć, sześć... — liczył po cichu. Nie szło mu dobrze liczenie.

Poznał od razu sekretarza Miedzę w granatowym gar- niturze, z czerwoną kokardką w klapie marynarki. Obok stał tęgi nieznajomy mężczyzna w okularach (towarzysz Kotula z Województwa). Dalej przewodniczący Turoń — w jasnym ubraniu, uśmiechnięty — zagadywał do naj- młodszych dzieci w pierwszych rzędach przed trybuną. Przy nim mężczyzna w rozpiętym ortalionowym płaszczu. Robił zdjęcia aparatem-lustrzanką (oczywiście — redak- tor Muszyna!). Stefan poznał także dyrektora Gniazdow-

skiego (jak zawsze nienagannie skrojony szary garnitur, biała chusteczka w kieszonce, siwe, gładko zaczesane wło- sy). Był także właściciel krowy — dyrektor miejskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego — Szafranek. Mówił coś do żony sekretarza Miedzy, przewodniczącej Koła Ligi Kobiet. Helenka śmiała się głośno — jej śmiech słychać było aż tutaj. W pierwszym rzędzie stali jeszcze: inży- nier Targowski — architekt powiatowy, dyrektor Fabry- ki Przetworów Owocowych niejaki Kulesza i ksiądz Olej- niczak w cywilnym ubraniu z baretkami odznaczeń na piersiach (był kapelanem w oddziałach partyzanckich, a później z Drugą Armią forsował Nysę). W drugim rzędzie stali ludzie mniej znani, tak samo jak w trzecim. Niektórych w ogóle Stefan nie mógł dojrzeć, ponieważ wyżsi zasłaniali niższych. Widać było, jak ktoś wspina się na palce, żeby lepiej widzieć plac.

W chwili, kiedy przewodniczący Turoń podniósł rękę — chciał pewno uciszyć gwar przed trybuną — zagrała strażacka orkiestra. Nad głowami dzieci błysnęły trąby i srebrne kaski strażaków. Stali koło trybuny, pod rzę- dem czerwonych flag zawieszonych na wysokich masz- tach. Stefan popatrzył na wielkie twarze zawieszane na gmachu Prezydium. Mocniej ścisnął drzewce szturmówki.

Orkiestra pograła chwilę i umilkła. Gwar na placu przycichł. Przewodniczący Turoń, jako gospodarz miasta, pierwszy wygłosił przemówienie. Mówił bez kartki, krót- ko. Krzywy Stefan niewiele zrozumiał — Turoń z po- czątku mówił cicho, pod koniec dopiero głośniej. Zwrę- cał się do dzieci w pierwszych rzędach. Mówił, że muszą pamiętać o tych, którzy to święto wywalczyli krwią i po- tem — o robotnikach.

— Wielu nie ma z nami. Ginęli w więzieniach i obozach, na wszystkich frontach ostatniej wojny i tylko ich cienie unoszą się nad tym placem!

Krzywy Stefan spojrzął do góry, ale nie zobaczył nic prócz błękitnego nieba i białych obłoków. Pod koniec przewodniczący jakby zdenerwował się na coś. Mówił,

że zbyt łatwo ulegamy konformistycznym postawom i wygodnictwu.

— Trzeba z tym walczyć, jeśli krew i pot naszych ojców nie mają stać się niepotrzebną ofiarą! — krzyczał. Stefan słuchał z otwartymi ustami.

Podczas przemówienia przewodniczącego Turonia na trybunę wszedł jeszcze jeden honorowy gość. Był to staruszek Wesołowski — hallerczyk. Spóźnił się trochę i porządkowy Okrasa nie chciał go wpuścić.

— Co pan, panie tego — zdenerwował się staruszek — nie widzisz munduru? Nie uszanujesz?

— Wpuść go, Stasiu — odezwał się Lewandowski i Okrasa ustąpił.

Staruszek przepchał się między ludźmi do pierwszego rzędu. Potrąceni sarkali trochę, ale Wesołowski nie zwracał uwagi. Zadowolony i uśmiechnięty stanął między księdzem Olejniczakiem i dyrektorem Fabryki Przetworów Owocowych Kuleszą. Obaj spojrzeli na niego jednocześnie.

— Panie Wesołowski, proszę grzeczniej! — szepnęła ksiądz Olejniczak.

Staruszek udał, że nie słyszy. Poprawił czapkę-rogatywkę przekreśloną galonami. Krzywy Stefan patrzył z podziwem. Wesołowski-hallerczyk prezentował się rzeczywiście dobrze. Niebieskopłowy mundur (ci, co stali przy nim na trybunie czuli mocny zapach naftaliny), czapka-rogatywka z wielkim czarnym daszkiem obitym srebrną blachą, baretki odznaczeń na piersi. Siwe wąsy przyczesane starannie, policzki gładko wygolone. Wydawało się, że jest wyższy niż naprawdę, choć sięgał tylko do ramion Kuleszy i Olejniczakowi.

Po Turoniu zaczął przemówienie sekretarz Miedza. Normalnie — z kartki. Ludzie widzieli, jak wyjmował z futerału okulary, o krok wysunął się przed pierwszy szereg. Rozłożył kartę podaniowego papieru, na której miał napisane przemówienie. Zerknął na papier i zaczął:

— Drodzy towarzysze i obywatele!

To było wszystko, co Miedza zdążył powiedzieć. W tym momencie na czystym niebie (na którym Krzywy Stefan próżno szukał cieni, o jakich wspomniął przewodniczący Turoń) pojawił się odrzutowiec. Widać było tylko srebrny punkcik, który czasem błyskał w słońcu. Rysował pienistą smugę. Ludzie na placu i na trybunie podnieśli głowy. Krzywy Stefan także spojrzął do góry i w tym momencie usłyszał trzask. Był to trzask cienki i przejmujący, jak jęk drzewnej piły. Stado wróbli z akacji na skraju placu zerwało się przestraszone i z furkotem skrzydeł odleciało na dachy bloków po drugiej stronie.

Porządkowy Lewandowski mówił potem do Okrasy:

— Powiedziałem ci, Stasiu, że za dużo wpuściłeś. Kto to widział, żeby na taką małą trybunę pakować trzydzieści trzy osoby?

— Mieli karty — protestował Okrasa. — Jak Boga kocham. Ani jeden nie wszedł bez!

Krzywy Stefan wspiał się na palce. Wszystkie głowy, które jeszcze przed chwilą widział nad wysoką obudową z płyt-piłśniaków — teraz znikły. Pojawiły się po chwili ręce — jedne przy drugich, cały rząd. Uwięzieni próbowali pewno podciągać się na ramionach, ale było za wysoko. Wielkie pudło zatrzęsło się, jak żywe. Spadła litera „M” z białego kartonu i dwie duże jedyńki. Na placu, w ciszy jaka na chwilę zapadła po tym głośnym jęku drzewnej piły, usłyszano głos przewodniczącej Koła Ligi Kobiet:

— Jezus Maria, Gienek, moje pończochy!

Dopiero wtedy ludzie zaczęli się śmiać.

Trzeba przyznać, że plastyk, magister Leluchowicz, wykonał swoją robotę solidnie. („Nie tak, jak ten partacz Groszek!” — mówiono później). Płyty wzmocnił kantówką, dał po dwie deski na rogach. Niełatwo było z tego pudła wyjść. Uwięzieni deptali po deskach — okorkach. Słyszać było, jak krzyczą.

— Rybaczyński! Rybaczyński! — donośny głos Miedzy.

W zamieszaniu połamano drewniane schodki. Okrasa i Lewandowski potracili głowy — biegali tylko naokoło zupełnie bezradni. Ktoś krzychał: — Drabina! Gdzie drabina? Dawać drabinę!

Krzywy Stefan słyszał naokoło śmiech — cienki dzieci i głośny dorosłych.

— Ciszej, ludzie! — oglądał się wymachując kapeluszem. — Ciszej! Jest tu z czego się śmiać?

Chłopi opowiadali później, że śmiech słycać było aż za rzeką, na polach pod świerkowymi wzgórzami. Kawki z drzew w parku odleciały spłoszone. Harmonista Domaradzki tracił traktorzystę z POM-u (stali w grupie pracowników resortu rolnictwa). Pokazał na wielkie portrety zawieszane nad trybuną.

— Spójrz, Zeniu! Nawet ci się śmieją.

Traktorzysta wycierał oczy chusteczką. Krzywy Stefan krzychał na dzieci:

— Cicho! Cicho, smarkate! Nie ma się z czego śmiać.

Ale nikt go nie słuchał. W pewnej chwili dyrygent orkiestry strażackiej podniósł w górę pałeczkę. Policzki puzonistów wyduły się, jak na komendę. Zagrali „Sto lat, sto lat!” i dopiero wtedy śmiech naokoło trochę przycichł. Ludzie za to zaczęli śpiewać. I znów Krzywy Stefan powtarzał wymachując kapeluszem:

— Cicho! Co z wami, ludzie? W takiej chwili śpiewać?

— „Niech żyją, żyją nam!” — huczał naokoło plac. Cienkie głosiki dzieci i grubsze dorosłych. Chłopi opowiadali, że i śpiew było słycać za rzeką.

Domaradzki, oczywiście, żartował: w tej ogólnej wrzawie i wesołości tylko twarze zawieszane na gmachu Prezydium patrzyły na plac bez uśmiechu. I chyba tylko jeden człowiek nie stracił w zamieszaniu głowy: sierżant Olszewski Zenon z powiatowej Komendy. Łopatą, znalezioną w stróżówce na podwórzu Prezydium, rozerwał

czerwone płótno i odgiął dwie deski przybite zdawałoby się na amen. Wsunął łopatę do środka i odgiął płyty. Przez tę szparę, dość wąską, ale innej przecież nie było, wydostali się na zewnątrz uwięzieni. Miedza wyszedł czerwony, jak płótno, którym Leluchowicz obił płyty. Sapał, wycierał czoło wielką chustką i powtarzał:

— Gdzie jest Rybaczyński? Trzeba natychmiast ustalić winnych!

Towarzysz Kotula ledwo mógł się precisnąć. Olszewski musiał mu pomóc. Redaktor Muszyna śmiał się. Zrobił kilka zdjęć (między innymi starszek Wesołowski poprosił o fotografię na tle trybuny — przedtem podniósł literę „M” i przyczepił szpilkami do płótna).

Ludzie na placu jeszcze śpiewali „Sto lat, sto lat!”. Miedza podbiegł do strażaków i krzyknął, żeby zaraz przestali grać. Dopiero wtedy śpiew umilkł. W ciszy (słycać było jeszcze pojedyncze chichoty i głosy) odezwały się megafony rozwieszane na latarniach.

— Przepraszamy zebranych za zakłócenie uroczystości — powiedział kierownik Rybaczyński ze studia w Prezydium (mówił niewyraźnie, jakby z chrypką). — Zapraszamy wszystkich do wzięcia udziału w pochodzie!

I choć ten jeden raz ci z trybuny poszli z nami. Nie mieli gdzie stać — jasne. Ludzie, jeszcze jak szli, to śmieli się. Co kto sobie przypominał. Dawno takiego wesołego pochodu nie było u nas. Krzywy Stefan niósł szturmówkę.

— Kto to widział — powtarzał — w takim nie-szczęściu, żeby się śmiać! Ech, ludzie, ludzie!

Ale nikt na niego nie zwracał uwagi.

Miedza idąc na czele przeproszał towarzysza Kotulę.

— Wyciągniemy surowe konsekwencje wobec winnych zajścia. To skandal!

— Nie szkodzi, nie szkodzi — dobrotliwie uśmiechał się Kotula. — Najważniejsze, że wszyscy żywi!

— Pończochy zupełnie podarłam — skarżyła się He-

lenka pani Gniazdowskiej. Szły obok siebie w pierwszych czwórkach.

Dzieci zaczęły śpiewać, ludzie przez otwarte okna pozdrawiali idących. Nad jezdnią kołysały się transparenty. Kawki wróciły na drzewa w parku. Słyszać było ich krzyk, śpiew dzieci i szum wielkich drzew. Wróble na akacjach przy rynku ćwierkały podniecone. I tylko te twarze nad trybuną pozostały nieruchome i obojętne, jakby nie zdarzyło się nic. Patrzyły bez uśmiechu na nasze miasto.

VI. OBYWATELU GROSZEK, POZWÓLCIE!

Przyszli o ósmej, wcześniej, Groszkowa akurat pielęła grządki w ogródku. Stanęli przed furtką zamkniętą na haczyk i ten wysoki, kościsty (sierżant Zenon Olszewski) zapytał:

— Czy mąż jest?

Młodszy przez cały czas nie powiedział nic — pasek pod brodą musiał go trochę uwierać, bo od czasu do czasu poprawiał. Groszkowa uniosła się znad grządki — ręce miała zavalane ziemią, kosmyk włosów odgarnęła z czoła. W tym momencie stary stanął w drzwiach. Był w drelichowym, granatowym ubraniu. Szykował się, żeby iść do stolarni. Olszewski powiedział głośno:

— Obywatelu Groszek, pozwólcie!

Stary, dopinając guziki drelichowej marynarki, wolno podszedł do furtki.

Nie wpuścił funkcjonariuszy do środka. Olszewski podał mu nad sztachetami nieduży druk. Było to wezwanie do stawienia się na przesłuchanie. (Redaktor Muszy na upierał się później, że Popielak mógł wezwanie wysłać pocztą. Major widocznie śpieszył się). Stary sięgnął do małej kieszeni, z której wystawał tekturowy futerał. Otworzył pudełko, nałożył okulary i dopiero wtedy przeczytał. Groszkowa stanęła obok męża. Ręce jej trzęsły się, kiedy odgarniała z czoła siwe włosy.

— Co, Jańciu, co oni chcą?

Stary oddał papier Olszewskiemu. — W porządku — powiedział. Popatrzył na żonę: — Biorą mnie na Komendę. — I poszedł przebrać się w garnitur.

Olszewski i ten młody czekali na niego przed furtką. Groszkowa lamentowała:

— Jezusie Nazareński! To stary, chory człowiek. On muchy nie skrzywdzi. Co od niego chcecie?

— Niech się pani uspokoi, pani Groszkowa — powiedział Olszewski. — Niedługo mąż wróci.

Kobieta nie wiedziała, co robić. Pobiegła do domu. — Jańciu, Jańciu — powtarzała stojąc nad Groszkiem. — Co oni od ciebie chcą?

Stary musiał fuknąć na nią. Wyszli po chwili z domu.

Było już słońce nad dachami, w rabatkach wzdłuż ścieżki brzęczały pszczoły. Groszek wolno poszedł w stronę furtki. Włożył czarny garnitur i białą koszulę z krawatem. Siwe włosy przycesał szczotką. Odwrócił się jeszcze i powiedział:

— Pamiętaj o rybkach!

(Miał w domu stulitrowe akwarium z urządzeniem filtracyjnym, światłem i grzałką. Wiele godzin spędzał doglądając rybek — Groszkowa narzekała, że to strata czasu. Piotruś, wnuk Groszka, wpuścił kiedyś do akwarium małego okonia złowionego w rzece. Stary zdenerwował się wtedy i uderzył chłopca).

Groszkowa powtarzała: — Jezusie Nazareński! Jezusie Nazareński! — Szła za mężem do furtki. Kiedy odwrócił się, objęła go tymi brudnymi od ziemi rękami. Chwyliła głowę męża i ucałowała starego w czoło. Ślad ziemi został na policzkach Groszka.

I tak poszli przez miasto: Olszewski, ten milczący młody, którego pasek uwierał pod brodą i Groszek w czarnym garniturze, ze śladami ziemi na twarzy.

Ludzie oglądali się za nimi — stolarz nie śpieszył

się, szedł wolno. Jego siwą głowę widać było z daleka. Rybarczyk wyjrzał na próg masarni, a potem kilka kobiet wyszło za nim na ulicę.

— Dobrali się staremu do skóry — zaśmiał się rzeźnik.

— Jezusie Nazareński — szeptała Groszkowa. Stała jeszcze przy furtce, ręce zavalane ziemią drżały jej trochę, patrzyła w stronę, gdzie tamci odeszli. Kiedy ochłoneła, pobiegła do Prezydium i dwie godziny czekała pod gabinetem na przewodniczącego Turonia.

Tego samego dnia wieczorem staruszek Wesołowski-hallerczyk zobaczył widmo w ruinach zamku. Jak zawsze, około dziewiątej, wyszedł z psem na spacer i przechadzał się jakiś czas wzdłuż skarpy za ruinami. Od czasu do czasu przystawał, mówił coś półgłosem, gestykulował lewą ręką (w prawej trzymał smycz), jakby dyskutował z niewidzialnym człowiekiem. W pewnej chwili odwrócił się w stronę zamku i zobaczył widmo.

— Kto to? — zapytał. — Jest tam ktoś? — powtórzył głośniejszym głosem. Odpowiedziała cisza, widmo poruszyło się, jakby miało ochotę zejść niżej.

Był to zapewne Krzywý Stefan, który podczas ciepłych nocy spał nad rzeką, w szałasie z gałęzi. Jego pomarańczowa kamizelka robotnika drogowego mogła zaświecić odbitym światłem. Do miasta jechały samochody. Staruszek nie pomyślał o tym — chwilę stał, jak skamieniały (grozę potęgował rosnący szum drzew wokół ruin i piski latających nietoperzy), potem pociągnął psa i truchtem oddalił się w stronę miasta. Jamnik Cezar podobno biegł z podkulonym ogonem.

— Widmo, widmo — mamrotał Wesołowski. Skierował się w stronę Komendy.

Dyżur miał sierżant Olszewski (zastępował chorego kaprała Smółkę). Siedział za drewnianą barierką, przy stole, nad przygotowanym, na wszelki wypadek, papie-

rem kancelaryjnym (papier był przełożony fioletową kal-ką — protokoły spisywano w dwóch egzemplarzach). Wesołowski otworzył drzwi, chwilę oddychał w progu — nie mógł złapać tchu.

— Widmo, sierzancie — zamamrotał. — Widziałem widmo.

Sierzant uniósł głowę znad stołu. Siedział w czapce, z paskiem pod brodą.

— O co chodzi? Jakie widmo? Wejdźcie i zameldujcie po ludzku.

Staruszek opowiedział o swojej przygodzie. Był bardzo zdenerwowany, trzęsły mu się ręce. Wiercił się niepokojnie na krześle. Olszewski usiłował wytłumaczyć, że widma zdarzały się w okresie minionym, zwłaszcza za rządów kapitalistycznych, obecnie nie ma. W końcu ustąpił i spisał protokół:

„W dniu (tu następowała data) zgłosił się obywatel Wesołowski Antoni zamieszkały (dokładny adres), emeryt, kawaler, lat siedemdziesiąt dziewięć. Wyżej wymieniony oświadczył, że koło ruin zamku nad rzeką zobaczył widmo przypominające ludzką postać. Na zadane pytania: „Kto tam?” oraz „Jest tam ktoś?” widmo nie odpowiedziało. Obywatel Wesołowski melduje o powyższym zdarzeniu oraz prosi o dokładne zbadanie okoliczności sprawy. Jego zdaniem pod postacią widma może ukrywać się notoryczny przestępca lub inny zbrojeniec”.

Na tym protokół zakończono. Nastąpiły podpisy. Staruszek chciał dodać zdanie o poruszeniu się widma w zamiarze zejścia z ruin niżej, ale Olszewski nie zgodził się na żadne poprawki.

— Jesteście wolni — powiedziała. — Sprawdzimy.

Sprawa widma przycichła później stopniowo, chociaż niezupełnie. Podobno Olszewski podał notatkę następnego dnia, po nieprzyjemnej rozmowie z majorem. Popie-lak krzyczał, że ma na głowie poważniejszą sprawę, niż przywidzenia Wesołowskiego.

Dzieci za staruszkim wołały: — Widmo, widmo!
Wieczorami jakiś czas nie chodził na spacer na skar-pę. Ale wieść, że w ruinach straszy, przyjęła się wśród ludzi, powtarzano sobie o duchu, który mieszka w zamku. I tylko Krzywy Stefan nie przejmował się tymi opowieściami, pasł koło ruin krowę dyrektora Szafranka, a podczas ciepłych nocy spał tuż obok, w szałasie skleconym z gałęzi.

VII. OBUCHEM GO, OBUCHEM!

Reniek czekał na Baškę na starym żydowskim cmentarzu za miastem. Przed południem, kiedy kelnerka miała wolne, szli zwykle nad rzekę, tylko wieczorami umawiali się tutaj. Kirkut był opuszczony, ścieżki zarosnięte trawą, szare płyty z niezrozumiałymi napisami zapadały się krzywo w ziemię. Między topolami, na skraju, widać było dachy miasta i ścieżkę między łanami żyta.

Przed wojną pięć tysięcy Żydów mieszkało w naszym mieście. Starzy ludzie opowiadają, że w targowe dnie, aż czarno było od chałatów i jarmułek na rynku. Niemcy wszystkich pozabijali — podobno gdzieś w lesie, za świerkowymi wzgórzami, za rzeką.

Baška przysła trochę zdyszana — biegła ścieżką przez pola.

— Nie mogłam się wyrwać — powiedziała. Dużo gości dzisiaj.

Reniek siedział na kamiennej płycie, posunął się robiąc miejsce. Objął mocno dziewczynę, kiedy usiadła.

Poznali się przed rokiem, na zabawie w Prezydium. Baška była starsza od Reńka o dwa lata. Z początku nie chciała z nim rozmawiać, dopiero koleżanki ją namówiły („Dziewczyno, z synem sekretarza nie chcesz kręcić?”). Jeszcze teraz mówiła czasem pieszczotliwie:

— Ty mój wielki gówniarzu!

Matka Baški pracowała w Wydziale Finansowym Prezydium. Chciała, żeby córka uczyła się do matury, ale Baška wolała pracować.

— Co mi z matury, mamó — mówiła. — Na studia i tak nie pójdę.

Dostała pracę w kawiarni „Magnolia” i pracowała tam od trzech lat. Była duża, rosła, miała ciemne oczy i śmiała się głośno. Jej włosy pachniały lakierem. Kiedy całowali się, prosiła, żeby chłopak uważał na fryzurę.

Pierwszy raz oddała się Reńkowi tutaj, między starymi nagrobkami żydowskiego cmentarza. Było jeszcze chłodno — leżeli na rozłożonym płaszczu Baški. Bała się, że ktoś przyjdzie, unosiła co chwilę głowę. Reniek zapamiętał zapach jej potu, ciepły oddech, ślady krwi na podszewce płaszcza. Dziewczyna zapłakała wtedy — przestraszyła się, że płaszcz nie da się odczyścić.

Teraz zwykle czekali na pierwszą gwiazdę — później szybko zapadał mrok. Za polami widzieli światła w oknach miasta, słychać było szum wiatru w topolach na skraju cmentarza.

— Wiesz — powiedziała — mamy jutro jechać z twoim ojcem do rybaczówki. Na taki obiad na trawie.

Reniek zaniepokoił się: — Kto?

— No ja i Zośka. A z twoim ojcem nie wiem, kto będzie.

— Nie jedź, Basiu — powiedział chłopak. — Po co?

— Kierownik kazał. Twój ojciec dzwonił podobno. Są potrzebne dwie kelnerki.

— Żeby was obmacywać! — Reniek popatrzył na niebo, ale nie było jeszcze pierwszej gwiazdy.

— Nie bój się, Reniu — dziewczyna przysunęła się bliżej. — Ja im pokażę, jak który zacznie!

Siedzieli przytuleni czekając na pierwszą gwiazdę.

Było zupełnie ciemno, kiedy wracali ścieżką przez pola.

Rybaczówkę wybudowano według projektu architekta powiatowego Targowskiego w miejscu, które wybrał Miedza. Grunt tu opada łagodnie, na wzgórzu widać ostatni nieotynkowany dom przysiółka miłkowickiego. Z prawej i lewej strony do brzegów podchodzi las. Drzewa utrudniają dostęp do wody. Jezioro jest wielkie. Wije się zatokami, jak dawniej rzeka, którą przegrodzono zaporą. Blisko tamy, jesienią, przeciwległe brzegi zacierają się w mgłę. W małych zatokach ocienionych zwisającymi gałęziami buków i olch, żeruje kleń, leszcz i szczupak. Na łąkach, niekoszonych już, bo nie ma dostępu, do późnej jesieni grają świerszcze i koniki polne milknąc, kiedy głośniejsze powiedziane słowo z łódki zakłóci ciszę. Pustkowie tu jeszcze — można dzień wędrować i nie spotkać człowieka. Tylko ślad sarny na mulistym brzegu i poruszoną gałązkę w miejscu, gdzie spłoszona przebiegła.

Jak wiadomo rybaczówkę wybudowano za pieniądze przeznaczone na rozwój bazy turystyczno-sportowej w mieście. Oficjalnie nosi nazwę Miejskiego Ośrodka Sportów Wodnych, ale mało kto z nas ten ośrodek widział. Można wybranych na palcach policzyć: Szeląg, dyrektor Gniazdowski, inżynier Szafranek, Leluchowicz, dziewczyny, które tam wozili, czasem ktoś z oficjalnych gości. Dwa, czy trzy razy byli Reniek i Helenka. Reniek nudził się (cały dzień przesiedział w leżaku na tarasie).

— Za pusto dla mnie, tato — powiedział, kiedy wracali.

Helenka mówiła: — Geniusiu, ty się jeszcze utopisz w tej wodzie!

Dużo poszło w rybaczówkę pieniędzy — milion, a może dwa? Ale przecież nie na darmo. Nawet zagranicznym gościom nie wstyd pokazać.

— Był tu kiedyś taki — opowiadał Muszynie Miedza. — Z Francji. Przywiózł go towarzysz Kotuła z Województwa. Mieliliśmy kłopot, bo nie znał języka. Zawiozłem go do rybaczówki, łódką powoziłem po wodzie, powędrowaliśmy trochę i popiliśmy. Podobało się temu kata-

nowi — jak wyjeżdżał, to tylko po plecach mnie klepał i powtarzał: „Merci boku, merci boku!”

Z tarasu jest widok na góry po drugiej stronie. Wieczorami, jakby otulała je niebieska mgła. Betonowe schodki prowadzą w dół, do pomostu, przy którym stoi przycumowana motorówka. Domek ma trzy pokoje — na dole dwa, plus kuchnia i jeden, mniejszy, na górze. Wielkie weneckie okna, dębowa klepka w podłodze rzeźbione poręcze drewnianych schodów. Łazienka wykładana glazurą, kolorowe szybki w drzwiach, jak witraże. Miedza sam jeździł po kafle do hurtowni wojewódzkiej. Jego znajomy, niejaki Papuziak — dyrektor huty szkła — przywiózł własnym samochodem kolorowe szybki. No i te dwa kilometry drogi przez las, którą budowaliśmy w czynie społecznym, dwa kilometry linii pod napięciem („siła już jest! — cieszył się sekretarz, kiedy podłączono światło) i dwa kilometry linii telefonicznej, którą, dzięki uprzejmości dowódcy okręgu, ustawiło wojsko.

Przyjechali o dziesiątej dwoma samochodami. Pierwszy Józik warszawą. Przywiózł sekretarza i Muszynę. Poszli zaraz oglądać rybaczówkę, a kiedy wyszli na taras, pod dom zajechał niebieski wartburg Leluchowicza. Magister przywiózł Szelągą i dwie kelnerki.

Z początku rozmowa nie kleiła się. Muszyna był sztywny, spytał ile rybaczówka kosztowała i dlaczego młodzież nie korzysta z obiektu. Miedza próbował żartować:

— Redaktorze kochany, jakbym tu wpuścił tych dzikusów, to w dwa dni nie byłoby co oglądać! Zrujnowaliby, zniszczyli...

— Zafajdali — zaśmiał się Szeląg.

— Nie można, nie można — kiwał głową Miedza. Leluchowicz zaczął mówić o malarstwie — spytał, co Muszyna sądzi o stylu pop-art, ale redaktor nie odpowiedział. Pili kryniczanek z zielonych butelek, czasem

wiatr przywiewał zapach łąbinu (pole żółtych kwiatów podchodziło pod dom). Dziewczyny szeptały i chichotały cały czas. Siedziały na kamiennym murku z piaskowca okalającym kamienny taras. Józik pojechał z powrotem — miał przywieźć wódkę, piwo w skrzynkach i bigos (specjalnie zamówiony przez Miedzę w „Obywatelskiej”).

— Chwileczkę, kochany redaktorze — mówił. — Wypijemy strzemiennego, jak kierowca wróci i na jezioro! Zobaczycie nasze morze!

Rzeczywiście — nastrój zmienił się, kiedy wypili. Jak tylko Józik zjechał warszawą pod taras, Miedza pobiegł po wódkę. Korek wybił wracając. Wypili pod korniszony ze słoika.

— Panny, a wy co? — spytał sekretarz. — Po jednym, po jednym! Dla każdego starczy!

Dziewczyny wymawiały się, ale zaraz Szelaż i Leluchowicz wcisnęli każdej po kieliszku i stali czekając, póki nie wypily.

Później popłynęli motorówką. Była to duża łódź z miękkimi siedzeniami, zaopatrzona w silnik „gaz”. Miedza prowadził z fantazją. Kiedy kładł łódź w ostrych zakrętach i woda podchodziła pod burzę, dziewczyny piszczwały przestraszone. Na brzegu został Józik — widzieli jakiś czas czerwony dach rybacówki, a potem był już tylko ciepły wiatr, migotanie słońca na wodzie, zielone brzegi i to długie granie świerszczy, kiedy gasł silnik. Szelaż oblewał kelnerki, Muszyna robił zdjęcia. Miedza kładł łódź na burzę i piana smuga za rufą wyginała się w łuk.

Wypili jeszcze trochę na wodzie. Nauczyciel wziął napoczętą butelkę żytniówki. Kiedy wracali słycać było daleko nieskładny śpiew: „Morze, nasze morze!” Świerszcze milkły przestraszone, kiedy wiatr przynosił słowa, a rozchodząca się za motorówką fala głośno biła o brzeg.

Jedli potem bigos siedząc w plecionych fotelach naokoło stołu, który Miedza kazał wynieść na taras. Dziel-

czyny włożyły białe fartuszki — nosiły talerze i półmiski z kuchni. Był jeszcze tatar z oliwą i jajkami, śledzie w śmietanie i dużo zielonych korniszonów.

— Jedzcie, jedzcie, towarzysze — mówił sekretarz. — Abyśmy tylko zdrowi byli. Redaktorze, nie dajcie się prosić!

Kiedy Baśka stanęła przy nim, posadził dziewczynę na kolanie i grożąc palcem zaczął mówić:

— Jak mi będziesz Reńka bałamucić, to cię nie chcę znać, Basiu!

Dziewczyna śmiała się, ale Miedza spoważniał nagle, poczerwieniał i patrząc na Muszynę powiedział:

— Syna mi chce zabrać! Syna. A on nie dla niej, redaktorze. Nie dla kelnerki! Chłop dwa metry wzrostu, ręka jak moje dwie. Inżynierem będzie, co Szelaż? Zrobimy z chłopaka inżyniera.

— Tak jest, sekretarzu — przytaknął nauczyciel.

— Nie dla ciebie, Basiu! Jak go będziesz bałamucić, wyrzucę z miasta! Gdzie Turoń?

Turonia nie było, ale Miedza, pijany już, krzyczał, jakby przewodniczący siedział obok: — Zwolnić matkę! Od ręki dać wymówienie.

Krzyczał czerwony i zły. Dziewczyna przestała się śmiać. Wszyscy zamilkli i patrzyli na Miedzę i na Baśkę, która usiłowała wstać z jego kolan. I pewno w końcu rozplakałaby się — niby to żarty, a przecież sekretarz naprawdę był zły.

— Ścisnął mnie w pasie — skarżyła się na cmentarzu Reńkowi — i palcem wygrażał, jak smarkatej. Całe szczęście, że ta świnka przyszła.

— Jaka świnka? — zainteresował się Reniek.

Wieprzek był nieduży, czarny — wyszedł z łąbinu i chrząkając zaczął ryc w redlinie oddzielającej łąkę od pola.

— Patrzcie dzik! — zawołał Szelaż.

Wszyscy obejrzeli się. Nauczyciel zartował, jasne — zaśmieli się, nawet Baśka uśmiechnęła, tylko Miedza nie.

— Dzik, dzik! — powtórzył. Puścił kelnerkę i wstał.
— Trzeba od tyłu zejść i do wody!

— Sekretarzu — powiedział Szeląg — to przecież świnia.

Śmieli się jeszcze, ale sekretarz nie słuchał. Zataczając się ruszył w stronę kamiennych schodków. Nauczyciel i Muszyna poszli za nim. Tylko Leluchowicz został. Na łódce i podczas obiadu, przysuwał się do Zośki. Dziewczyna śmiała się i biła go po rękach, ale magister nie ustępował. Teraz, kiedy kelnerki wskoczyły na murek z piaskowca, żeby lepiej widzieć, stanął za Zośką i wsunął ręce pod spódnicę dziewczyny.

— Panie magistrze! — pisnęła Zośka. — Wszystko będzie u żony!

Świnia zauważyła mężczyzn i cofnęła się z powrotem w łubin. Dziewczyny z tarasu widziały jej czarny grzbiet między kwiatami.

— Okrążyć, okrążyć ją! — krzyczał Miedza. — W wodzie jej przywalimy!

Szeląg i Muszyna weszli w łubin. Nauczyciel podniósł suchą gałąź. Miedza obejrzał się.

— Józik, Józik! — Szedł zanurzony po pas w kwiatkach. Trzymał rozłożone ręce. Szeląg młócił gałęzią, Muszyna pohukiwał. Podchodzili do świni z trzech stron.

Zwierzę, chrząkając, zaczęło cofać się w stronę łąki. Chciało przebiec na drugą stronę drucianej siatki rozpiętej od wody do pola (dalej był las), ale Szeląg zabiegł jej drogę. Chrząkając, z ryjem przy ziemi, pobiegła w dół do jeziora. Dziewczyny z tarasu widziały teraz czarny grzbiet między leszczynami na skraju łąki.

— Mamy go, mamy! — dyszał Miedza. — Józik, Józik! — przypomniał sobie. Pobiegł ciężkim truchtem naokoło domu.

Szeląg i Muszyna pędzili świnie w dół.

Józik postawił wóz pod topolami po drugiej stronie rybacówki. Jakiś czas czytał książeczkę z żółtym tygrysem, potem położył się na siedzeniu (nogi w półbutach

o startych zelówkach wystawały przez uchylone drzwi) i zasnął. Zbudziło go silne szarpnięcie za nogawkę. Zdyszany sekretarz stał nad nim.

— Rany boskie, Józik, śpisz, a my tam... Gdzie siekiera, łom, korba?

Przestraszony Józik wyskoczył z wozu. — Co się stało? Biją?

— Migiem, migiem, migiem! — powiedział sekretarz. — Zabieraj, co masz i na brzeg! — Odwrócił się i pobiegł z powrotem.

Wieprzek zaszył się w gęste leszczyny nad wodą. Pochrząkiwał niespokojnie. Widać było czarny grzbiet w liściach i duże uszy pokryte różowymi plamkami. Muszyna i Szeląg stali obok — nauczyciel z suchą gałęzią.

— Sekretarzu — powiedział — to cudza świnia.

Miedza nie zwrócił uwagi. Chwiał się trochę.

— Teraz do wody go, chłopcy! W wodzie mu przywalimy.

— Gdyby nie ja — pochwalił się Szeląg — poszłaby w las. W ostatniej chwili zabiegłem drogę!

Czekali na Józka. Kierowca przybiegł objuczony: dźwigał siekierę, łom i żelazną korbę. Rzucił wszystko na ziemię.

— Wojtanowski nic tu nie ma. Tylko tę siekierkę znalazłem w komórce.

Wojtanowski, właściciel pola z łubinem i nieotylnokowanego domu na wzgórzu, był jednocześnie stróżem rybacówki. Miał etat w Radzie i co miesiąc jeździł po pensję do miasta.

— Dawaj, dawaj, Józik! — sapał sekretarz.

Kierowca zobaczył świnie w krzakach i zaczął się śmiać.

— Sekretarzu, to przecież świnia! Szkoda zabijać!

— Co mi tu będziesz gadał! — poczerwieniał nagle Miedza. — Świnia, świnia! A ja ci mówię, że dzik! Dzik, czy nie? — zwrócił się do Szeląga.

— Dzik, dzik — powiedział nauczyciel. — Przela-
tek.

— Widzisz, Józek? Sam prezes Koła mówi, że dzik!
Józik już nie odezwał się.

Potem poszło gładko. Szeląg zaszedł świnie od tyłu
i łomem uderzył w grzbiet. Kwiknęła ostro i wybiegła
z krzaków. Dziewczyny na tarasie wspięły się na palce.

— Oni ją naprawdę zabiją — powiedziała Baśka.

Miedza z uniesioną siekierą czekał. Józik podskoczył
z korbą — uderzył mocno. Stuknęła, jak o kamień. Znów
ten ostry kwik. Miedza, na rozkraczonych nogach, pod-
chodził wolno. Świnia weszła do wody, ale cofnęła się
zaraz. Zakręciła w miejscu, jakby nie wiedziała dokąd
biec. Wtedy Miedza uderzył. Bił ostrzem. Trysnęła na
boki krew. Muszyna poczuł krople na twarzy. Odszedł
kawałek na bok — robił zdjęcia. Potem chwyciły go
mdłości i zwymiotował pod pnem. Nie widział świno-
bicia do końca.

Na wodą wieprzek klęknął kwicząc, a kiedy chciał
wstać, skoczył Szeląg z łomem. Uderzył w grzbiet. Po-
tem Józik przyłożył korbą. Bili tak na zmianę: siekiera,
łom, siekiera, łom. Korba. Dziewczyny z tarasu widziały
tylko błyski nad ich głowami.

Miedza, kiedy zmęczył się, oddał siekierę kierowcy.

— Obuchem go, Józik, obuchem! — Stał z czoła
krew.

Muszyna słyszał te uderzenia, jakby bili cepami.
Wieprzek rzucał się trochę, próbował wstać, kwiczał
jeszcze, potem wtulił łeb w ziemię, między racice i tylko
dreszcz wstrząsał nim po każdym uderzeniu. Krople krwi
leciały na boki. Przestali bić, kiedy znieruchomiał.

Szeląg odrzucił łom. Stał rozkraczony — ścierał pot
z twarzy. Józik klęknął (takie zdjęcie zrobił Muszyna:
kierowca klęczy, wsparty na drzewcu siekiery).

— No co, redaktorze: pieczeń będzie! — zaśmiał się
nauczyciel (błady redaktor stanął przy nich).

Z tarasu przybiegły dziewczyny. Patrzyli wszyscy na

świnie. Kałuża krwi pod łbem roztapiała się w glinie
i piasku. W mięsie połyskiwały kawałki kości. Grzbiet
krwawił jeszcze. W miejscu, gdzie nauczyciel bił najmoc-
niej, sierść wyglądała, jak czerwona miazga.

— Jezu! — szepnęła Baśka.

— Nie wiem czemu — mówiła do Reńka — zaczę-
łam wtedy płakać. Twój ojciec tak mnie zdenerwował
i jeszcze ta krew! Oni wszyscy zaczęli się śmiać ze mnie.
Musiałam odejść na bok.

— I co? — pytał Reniek. — Co potem? — Popa-
trzył na niebo, czy nie ma pierwszej gwiazdy.

— Pili — mówiła Baśka. — Pili. — I jeszcze raz
powtórzyła: — Pili.

— Pod tego dzika, panowie! Pod dzika — mówił
Szeląg.

— Panny, a wy co? — pytał Leluchowicz. — Dla
kogo ta wódka?

Potem Miedza pijany leżał na wersalce. Leluchowicz
zaciągnął Zoškę na górę. Dziewczyna niby się opierała,
ale poszła. Szeląg usiłował chwycić Baškę — wymykała
się między plecionymi fotelami na tarasie. Muszyna sie-
dział wsparty o kamienny murek. Śpiewał, ale nikt nie
zrozumiałby słów. Poprzewracane butelki leżały na stole,
skrzynka po piwie była pusta.

Leluchowicz przekręcił klucz w zamku.

— Basiu! Basiu! — krzyknęła Zośka. Ale Baški nie
było.

Szeląg tylko wszedł po drewnianych schodach, cze-
piając się rzeźbionej poręczy i zaczął stukać do drzwi.

— Panie magistrze niech pan otworzy! — mówił.
— Panie magistrze!

Leluchowicz nie odpowiadał.

Miedza zasnął na tapczanie — nogi rozrzucone sze-
roko, niedopięte spodnie, jeden sandał spadł na podłogę
i leżał obok wersalki. Muszyna śpiewał. Szeląg łomotał
do drzwi.

— Panie magistrze! Panie magistrze! — słycać było na dole.

Baśkę Józik odwiózł wcześniej do miasta. Niby odstawić do „Obywatelskiej” skrzynkę po piwie, butelki i hermetyczne termosy.

— Panie kierowco — mówiła dziewczyna. — Tak pana proszę!

I Józik ustąpił. Nauczyciel zszedł trochę później na dół — jakiś czas nawet kopał w drzwi (na białej powierzchni zostały ślady gumy od obcasów), ale Leluchowicz nie otworzył i wtedy. Szeląg usiadł na drewnianej ławie pod ścianą, ręce położył na kolanach. Zasnął później z szeroko otwartymi ustami.

Zośka zbiegła dopinając na bluzce guziki z masy perłowej.

— Świnia, świnia! — powtarzała. — Co on chciał zrobić!

Podbiegła do stołu. Chwyciła za serwetę i zrzuciła zastawę na podłogę. Butelki z piwem potoczyły się po dębowej klepcy, zadzwoniły tłuczone kieliszki.

— Macie wy! — krzyknęła. — Macie!

Cisnęła butelką w martwą naturę nad wersalką (obraz spadł obok śpiącego Miedzy, ale sekretarz nie zbudził się), zerwała firankę. Potem wybiegła na ciemny taras, gdzie Muszyna oparty o kamienny murek śpiewał swoją pieśń bez słów.

Rano Miedza — niewyspany, z podpuchniętymi oczami — kazał Czesi jechać z Józkiem do rybacówki i zrobić porządek. Czesia wzięła szotkę, wiadro, dwie ściereki i pojechali. Złapała się za głowę, kiedy weszli do domku. Podłoga w pokoju zasłana szkłem, na wpół zasnęte kałuże piwa i wódki. Brudna serweta pod stołem, zerwane firanki. Na tarasie poprzewracane fotele, ślady torsji.

Przyszedł Wojtanowski, stróż — gruby, duży mężczyzna w czarnym mundurze i czapce z zielonym otokiem

(miał również etat w elektrowni przy tamie — pracował w straży przemysłowej). Czesia, na klęczkach ścierała podłogę w dużym pokoju. Drzwi na taras były otwarte. Józik siedział na kamiennym murku. Wojtanowski, sapiąc, stanął obok.

— No i co, Czesia? Zabawili się twoi państwo! Trzeba sprzątać!

Czesia fuknęła zła: — I twoi, i twoi, Wojtanowski!

Strażnik śmiał się: — O, bardzo przepraszam! Ja mam etat w Prezydium. Pan przewodniczący Turoń nie pije!

— Wszyscy oni tacy sami! — mówiła sprzątaczką. — Panowie! Do jednego worka! — Zebrała potłuczone szkło z podłogi i wyspała do wiadra.

Józik chrząknął. Popatrzył na stróża i zapytał:

— Wojtanowski, a świnia wam czasem nie zginęła?

— Świnia? — zainteresował się stróż. — A tak, tak! Wczoraj wieprzek nie wrócił na noc. Taki nieduży, czarny.

— I już nie wróci! — pokiwał głową Józik. — Nigdy.

Wojtanowski nie chciał wierzyć. Dopiero kiedy poszli do piwnicy, gdzie od wczoraj leżał zabity wieprzek, załamał ręce. — Zakontraktowany był. Jakże tak?

Józik tłumaczył: — Po pijanemu wzięli świnie za dzika. U pijaków wszystko możliwe, a co pan myśli?

— Jakże tak, jakże tak? — powtarzał stróż. — Nawet nie wypatroszony porządnie. Kto mi za niego zapłaci?

— Ubezpieczenie — powiedział kierowca. — Zawiadomcie tylko Oddział, że się utopił. My wam poświadczymy.

Wyszli z piwnicy na słońce. Wojtanowski stracił humor. Nie śmiał się już z Czesi, kiedy wrócili na taras. Usiadł na kamiennym murku, patrzył jak sprzątaczką ścierała na klęczkach podłogę i powtarzał: — Jakże tak, no jakże tak, ludzie!

— I co, Baśka — dopytywał się Reniek. — I co?

— Nic, Reniu — mówiła dziewczyna. — Żaden mnie nie tknął palcem. Tylko Zośka z tym magistrem poszła. A teraz nie chce mówić. Ale ja wiem. Po oczach poznam!

Błysnęła pierwsza gwiazda i Reniek objął Baškę mocniej. Widzieli jeszcze, jak chwasty przy kamiennych nagrobkach chwieją się na wietrze i słyszeli szum w koronach topól. W dole świeciły okna miasta. Potem osunęli się między płyty. Szybko zapadał mrok.

VIII. PANIE JANKU, CO SIĘ Z PANEM DZIEJE?

Siedzieli na parterze, w gabinecie majora Popielaka. Przez uchylone drzwi na taras Groszek widział białe bratki w ogródku. Były tam jeszcze szafirki i narcyze kołyszące się w podmuchach ciepłego wiatru. Żona majora lubiła kwiaty. Zajmowali mieszkanie na piętrze, nad aresztem.

Przesłuchanie prowadził porucznik Gontarski. Niski brunet ze srebrnym zębem w górnej szczęce. Kiedy ruszał głową, połyskiwały szkła okularów.

— My wszystko wiemy, Groszek — mówił. — Nie macie co ukrywać. Odśloniliście dostatecznie swoje oblicze, wyłożyliście karty na stół. Przyznajcie się lepiej od razu: kto wam za to zapłacił i jaką sumę?

Stary wzruszał ramionami. Z początku protestował, próbował tłumaczyć.

— Jakie pieniądze? Grosza jeszcze nie zapłacili i pewno nie zapłacą. Gdybym wiedział, to nawet za sto tysięcy nie brałbym takiej roboty!

Mówił, że nie miał kantówki i deski słabe — piątej klasy, okorki. — Spytajcie kierownika Rybaczyńskiego, jaki był materiał. Z przodu dałem kobyłki dla wzmocnienia. Jak ukradli, to czyja wina? — Powoływał się na przewodniczącego Turonia: — Sam przychodził prosić. Nie chciałem kończyć tej trybuny.

Gontarski nie reagował. W końcu stolarz zamilkł, nie mówił już nic. Pocił się i od czasu do czasu wycierał czoło białą chusteczką. Porucznik powtarzał swoje:

— Sprawa jest dla nas jasna, Groszek. Wzięliście pieniądze i dobrze wykonaliście wrogą robotę. Zakpiliście z państwowego święta!

Stary patrzył na bratki w ogródku.

— Wiemy o was wszystko, Groszek — mówił Gontarski. — I to, że ukradkiem posadziliście pięć morelowych drzewek na parceli przeznaczony pod publiczny szalet. I to, że skargę napisaliście do najwyższych władz na inżyniera Targowskiego z Prezydium. I to, że kupiliście nielegalnie dwa kubiki desek z tartaku w Miłkowicach. I nawet, że wnuka nie chcecie oddać do seminarium, choć żona na was naciska. — Tu porucznik Gontarski uśmiechnął się i dodał: — Słusznie, słusznie, Groszek, nie te czasy.

Stary patrzył w okno za plecami porucznika. Widział niebo nad ogródkiem, w którym żona majora hodowała kwiaty. Nie mówił nic. Gontarski kiwał głową:

— Poszliście na lep, Groszek! Poszliście na wrogi lep!

Wstał i przesunął pod biurko mały stolik z kąta. Leżał tam przygotowany długopis i kilka kartek podanego papieru.

— Piszcie, Groszek, piszcie — powiedział.

Stolarz nie rozumiał — Co? Co mam robić?

Porucznik nagle zdenerwował się. Uderzył dłonią w biurko: — Wy dobrze wiecie, co macie robić! Piszcie! Nie symulujcie! — I zasłonił się gazetą.

Stary pomyślał chwilę, potem napisał kilka zdań dużymi, koślawymi literami: „Oświadczam niniejszym, że jestem niewinny. Deski, jakie mi dostarczono, były nie warte. Prosiłem o trzecią klasę, a dostałem piątą i to same okorki. Kierownik Rybaczyński nie dostarczył ponadto kantówki, a wyżej wymienionych desek tylko dwa kubiki, gdy ja chciałem trzy. I w ogóle nie wiem, o co

mnie tutaj oskarżają ani dlaczego grożą. Jeżeli donos złożyła niejaka Domaradzka Stanisława, to uwierzyliście kobiecie z gruntu fałszywej i złej, co ma do mnie żal osobisty. Jestem wolnym człowiekiem, dlatego protestuję...”

Dalej nie mógł już napisać ani słowa. Ręka trzęsła mu się zbyt mocno i litery wykoślawiły bardziej. Ostatnie zdanie pisał już bardzo wolno.

— Panie poruczniku — powiedział — nie mogę pisać. Odwykłem.

Gontarski wziął kartkę, przeczytał, skrzywił się i poszedł do majora Popielaka. Nie wracał kilka minut. Groszek siedział sam naprzeciw pustego okna. Oddychał głęboko. Patrzył na szafirki w ogródku.

Gontarski wrócił z majorem. Major Popielak — wysoki, tęgi mężczyzna (nawet w upały latem chodził w skórzanym płaszczu) — wszedł do gabinetu uśmiechnięty. Mówiono o nim, że jest uczciwym człowiekiem — taka była opinia. Nie lubił chuliganów, to prawda, tych wszystkich długowłosych hippiesów.

— Do łopaty, do węgla! — powtarzał często. — W kamieniołomach zamykać!

Pod tym względem zgadzali się całkowicie z prezesem Kółka Łowieckiego — Szelągim. Sam major był także zapalonym myśliwym. Często widziano jego gazik, jak jechał serpentynami nad jeziorem w stronę pustkowi w górach (w tych odległych miejscach położone były tereny zarezerwowane dla majora i towarzyszy z Województwa). Mówiono, że lubi sobie postrzelać czasem i że nawyk ten został mu jeszcze z czasów wojny, kiedy służył w oddziałach partyzanckich.

Ludzie odnosili się do majora z szacunkiem. Na ulicy często pozdrawiali go nieznajomi. Major — w skórzanym płaszczu, wysokich butach-oficerkach — przykładał dwa palce do daszka. Opowiadano, że i wypić lubi czasem: — Swój chłop — mówiono — bo co to za mężczyzna, co od kieliszka ucieka?

Znana była historia z niejakim Mierzejewskim, który zaprosił majora na wesele córki (wychodziła za kaprala Smółkę — funkcjonariusza z naszej Komendy). Mierzejewski pędził bimber i pod wieczór, kiedy już wszyscy byli pijani, postawił na stołach samogon. Myślał, że Popielak nie zauważy, ale major poznał od razu. Mrugnął na Mierzejewskiego i pogroził palcem.

— I co? — mówili ludzie. — I nic. Swój chłop. Człowieka nie skrzywdził!

Major miał konika, o którym wszyscy wiedzieli: radiofonizację. To on wystarał się o nyskę z głośnikiem. I on wystąpił z projektem założenia na placach i ulicach megafonów, przeciwko czemu, z takim uporem, protestuje przewodniczący Turoń. Sprawa ostatnio stała się głośna.

Teraz, uśmiechnięty, podał staremu rękę: — Panie Janku, co się z panem dzieje? Kilku słów dla nas nie chce pan napisać?

Groszek wstał. Nogi mu lekko drżały w kolanach.

— Jestem niewinny, panie majorze — powiedział.

Popielak przysunął krzesło do małego stolika, usiadł wygodnie. — Siadaj pan, panie Janku — mówił. — Może papirusika? — Wyciągnął paczkę z kieszeni.

Groszek odmówił. — Nie-palący jestem.

Major uśmiechał się życzliwie. Włożył papierosa do ust, Gontarski podskoczył z zapaloną zapalniczką. Popielak zaciągnął się dymem.

— Jak tam rybki, panie Janie? — spytał.

Groszek myślał, że major żartuje. Odpowiedział niepewnie: — Rybki? Ano, pływają.

— I ja mam akwarium, a jakże. Na pięćdziesiąt litrów. Grzałkę niemiecką kupiłem przedwczoraj. Dwa-dziesiąt pięć amperów. Trochę za słaba.

Stary ożywił się. — Niemiecką?

Rozmawiali kilka minut o rybkach. Popielak radził się, czy pokarm dawać rano i wieczorem, czy tylko rano.

Stolarz, jakby zapomniał, dlaczego tu siedzi. Tłumaczył majorowi ile trzeba sypać rozwielitki.

— Dwie szczypty, panie majorze. Najwyżej.

Nagle major zmienił się. Popatrzył na Groszka inaczej, jakby teraz dopiero go dostrzegł. Przestał się uśmiechać.

— Obywatelu Groszek — powiedział innym tonem — ciąży na was zarzut bardzo poważny. Zakłóciliście swoim podstępym działaniem państwową uroczystość. Ulegliście podszeptom wrogich elementów, jakich u nas, niestety, nie brak.

Stary patrzył na majora zaskoczony. Szukał może tego uśmiechu, który znikł z okrągłej twarzy Popielaka, jak zdmuchnięty wiatrem?

— Panie majorze — powiedział — panie majorze... — I znów ręce zaczęły mu drżeć.

Pod oknem, z nogą założoną na nogę, siedział porucznik Gontarski. — Poszłicie na lep, Groszek — dodał. I błysnął srebrnym zębem.

W południe Groszkowa modliła się w kościele. Był pusty o tej porze — dwie stare, jak ona, kobiety w czarnych chustkach, klęczały na stopniach ołtarza. Widziała naokoło kolorowe plamy przeświecającego przez witraże słońca. Zapach starego drzewa i kamiennej posadzki.

— Panie Boże — modliła się Groszkowa — Ty wiesz, że on jest niewinny. Przecież na umyślnie tego nie zrobił, nawet desek porządnych mu nie dali ani kantówki. Jak miał robić, z czego? Panie Boże, ty słyszysz i widzisz wszystko. Pomóż temu staremu człowiekowi, on naprawdę nie chciał, nawet w głowie mu taka myśl nie zaświtała! On już tylko: stolarka, rybki, ogródek i ten wycho-dek, przeciw któremu protestuje, aby nam przed nosem nie postawili, w czym również mu dopomóż, amen!

Muszyna zadzwonił do majora z poczty. Ludzie sły-

szeli, jak mówił: — Majorze kochany, czy to aby nie przesada z tym Groszkiem?

Major pewno spytał, kto mówi.

— Redaktor Muszyna — powiedział. — Przecież jasne jest, że nie chciał tego zrobić, to stary, chory człowiek. Chcecie pokazowy proces urządzać? — Muszyna zaśmiał się w słuchawkę, a potem śmiejąc się popatrzył na ludzi stojących w kolejkach do okienek. Nikt nie uśmiechał się jednak.

Major mówił pewno o wrogich elementach i o czujności. Na przykład: — Redaktorze Muszyna, ja w wasze sprawy nie wchodzę, wy nie ruszajcie moich. Wiecie dobrze, że są jeszcze u nas wrogie elementy, które chciałyby siać zamęt i dezorganizować życie. A jeśli, wymieniony przez was obywatel Groszek, pokumał się z takimi elementami? Musimy być czujni, redaktorze Muszyna. Dziwię się, że zapominacie o tym!

Muszyna (ciągle śmiejąc się): — Towarzyszu majorze, nie pouczajcie mnie względem czujności i wrogich elementów. Jestem na pewno dostatecznie czujny. Tu chodzi o starego człowieka i o jego zdrowie. On przecież nie chciał trybuny budować. Mówił o tym uczciwie samemu przewodniczącemu, są liczni świadkowie. O co go posadzacie? O sabotaż? Nie daliście mu nawet porządnych desek. Pracownicy Wydziału Gospodarki Komunalnej zwodzili go do ostatniej chwili. Ja znam fakty, towarzyszu Popielak! Chodzi o to, żeby bez powodu nie skrzywdzono człowieka. Ja z tą sprawą udam się do pułkownika Gałeczki z Komendy Wojewódzkiej, jak wy nie chcecie rozmawiać!

To ostatnie zdanie Muszyna powiedział bardzo głośno, już bez uśmiechu i zaraz odwiesił słuchawkę. Wyszedł z urzędu energicznym krokiem. Chwilę kołysały się wahadłowe drzwi pchnięte mocno. Ludzie w kolejkach do okienek milczeli.

W godzinę później Groszek wracał do domu. Rzeź-

nik Rybarczyk widział go, jak szedł, trochę zgarbiony, powłócząc nogami, w swoim czarnym odświeżonym garniturze, który wydawał się lekko zmięty. Udał, że nie słyszy, kiedy Rybarczyk wołał do niego:

— Hej, panie Groszek, już pana puścili?

— W domu — opowiadała Groszkowa — spytał, czy rybki były karmione i zdenerwował się, że nie. Nie zdjął nawet marynarki, stał przy akwarium z pół godziny. Broda mu taka siwa wyrosła...

Groszkowa trochę płakała.

— Widzisz, widzisz, Jańciu! Wszystko moja modlitwa. Ty bezbożniku! — powiedziała. — Pan Bóg ciebie pokarał za brak wiary.

Wszedł Piotruś, wnuk, ucieszył się, jak zobaczył dziadka.

— O, dziadziu! Czy to prawda, że świecą w oczy przy badaniach? — Groszek nie odpowiedział. Zaraz wziął łopatę i bez marynarki, w szelkach, kopał do wieczora w ogródku. Olczakowa, sąsiadka, opowiedziała Groszkowej dopiero rano o rozmowie Muszyny z majorrem. Była na poczcie i słyszała wszystko.

— Co za szczęście, co za szczęście — powtarzała Groszkowa. — Jednak to opatrność zesłała tego człowieka! — Zamyśliła się i dodała: — Wie pani, co mąż powiedział w nocy? Nie mógł długo zasnąć. Mówił, że jak wyszedł z Komendy, już jak go puścili, stanął na chwilę, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Pani kochana, tyle godzin! I wtedy usłyszał sygnaturkę w kościele. Dzwonili na majowe. On nigdy taki nie był, żeby mówić o tym, co przeżywa, a teraz powiedział. To świeże powietrze, zieleń, rzeka w dole (pani wie — Komenda jest wysoko) i ta sygnaturka, której słuchał długo...

Muszyna z poczty poszedł do „Obywatelskiej”. Przesiedzieli z Flachą do ósmej. Potem wyszli i zatrzymali się pod budką z piwem. Obaj na niepewnych nogach. Redaktor czekał oparty o deskę obitą blachą. Rybaczyński pła-

cił za piwo. Naokoło stali mężczyźni z butelkami. Muszyna słyszał urywki rozmów — ktoś śmiał się, inny kaszłał. Zapach piwa wisiał w powietrzu.

— Ty, Stasiu, kurwa, uważaj!

— Ja bardzo panią przepraszam! (głos Flachy).

— Na Mierzejewskiego nie ma co liczyć.

— Ty, Stasiu, kurwa, uważaj!

— Ja mu powiedziałem dwa razy i jeszcze raz powiem...

— Jak Boga szczerze kocham.

— Ty, Stasiu, kurwa, uważaj!

— Ja bardzo panią przepraszam.

Flacha przyniósł dwa kufle. Pili. Muszyna czekał wsparty o deskę obitą blachą. Rybaczyński coś mówił, śmiał się. Stali otoczeni, jak brzęczeniem pszczół, gwarem rozmów.

Harmonista Józek Domaradzki kupił używany akordeon. Przeczytał ogłoszenie w gazecie — napisał list (harmonię sprzedawał ktoś w innym mieście). Przyszła odpowiedź, Domaradzki wysłał pieniądze i otrzymał harmonię w paczce.

— Uczciwy człowiek ten gość — ucieszył się. Od momentu wysłania przekazu (dwóch tysięcy), martwił się, czy otrzyma harmonię. Był to stary, wysłużony akordeon Weltmeister. Dlatego kosztował tanio.

Akurat wyszedł na balkon (mieszkał z żoną i dzieckiem przy rynku), żeby wypróbować instrument. Kiedy zaczął grać, mężczyźni spod budki podnieśli głowy.

— Józiu! — zawołał znajomy traktorzysta — zagraj nam coś do płaczu!

Flacha trącił redaktora: — A gdybyśmy tak zatańczyli, Andrzejku? — Pociągnął Muszynę pod balkon. — Oberka, oberka! — krzyknął (Domaradzki grał tango dla traktorzysty).

Mężczyźni z butelkami podeszli bliżej. Domaradzki zobaczył kierownika Rybaczyńskiego, uklonił się i zagrał

skoczną melodię. Muszyna z kierownikiem zaczęli tańczyć. Nie szło im składnie z początku. Jeden ciągnął w jedną, drugi w drugą stronę. W końcu złapali rytm. Muszyna przytupywał i przyklękał, aparat przewieszony przez ramię podskakiwał do taktu.

Flacha pohukiwał: — Uha! Uha!

— Graj, Józiu, graj! — zachęcał Domaradzkiego traktorzysta.

Inni śmieli się i bili brawo. Kioskarka wyszła z budki. Na chodnikach stawali ludzie, żeby popatrzeć, jak Józek Domaradzki gra na balkonie, a na placu, pod domem, redaktor Muszyna i kierownik Rybaczyński, obaj pijani w sztok, tańczą oberka.

Do Turoniów przyszedł trochę później — Myszka przestraszyła się, kiedy otworzyła drzwi.

— Mąż zasnął, panie Andrzeju. — Zobaczyła, że Muszyna nie ma zamiaru odejść i powiedziała: — Zaraz go obudzę. Proszę, proszę.

— Henryku, on jest nieprzytomny — szepnęła do męża.

Turoń zły, dopinając spodnie, wyszedł ze swego pokoju. Muszyna siedział przy okrągłym stole — wachał narcyze.

Popatrzył na Henryka i powiedział: — Ty, ja już mam dość! Jak Boga kocham.

— Kawy się napijesz? — spytał Henryk. Poszedł do kuchni uspokoić Myszkę.

Kiedy wrócił, Muszyna kiwał się w tył i przód nad stołem. — Co z ciebie za człowiek, Heniu? Czy ty w ogóle masz serce? — spytał.

Henryk milczał niezadowolony. Małgosia zajrzała do pokoju — machnął ręką, żeby wyszła. Muszyna niezdarnie zdejmował marynarkę (powiesił na oparciu krzesła). Na zmiętej koszuli widać było plamy potu.

— Heniek, Heniek, ty tam nic nie masz! — Pchnął pięścią przewodniczącego w pierś.

— Niedługo zamieszkas w knajpie — powiedział Henryk.

— Ludziom dokuczasz, pożyć nie dajesz. A ja ci mówię: każdy niech żyje jak chce! Na siłę chcesz uszcześliwić?

Turoń milczał. Patrzył przez okno na wieczorne niebo. Widać było ciemną linię świerków za rzeką. Na balkonie suszyły się pieluszki.

— Miedza ci dopiekl, Heniu. Jasne. — Zaśmiał się. — Nie żadna tam idea!

Myszka weszła cicho z dwiema szklankami kawy na małej tacy. Przyniosła cukiernicę i talerzyk z herbatnikami. Spojrzała na gościa przestraszona. Muszyna, w koszuli przepoconej pod pachami, siedział rozwalony za stołem.

— Wódki w tym domu nie ma?

Myszka zabrała tacę i wyszła.

— Słuchaj, stary — powiedział Turoń (położył dłoń na ręce Muszyny) — jesteś pijany. Zachowuj się przyzwoicie. Za ścianą śpi dziecko.

Muszyna odsunął szklankę — kawa chlusnęła na białą serwetę. Wstał przewracając krzesło. — Ty tak do mnie? Tak? — Chwiejąc się zaczął iść w stronę drzwi.

— Zaczekaj, stary! — Turoń podniósł marynarkę z podłogi. W korytarzu narzucił Muszynie na ramiona. Wyszli razem na klatkę.

— Już kamień będzie lepszy — powiedział redaktor. — Poczuj jak kopnąć, a ty nie!

— Ciszej, ciszej — prosił Henryk. — Tu mieszkają ludzie.

— A ja kto? — krzyknął Muszyna (chwiął się trzymając poręczy). Patrzył chwilę na Turonia, potem zaśpiewał na cały głos: — „Niech nam żyje rezerwa...”

Zeszli na dół i poszli ulicą w stronę miasta. Myszka wyjrzała na balkon. Słyszała coraz dalszy śpiew:

— „Niech nam żyje rezerwa przez wiele długich lat!”

Muszyna zataczał się — byłby upadł, gdyby nie Hen-

ryk. Skręcili na ścieżkę między łanami żyta. W zmiernych nikt ich sylwetki.

Doszli do drewnianego domku przez pola. Lenka była w kuchni, kiedy przewodniczący Turoń — blady, z kroplami potu na czole — zapukał do drzwi. Muszyna, na chwiejnych nogach, stał obok.

— Pani Lenko — powiedział Henryk — na litość boską: niech pani temu człowiekowi przemówi do sumienia!

Lence ramiona zaczęły drżeć. — Ja wiem, ja wiem. Codziennie to samo. I wraca tak późno.

Razem ułożyli pijanego w łóżku. Zdjęli buty, Lenka wyszła, kiedy Turoń ściągał Muszynie spodnie. Zapach wódki, przepoconej bielizny, niemytych nóg — wypełniły mały pokój. Muszyna zaraz zasnął.

— Biedny człowiek — powiedział Henryk, kiedy wrócił. Długo mył ręce w łazience. Rozmawiał z żoną przez uchylone drzwi.

— Ja nie chcę o tym myśleć — powiedziała Myszka. — Po prostu nie chcę myśleć!

I poszła karmić niemowlę.

IX. TY NAM BŁOGOSŁAW

W niedzielę przed południem poszli do drewnianej dzielnicy. Tak nazywano część miasta poniżej kościoła i za rzeką. (Muszyna z bukietem bzu z ogrodu Lenki przyszedł przeprosić Myszkę — Turoń akurat wychodził). Szli we trójkę — redaktor, Henryk i Małgosia (trzymała ojca za rękę). Przewodniczący mówił o drewnianych domach.

— Najpoważniejszy problem miasta. Tych ludzi trzeba jak najszybciej stąd usunąć.

W drewnianej dzielnicy rzeczywiście było ciężko mieszkać. Stare domy budowano na poziomie rzeki. Na wiosnę często piwnice zalewała woda. Ściany nasiąkały wilgocią, jak papier, drewno próchniało, stropy toczyły grzyb. Mieszkali tu najbiedniejsi: Czesia sprzątaczką, Franek Słomkiewicz z matką, Krzywy Stefan. Ponieważ w planach przewidziano likwidację całej dzielnicy — architekt przestał wydawać zezwolenia na remonty. Od dwóch lat domy niszczały coraz bardziej.

— To osiedle przy Projektowanej miało być dla nich — mówił Henryk. A kiedy szli przez most, dodał: — Źle, że dałem się namówić na mieszkanie w bloku. Trzeba było jednej z tych rodzin odstąpić.

Małgosia spytała: — To gdzie mieszkalibyśmy, tatu-siu? Dalej u pani Wilczyńskiej w jednym pokoju?

Turoń nie odpowiedział, tylko Muszyna zaśmiał się: — Oj, Heniu, Heniu! Nawet dziecko wie lepiej, jak żyć! Za mostem spotkali Franka Słomkiewicza. Podpie-rając się laską szedł do miasta.

— O, pan redaktor i pan przewodniczący! — ucieszył się: — Serdecznie witamy w naszej dzielnicy!

Zaczął zaraz zapraszać do domu, niby, żeby Małgosi pokazać gołębnik. Musieli na chwilę wstąpić. I ten dom był drewniany, stary, z dachu sypały się dachówki, na podwórzu stały kałuże błota. Usiedli na ławce pod okapem.

— Matki nie ma — przeproszał Franek. — Ja sam nawet nie wiem, czym was ugościć.

Poszedł pokazać Małgosi gołębie. Turoń znów zaczął mówić:

— Spójrz! Oni przecież mieszkają jak w chlewach. Zajrzyj do izby, zobaczysz mokre ściany. Dzieci chorują na stawy, starych wykręca reumatyzm. Weź Krzywego Stefana. Niedaleko stąd ma taki domek — klitkę. Przyjrzyj się, jakie powykręcane ma palce. A przecież są tu rodziny wielodzietne: ośmioro i więcej przychówku!

— Dlaczego nie powiesz o tym, gdzie trzeba? — spytał Muszyna.

Turoń zaśmiał się: — Stary! Krzyczę, wołam na zebraniach. Alarmuję Województwo, i co? Na każde twoje słowo mają dziesięć. Front robót stanął, bo inwestor na czas nie złożył dokumentacji. Albo brak jest materiałów, albo teren nie uzbrojony...

Wrócili Franek i Małgosia. — Tatu — cieszyła się mała — pan Słomkiewicz dał mi potrzymać gołębia!

Franek chciał pokazać miejsce, gdzie był wypadek.

— Pół kilometra stąd. Niedaleko. Pan redaktor sam zobaczy!

— Kiedy indziej, panie Franku, kiedy indziej. Chcemy jeszcze popatrzeć na budowę wytwórni — tłumaczył Turoń. — To nie w tym kierunku.

Inwalida poszedł z nimi. Szli kawałek wzdłuż rzeki,

potem żwirowaną drogą, do podnóża świerkowych wzgórz. Naokoło placu postawiono ogrodzenie z betonowych segmentów. Niektóre z płyt leżały przewrócone. Weszli przez jedną z luk. Trawa tu rosła wysoka, po pas, grały świerszcze. Poszli w stronę hali wybudowanej po środku placu.

— Oto skutki ignorancja! — mówił Turoń. — Ci co wpadli na pomysł budowania wytwórni tutaj, powinni siedzieć w więzieniach.

Franek zaśmiał się: — Siedzą, siedzą. Na wygodnych stołkach!

— Teren odcięty rzeką, bez dobrego dojazdu, bez możliwości doprowadzenia linii kolejowej — mówił Turoń. — Zresztą, czy byłoby opłacalne? Kilka milionów poszło w błoto! Niszcząca hala, walący się płot...

Małgosia zaczęła zbierać kwiaty.

— Tatku — wołała kucając w wysokiej trawie — widzisz mnie?

Z dachu budynku zwisały płaty poodrywanej blachy.

— Kradną — powiedział Turoń. — Nie ma etatu stróża. Zresztą po co?

Weszli do pustej hali. Ich głosy brzmiały tu głośniej. Ściany pokrywały nieprzyzwoite rysunki i napisy. Pachniało ekskrementami. Jaskółki z piskiem krążyły pod stropem — wpadały i wylatywały przez powybijane szyby.

— Ekspedientkę w sklepie to posadzą za tysiąc złotych — powiedział Słomkiewicz — a tu poszło tyle i co?

Henryk zdenerwował się nagle: — W willach siedzą panie Franku! Rozbijają się samochodami, piją wodę i bawią się! Ot co! Nie będzie, nie będzie w tym kraju chleba.

— Czego się martwisz, Heniu? — spytał Muszyna. — Twoje?

Turoń poczerwieniał. Odwrócił się gwałtownie i krzyknął:

— Przemij sobie oczy wódką, ty pijaku! Może wtedy zobaczysz, jak jest źle, jak jest źle!...

Echo pod stropem powtórzyło: — Źle, źle, źle!...

Franek i Muszyna patrzyli na niego zdziwieni. Wbiegła Małgosia z bukietem polnych kwiatów.

— Tatku, tatku! — wołała — zobacz, jakie ładne zebrałam. Zaniemiemy mamie.

Turoń uśmiechnął się do dziecka, złagodniał. Kiedy szli z powrotem przez łąkę, powiedział do Muszyny:

— Przepraszam, stary. Niepotrzebnie się uniosłem.

Franek odprowadził ich kuśtykając aż za most. Muszyna obiecał, że zajmie się jego sprawą. Pójdą razem do prokuratora Wojenki (Franek składał w prokuraturze skargę).

Wchodzili wolno przykościelną ulicą pod górę. Akurat była suma. Ludzie stali na dziedzińcu przed kościołem. W gałęziach lip nad placem szeleścił wiatr.

— Dlaczego my nigdy nie chodzimy do kościoła? — spytała Małgosia. Wszystkie dzieci z przedszkola chodzą, a ja nie.

— Jak będziesz duża, sama zrozumiesz — powiedział Turoń.

Nie rozmawiali więcej. Mała wachała bukiet — co chwilę chowała twarz w kwiatkach. Kiedy skręcali koło parku, ludzie przed kościołem zaczęli śpiewać:

— „Ty nam błogosław, ratuj w potrzebie i broń od zguby...”

Słyszeli długo śpiew. Ciepły wiatr wiał znad rzeki.

Do Szafranka — dyrektora Miejskiego Przedsiębiorstwa Budowlanego poszedł w poniedziałek. Dzwonił kilka razy do biura, ale inżyniera nie było.

— W terenie — odpowiadała najczęściej sekretarka. Muszyna postanowił czekać na miejscu.

Baraki Przedsiębiorstwa stoją przy Projektowanej, niedaleko domu Turoniów. Niby na placu budowy, choć w ciągu dwóch lat stanął tylko ten jeden blok. Muszyna

zrobił zdjęcie wykopu pod fundamenty, z kałużą wody na dnie. Obok nieruchoma koparka z uniesioną w góry szuflą. Sekretarka inżyniera widziała z okna baraku, jak Muszyna chodził fotografując rdzewiejący dźwig, stopy na wpuł zgnitych desek, ten pusty wykop i koparkę. W dwie godziny później podała inżynierowi kartkę, którą Muszyna zostawił. Mówiła przejęta wizytą redaktora:

— Panie dyrektorze, był ten dziennikarz z gazety, czekał dwie godziny. Przedtem chodził po placu i fotografował wszystko.

Szafrank (łysy, niski mężczyzna z fajką, której zapach czuć było we wszystkich pokojach baraku — fajkę paliło za jego przykładem już kilku innych pracowników) wziął bez słowa papier. Wszedł do gabinetu, usiadł za biurkiem i zaczął czytać.

Kartka była napisana na maszynie. Muszyna przeproszał za formę w jakiej zwraca się. Ponieważ poprzednio kilkakrotnie nie mógł się z inżynierem skontaktować, pozwolił sobie, na wszelki wypadek, napisać przed wizytą list. Wierzy, że nie sprawi kłopotu prosząc o wyjaśnienie kilku spraw. Potem następowały pytania. Pierwsze: „Dlaczego dotychczas wybudowano tylko jeden blok, skoro w planie przewidywano budowę aż trzech i to do końca minionego roku?” Pytanie drugie: „Czy inżynier Szafrank zna warunki, w jakich mieszkają ludzie z tak zwanej drewnianej dzielnicy i czy fakt ten nie wpłynie na przyspieszenie tempa budowy?” Pytanie trzecie: „W jaki sposób zabezpieczono materiały budowlane na placu i czy zdarzają się kradzieże?” Pytanie czwarte: „Czy towarzysze z Najwyższej Izby Kontroli interesowali się już sprawą wytwórni płyt-sklejek, której budowę przerwano na skutek nieodpowiedniej lokalizacji?” Pytanie piąte: „Co stało się z materiałami niewykorzystanymi przy budowie wytwórni (jak wiadomo postawiono tylko halę główną, która obecnie niszczeje)?” oraz pytanie szóste („ostatnie i prywatne”, jak pisał Muszyna): „Gdzie dyrektor Szafrank studiował i kiedy uzyskał dy-

plom inżyniera?” Redaktor miał kolegę o tym samym nazwisku — dlatego pyta.

Szafrank przeczytał kartkę dwa razy. Na dole, pod pytaniami, było jeszcze kilka zdawkowych uprzejmości. Muszyna zawiadamił, że niedługo zgłosi się po odpowiedź.

Sekretarka — panna Irenka — kilka razy zaglądała do pokoju Szafranka. Zwykle inżynier żartował. Czasem próbował kobietę objąć i posadzić na kolanach. Pracowała dopiero od dwóch miesięcy w Przedsiębiorstwie, ale była zadowolona ze zmiany (poprzednio była referentką w Prezydium). Szafrank widocznie lubił takie jak ona: młode, rosłe kobiety. Nie mogła na inżyniera narzekać. Często, kiedy były tylko we dwie z maszynistką, wchodził żeby opowiedzieć jakiś dowcip.

— Świntuch z tego naszego dyrektora! — mówiła potem maszynistka.

Irenka chichotała ubawiona. Dowcipy Szafranka dotyczyły zawsze tego samego tematu: spraw seksualnych. Na przykład cała seria pytań: „Kiedy kobieta gniewa się?”, „Kiedy kobieta bawi się?”, „Kiedy kobieta mówi 'nie', a kiedy 'tak'?” I wiele podobnych. Perlisty śmiech Irenki słyhać było przez otwarte okna na placu.

Ale teraz inżynier siedział osowiały i nie mówił nic. Sekretarka biustem prawie otarła się o łysinę mężczyzny (z parapetu za plecami inżyniera zabrała pustą szklanę po herbacie). Szafrank i wtedy nie zareagował. Fajka chyba zgasła, bo zapach nie był tak mocny, jak zawsze.

Przed trzecią pojechał do Komitetu. Wysiadł z warszawy, kierowcy powiedzieli, żeby nie czekał na niego, tylko odstawił wóz — i pobiegł na górę.

Miał szczęście — sekretarz akurat wrócił z Prezydium. Szafrank nie witając się, zdyszany (bardzo szybko wchodził po schodach), podał mu kartkę.

— Gienek! Masz, czytaj. Co to za gość ten Muszyna? czego on chce?

Miedza włożył okulary i przeczytał list.

— Jutro może przyjść po odpowiedź. Ty, co ja mu powiem? Jeszcze o ten dyplom pyta!

Szafranek w rzeczywistości był technikiem. Tytułowano go inżynierem z racji zajmowanego stanowiska. Czasem tylko, zwykle po pijanemu, opowiadał, że skończył Wydział Architektury Politechniki Lwowskiej. Dyplom podczas wojny zaginął.

Miedza milczał.

— No, mów coś, Gienek! — denerwował się inżynier. — Co mam temu Muszynie powiedzieć?

— Nie podoba mi się redaktorek — powiedział w końcu sekretarz. I dodał: — Chyba trzeba grać na zwłokę, Władziu. Może go odwołają?

Szafranek, zdenerwowany, usiłował zapalić fajkę.

— Ty wiesz, Gienek, że jak wpadną na sprawę wytwórni, to może być źle. Opóźnień w budowie osiedla nie boję się — zawsze mogę powiedzieć, że inwestor na czas nie złożył dokumentacji. Tak? Ale te sklejki, Gienek, to gorsza sprawa. Jak Boga kocham. Coś ty wtedy o tę wytwórnię tak walczył?

— Ja? — zdenerwował się Miedza. — Ja?

W ciągu następnych dwóch tygodni Szafranek był nieuchwytny. Muszyna dzwonił i kilkakrotnie czekał na niego w baraku. Irenka wręczyła mu we wtorek uprzejmy list, w którym inżynier pisał, że osobiście chciałby wyjaśnić interesujące redaktora sprawy, nawał pracy zmusza go jednak do odłożenia rozmowy na następny tydzień. A potem już tylko mówiła: „w terenie”, „pojechał do Województwa”, a w końcu: „na chorobowym”.

I tak do spotkania nie doszło.

X. DUŻY, DREWNIANY KRZYŻ

Do prokuratora Wojenki poszli z Frankiem w połowie tygodnia, tak, jak Muszyna obiecał. Zadzwoił przedtem z poczty, przedstawił się i zapytał, kiedy mogą przyjść.

— W jakiej sprawie? — spytał Wojenka.

Muszyna wyjaśnił o kogo chodzi.

— Ach, o tego listonosza. No, dobrze, dobrze. Możecie przyjść jutro przed dwunastą.

Czekali w dużym holu — prokuratura mieści się w starym budynku, razem z powiatowym sądem. Wojenka przesłuchiwał dwóch młodych ludzi podejrzanych o napad na sklep GS-u. Byli u niego w gabinecie. W holu siedział milicjant z pistoletem maszynowym. Franek próbował zagadywać:

— To ci, co załatwili GS w Miłkowicach, prawda panie władzo?

Milicjant burknął: — Siedz pan... — Nie powiedział nic więcej.

Kiedy tamci wyszli, Wojenka stanął w drzwiach.

— O, Słomkiewicz, dawno niewidziany gość! A to pewno redaktor. Proszę, proszę. Wejdźcie. — Podeszedł z wyciągniętą ręką.

Był nieduży, krępy, w granatowym ubraniu. Trochę łupieżu leżało na wywatowanych ramionach marynarki.

Twarz miał okrągłą, cały czas uśmiechał się. Posadził Muszynę z Frankiem na krzesłach, z których przed chwilą wstali tamci dwaj. W gabinecie było ciemno — okna wychodziły na ocienioną ulicę przy parku.

— Słucham uprzejmie — powiedział Wojenka.

— Mam pewne wątpliwości, prokuratorze — zaczęła Muszyna — co do sprawy obywatela Słomkiewicza. Podobno nie podaliście mu ręki w biedzie.

Wojenka przestał się uśmiechać. Popatrzył na Franka.

— Oj, Słomkiewicz, Słomkiewicz! Wiemy, wiemy, że na prawo i lewo piszesz skargi i ludziom opowiadasz, jaka ta władza niesprawiedliwa! Nawet redaktorowi zakręciłeś w głowie, co?

Franek podniósł się nieco z krzesła: — Panie prokuratorze, ja naprawdę jestem pokrzywdzony. Ani pracy ani renty...

— Zosiu! — zawołał Wojenka. Z sąsiedniego pokoju wyjrzała dziewczyna z jasnym, wysoko upiętym kokiem (poczuli zapach lakieru do włosów). — Przynieś, dziecko, akta Słomkiewicza! Raz, dwa!

Dziewczyna znikła.

— Oj, Słomkiewicz, Słomkiewicz — powtórzył Wojenka. — Ile ty ludziom napsujesz nerwów, zdrowia. Jakbyście rzeczywiście chcieli zmienić prawdę. A prawdy zmienić nie można, co panie redaktorze?

Muszyna chrząknął: — Chciałbym zobaczyć te akta.

Rozmawiali chwilę o pogodzie. Potem Wojenka zdenrowował się.

— Zosiu, Zosiu! Co za roztrzepana dziewczyna! — Wstał i wyszedł z gabinetu.

Franek powiedział szeptem: — Zawiną, zawiną tę prawdę w papiery, aż tam w środku zginie! Ja wiem swoje.

Prokurator wrócił po chwili. Niósł tekturową teczkę.

— Proszę, proszę, redaktorze! — mówił od drzwi.

— Nie wierzycie władzy, co? Myślicie, że będziemy oby-

wateli krzywdzić bez powodu? Przeczytajcie sami. Proszę bardzo!

Muszyna przejrzał papiery. Była tam skarga pisana własnoręcznie przez Franka, zaczynająca się od słów: „Szanowny obywatelu prokuratorze powiatowy!”, zaświadczenie ze szpitala, szkic miejsca wypadku oraz protokół zeznań świadków.

— Nie ma wyników analizy krwi?

Wojenka przestał się uśmiechać. — A kiedy mieli zrobić, redaktorze? Pan wie, jak to jest. Późno, noc, za miastem. Nim przyjechali towarzysze z Komendy, minęło trochę czasu. Są zeznania świadków. To wystarczy.

— Nikt nie zeznawał, czy Miedza był trzeźwy — powiedział Muszyna.

Wojenka aż odsunął się z krzesłem od biurka. — Jakto, sugerujecie, że towarzysz sekretarz był pijany?

— Nie sugeruję nic. Stwierdzam tylko, że brak w aktach analizy krwi. Świadkowie mówią o Słomkiewiczu. O sekretarzu nie ma słowa.

— Tak, tak, panie prokuratorze — ożywił się Franek. — Właśnie o to chodzi. Okrasa i Lewandowski pili ze mną, ale poprzedniego dnia.

— Słomkiewicz! — huknął Wojenka. — Wy dobrze wiecie, jak było! Byliście pijani. Teraz ludziom mydlicie oczy gadaniem! Piliście?

— Obywatelu prokuratorze...

— Piliście?

— Chciałem coś wyjaśnić.

— Piliście?

— Tak, ale...

— Dziękuję. — Prokurator spojrzał na Muszynę. — Pił, pił, towarzyszu redaktorze. Nie ulega wątpliwości, że był pijany.

— Nie było analizy — powtórzył Muszyna.

— Towarzyszu redaktorze — powiedział Wojenka — od wypadku minęło czternaście miesięcy. Chcecie jakiś dodatkowych informacji — idźcie do Komendy. Ja

opieram się na faktach, na tym, co tu jest! — Zabrał z kolan Muszyny teczkę i uderzył po papierach. — Słomkiewicz złożył skargę. Powiedźcie sami, co na moim miejscu zrobilibyście mając do dyspozycji te materiały? Uwzględnili?

— No, może zacząłbym...

— Uwzględnili?

— Jeśli nie dałoby się...

— Uwzględnili?

— No, nie — powiedział Muszyna. — Na podstawie tych materiałów, nie.

— Dziękuję. — Wojenka uśmiechnął się. Wstał z wyciągniętą ręką: — Wybaczcie, towarzyszu redaktorze, mam za pięć minut rozprawę. — Zwrócił się jeszcze do Franka: — A ty, Słomkiewicz, nie pisz, nie rozrabiaj! Zabierz się do uczciwej pracy! Do nauki!

Franek milczał.

— Po co tracić czas i nerwy, na pisanie tych wszystkich skarg, na zawracanie głowy ludziom? Do widzenia, redaktorze — mówił prowadząc Muszynę do drzwi. — Sprawa jest jasna, widzicie sami!

Wyszli i usiedli w parku, niedaleko pomnika Kościuszki. Na ławkach, naokoło, siedziało kilka kobiet, stały dziecinne wózki. Dzieci bawiły się na ścieżkach.

— Naprawdę piłeś, Franek? — spytał Muszyna po chwili.

— Jak Boga kocham, poprzedniego dnia.

— On rzeczywiście nie mógł inaczej — powiedział Muszyna. — Jak wtedy nie wzięli krwi do analizy, to co miał robić? Tamci powiedzieli, że pili z tobą i tak...

— Okrasa miał do mnie żal — Franek machnął ręką i zwiesił głowę. — Dwadzieścia jeden lat życia. Niby człowiek młody, a tylko te rybki i gołębie zostały, co redaktorze?

— Łowisz ryby?

Franek westchnął: — Trochę kłusuje. Stawiamy pęczki na węgorku. W sobotę jedziemy ze szwagrem.

— I gołębie?

— Gołębie, to od dziecka. Jeszcze ojciec mnie uczył, jak się obchodzić. Póki żył.

Potem siedzieli w milczeniu. Dzieci bawiły się na ścieżkach. Kościuszko trzymał uniesioną szablę. Zegar na wieży kościoła wybił dwunastą. Franek wstał.

— Pójdę już, panie redaktorze. Dziękuję, że był pan ze mną. Chyba już trzeba się z tym pogodzić, co?

— Pogódź się, Franek — przytaknął Muszyna. — Będzie ci lżej.

Odprowadził inwalidę do ulicy przy kościele. Pożegnali się.

— Pan przyjdzie do nas kiedy — powiedział Franek. — Pół litra wypijemy.

Odszedł podpierając się laską. Muszyna patrzył, jak powoli kuśtykał w dół. Z kościoła wybiegła gromada dzieci z białoczerwonymi chorągiewkami (pewno po święcie Trzeciego Maja). Ze śmiechem i krzykiem rozbiegły się naokoło Franka, który nie oglądając się szedł przed siebie. Muszyna tak go zapamiętał: w gromadzie dzieci potrząsających chorągiewkami z papieru, na ulicy opadającej do rzeki. Widać ją było w dole, między dachami domów i zielenią drzew.

Szeląg był prezesem naszego Koła Łowieckiego. Nawet niektórzy uczniowie mówili do niego „panie preze-sie”. Zwłaszcza na lekcjach wychowania obywatelskiego, które prowadził. Po studiach, jako magister WF przyjechał do nas z centrali. Minęło wiele lat — z małego pokoiku przy rynku Szeląg wyprowadził się do większego mieszkania w bloku przy Projektowanej, a potem do własnego domku, który budował od dwóch lat. Był wysoki, przystojny i wiele dziewczyn chętnie by za niego wyszło (Lence także kiedyś podobał się — tańczyła z młodym nauczycielem na balu maturalnym). Ale mijały lata, Szeląg utył, zgorzkniał, zmieniał mieszkania i nie żenił się. Sprowadził sobie kuzynkę-nie kuzynkę (tak ją

ludzie nazywali), kobietę od niego starszą — Lola do niej mówił — i tak oboje żyli.

— Jak mąż z żoną, to jasne — mówiły kobiety.

— Jaka tam kuzynka? — śmieli się mężczyźni.

Chłopcy ze starszych klas nazywali Szelałę „prezes Lola”. Nauczyciel, jeśli usłyszał przezwisko, wpadał w złość, dlatego tylko wieczorami, kiedy wracał po ciemku do nieotynkowanego domu za miastem, wołali z daleka: „Prezes Lola! Prezes Lola!” I kryli się za płotami. Prezes groził pięścią niewidocznym prześladowcom i klnąc odchodził.

Lola była kobietą cichą, zawsze zajęta domem, często widywano ją w ogródku, który pielęgnowała starannie. Chodziła do kościoła i spowiadała się, ale nie wiadomo było, czy z grzechu współżycia z mężczyzną bez ślubu (ksiądz Olejniczak nie mówił nic). Od pewnego czasu mówiono, że mają dziecko.

— Za co on taki dom postawił? — zastanawiali się ludzie. (Szelałę zbudował dom dwupiętrowy, podpiwniczony — z tarasem i garażem).

— Nie bójcie się, dewizowcy mu płacą.

— Dewizowcy? A czy to prywatne jelenie prezesa?

Chodziło o myśliwych-cudzoziemców, którzy przyjeżdżali jesienią na polowania. Szelałę, jako prezes Koła, woził ich po terenie i odwiedzał w leśniczówkach.

— Lola, Lola musi mieć — mówiły kobiety. I ta opinia przeważyła w końcu. W to, że z nauczycielskiej pensji Szelałę postawił dom, nie wierzył nikt.

Wrócił tego dnia zdenerwowany (pokłócił się z Kwasiborskim w szkole) i siedział przy obiedzie nie mówiąc nic. Lola nalała zupę, jedli w milczeniu.

— Co tam? — zapytał. — Śpi?

— Chyba mnie poznaje — powiedziała. — Uśmiecha się, jak wchodzę.

Więcej nie mówili. Dopiero po obiedzie Szelałę wszedł do pokoju obok. Lola stanęła przy nim. W małym metalowym łóżeczku z siatką leżało dziecko. Miało wielką

głowę i chude rączki. Kiedy Szelałę pochylił się, zaskrzeczało.

— Widzisz, widzisz? Poznaje i ciebie.

Stali chwilę nad łóżeczkiem. Z ust dziecka sączyła się strużka śliny. W pokoju pachniało moczem. Przez uchylone okno wpadało trochę słońca. Żółte prostokąty zastygły na ścianie nad łóżeczkiem. Kobieta pomacała prześcieradło.

— Znów nabrudził. Muszę zmienić.

Szelałę wyszedł z pokoju.

To dziecko Lola urodziła przed trzema laty. W rok po przyjeździe do nas. Może chcieli się pobrać? Kobieta źle znosiła ciążę — musiała wyjechać do matki. Wróciła po roku z odchowanim niemowlęciem. Niepokoiła się, że ma taką dużą głowę. Szelałę uspokajał:

— Nic mu nie będzie, zobaczysz!

Chłopiec nie rozwijał się jednak i w końcu lekarze z województwa jasno powiedzieli, że będzie nienormalny. Radzili oddać do zakładu, ale Lola nie chciała. Starali się ukryć, że dziecko jest — ludzie jednak wiedzieli. Gniazdowski często u nich bywał — opowiadał później żonie. Pielęgniarkę z ośrodka najmowali, kiedy Lola chorowała. Pewno, że było im wstyd. W domu nie przyjmowali nikogo. Nie potrafiło chodzić i trzeba je było karmić. Załatwiało się pod siebie. I tylko czasem, kiedy słońce padało przez uchylone okna i na ścianie stały jasne kwadraty światła, Lola pochylając się nad łóżeczkiem mówiła:

— Śpij. Śpij spokojnie. Mogą sobie opowiadać, że jesteś nienormalny, ale przecież wyrośniesz kiedyś, będziesz jak inni, jak wszyscy, prawda?

Szelałę już chyba nie wierzył.

Hippies zamieszkał w namiocie nad rzeką. Chodzili tam do niego chłopcy i dziewczyny ze starszych klas. Przesiadawali do późna. Z mostu widać było mały na-

miot, a wieczorami płonące ognisko. Nad wodą niósł się śpiew chłopców i pobrzękiwanie gitary.

Hippies był chudy, chodził zawsze bosy, nawet do miasta. Sierżant Olszewski zatrzymał go kiedyś — obejrzał dokładnie i chwilę zastanawiał się, co robić. Chłopak był w spłowiełej, drelichowej kurtce bez guzików, na jego gołych piersiach widać było duży drewniany krzyż z odłupaną figurą Chrystusa (wisiął na konopnym sznurku). Z włosami opadającymi na kark i rzadką rudą brodą. Ale jeźdźnię przeszedł prawidłowo — po białych pasach. Olszewski nie miał podstaw, żeby ukarać mandatem. Pomyślał, potem machnął ręką. Powiedział tylko:

— Umyjcie lepiej nogi.

Hippies miał rzeczywiście bardzo brudne nogi mimo, że mieszkał nad rzeką i musiał brodzić przy brzegu. W dzień najczęściej spał. Wieczorami wypełzał z namiotu, przeciągał się, jadł coś (dziewczyny przynosiły mu na zmianę obiady w blaszankach), potem siedząc oparty o starą skrzynkę, wyrzuconą na brzeg, grał na gitarze. Młodzi wysiadali przy nim godzinami, choć hippies mówił mało, a kiedy odzywał się, to opryskliwie. Zwłaszcza Reniek często teraz chodził nad rzekę. Leżąc na brzuchu, na trawie, w której znaleźć można było kawałki szkła i kał gęsi, słuchał, jak długowłose gra i śpiewa trochę schrypniętym głosem. Śpiewał najczęściej cygańskie, smutne pieśni. Do późna widać było z mostu jego namiot oświetlony ogniskiem, pas wikliny tuż nad rzeką i dalej błyski światła na wodzie.

Ktoś przesowi powiedział o długowłosym — najpewniej któryś z tych wzorowych uczniów, donosicieli. Zresztą w mieście coraz głośniej było — ludzie mówili, że koło mostu zamieszkał wariat. Wieczorami szli na skarpe, a śmielsi schodzili niżej, żeby hippiesa obejrzyć dokładniej. Matki zaczynały narzekać, że demoralizuje dzieci.

Szeląg wybrał się tam po południu, o czwartej, kiedy jeszcze nikogo przy namiocie nie było, sam hippies tylko

siedział oparty o skrzynkę i śpiewał. Nauczyciel spotkał na skarpie Jasia Flachę. Rybaczyński, trochę pijany, przyjechał z wózkiem po trawę.

— Chodź, Jasiu — powiedział Szeląg. — Idę pogadać z hippiesem.

Flacha zgodził się chętnie. Zeszli ścieżką na łąkę i szli chwilę w stronę rzeki. Gęsi z sykiem uciekały spod nóg. Stanęli za plecami długowłosego słuchając, jak gra. Nie widział ich, lub nie zwrócił uwagi. Chrypiał jakieś niezrozumiałe słowa, uderzał o struny. Flacha i Szeląg patrzyli na jego włosy zakrywające chude ramiona i na tę wypłowiałą drelichową kurtkę. Szeląg chrząknął, ale hippies i tym razem nie spojrzął na nich. Dopiero jak obeszli skrzynkę i stanęli plecami do rzeki, uśmiechnął się i przestał grać.

— Nie masz czasem papierosa? — spytał nauczyciela.

Szeląg poczerwieniał. Stał z rękami w kieszeniach — wielki, masywny, w sportowej koszuli z krótkimi rękawami. Widać było odsłonięte mięśnie rąk. Jasne spodnie z tropiku starannie odprasowane, beżowe pantofle z grubego płótna.

— Ty — powiedział — nie piliśmy jeszcze wódki, co?

Jasiu Flacha, trochę pijany, spocony, w tej swojej wiśniowej koszuli non-iron z podwiniętymi rękawami, stał obok. Zaśmiał się głośno.

Hippies nie powiedział nic, znów zaczął brzdąkać na gitarze. Między ramionami Szeląga i Flachy widział kawałek rzeki.

— No i co — zapytał nauczyciel — długo masz zamiar tu siedzieć?

Hippies nie odpowiedział. Szeląg podszedł i wyrwał mu gitarę z rąk. Uderzył o kolano — zabrzczały cienko struny, sucho trzasnęło drewno. Chłopak zerwał się, przybladł trochę.

— Co pan zrobił? Jakim prawem?

Szeląg rzucił gitarę na ziemię.

— Pan nie ma prawa — powtórzył chłopak. — Mogę robić, co chcę. Pójdę po milicję...

Jasiu Flacha śmiał się za ich plecami.

— Grozisz? — spytał Szeląg. Posunął się o krok. Chłopiec cofnął się przed nim, potknął o skrzynkę i zachwiał. Prezes, z rękami w kieszeniach, napierał na niego. — Straszysz mnie?

Hippies chwycił nauczyciela za rękę. Może chciał utrzymać równowagę? Nie mógł już cofać się dalej z powodu skrzynki. Szeląg wyszarpnął rękę z kieszeni — Flacha widział, jak chwycił chłopca za klapy wypłowiałej kurtki i jak uderzył. Był to prawy prosty wymierzony w twarz. Rybaczyński usłyszał uderzenie. Hippies osunął się na kolana, potem, kiedy Szeląg puścił klapy kurtki, upadł na twarz. Prezes trącił jego ramię nogą. Chłopak nie ruszał się. Długie włosy rozłożyły się jak wachlarz na trawie.

— Załatwiłeś go, Mieciu — powiedziała Jasiu Flacha. — Ładnie.

Szeląg zajrzał do namiotu. Leżało tam małe brezentowe wiadro z drewnianymi uchwytami. Nauczyciel zaczerpnął wody z rzeki i chlusnął na głowę chłopca. Hippies poruszył się, jęknął, ale nie wstał.

— Zostaw go, Mieciu — poradził Flacha. — Nic mu nie będzie.

Szeląg cisnął puste wiadro pod namiot. Poszli wolno łąką w stronę skarpy. Nauczyciel nie mówił nic, obejrzał się dwa razy. Hippies leżał, tak jak go zostawili — koło drewnianej skrzynki. Widać było bosc nogi i wypłowiałą kurtkę. Obok leżała połamana gitara i puste brezentowe wiadro.

— Masz parę, Mieciu — mówił z uznaniem Flacha. — Dowaliłeś mu, aż echo pod mostem odpowiedziało!

Zaśmiał się. Gęsi z sykiem uciekały spod ich nóg. Deptali po żółtych arnikach. Szeląg nie mówił nic.

Wieczorem poszedł sprawdzić, czy hippies jeszcze jest, ale nie było nikogo. I już więcej nikt nie widział małego namiotu koło mostu ani ogniska wieczorami nad rzeką. Nie słyhać było cygańskich pieśni, śpiewanych ochryplym głosem ani brzęku gitary. Chłopcy i dziewczyny ze starszych klas przestali tam chodzić. Został tylko wypalony ślad po ognisku i trochę wygniecionej, żółtej trawy w miejscu, gdzie stał namiot.

W niedzielę przed południem, Reniek z niejakim Soczewińskim z tej samej klasy, poszli pod kościół. Na placu, za murem z głazów handlarze poustawiali swoje stragany z dewocjonaliami. Sprzedawano tam także odpustowe drobiazgi — gwizdki, trąbki, gliniane kogutki, diabełki klekoczące czerwonymi językami i piłeczki na gumkach. Akurat była suma — ludzie tłoczyli się przed głównym wejściem. Podzwaniały cienko dzwonki ministrantów, pachniało kwiatem lip rosnących przy kościele. Reniek z Soczewińskim długo szukali czegoś w stosach książeczek do nabożeństwa, kolorowych obrazków, medalików i różańców. Wybrali jednakowe drewniane krzyże wielkości męskiej dłoni. Kosztowały drogo — po pięćdziesiąt złotych — ale nie targowali się wcale. Zapłacili i bez słowa odeszli.

— Do zakrystii pójǳcie, chłopcy — powiedział za nimi straganiarz. — Wikary poświęci.

Nie odpowiedzieli ani nie obejrzelisi nawet. Poszli wzdłuż muru do dziury wybitej w kamieniach. Przeszli na drugą stronę.

Kościół stoi na wzgórzu — za murem teren opada łagodnie w stronę łąk i drogi nad rzeką. Dalej błękitniały świerkowe wzgórza. Chłopcy usiedli na kamieniach między chwastami.

Reniek wyjął z kieszeni składany kozik, otworzył i ostrzem podważył Pana Jezusa ze srebrnej blaszki. Oderwał figurkę i rzucił pod nogi. Zerwał także tabliczkę z literami „INR” przybitą małym gwoździem. Podał kozik

Soczewińskiemu, a sam, przez blaszane oko, zaczął przewlekać konopny sznurek. Kiedy skończył, zrobił pętlę i zawiesił krzyż na szyi.

Soczewiński nie mógł oderwać swoich blaszek. Reniek przyglądał się chwilę, potem odebrał mu nóż i krzyżyk, mocniej przycisnął kozik do drzewa i odgiął figurkę. Na krzyżu została nieduża rysa, jak ślad blizny.

— Uważaj! — zdenerwował się Soczewiński.

Reniek potarł drzewem o spodnie, chuchnął. — Nie widać! — powiedział.

Soczewiński także przeciągnął sznurek przez blaszane oczko. Zawiesił krzyż na szyi. Nie mówili do siebie więcej. Zdjęli sandały — Reniek przyszedł w gumowych gdynkach. Złożył je i wsunął za pasek. Schylił się, żeby podwinąć nogawki spodni. Na ziemi, obok kamienia, leżał blaszany Pan Jezus. Rozkładał ręce, jakby źle mu było bez gwoździ i krzyża.

Kiedy wracali przez miasto — w rozpiętych na pierśsiach koszulach, długowłosi, z tymi krzyżami na pętlach z konopnego sznurka — ludzie oglądali się za nimi. Obaj byli skupieni, poważni, rozstali się w milczeniu na rynku. Dobrze, że Olszewskiego nie było, bo przeszli przez plac nieprawidłowo — najkrótszą drogą, na skos, daleko od białych pasów wymalowanych na asfalcie.

XI. SZALET W MORELOWYCH DRZEWKACH

W niedzielę był u Groszków na obiedzie. Groszkowa przychodziła kilka razy do Prezydium. Czekwała na Turoń pod gabinetem, a kiedy wychodził, przypominała:

— Panie przewodniczący! Pięknie prosimy na dwunastą w niedzielę. Pana z żoną i tego redaktora.

Turoń obiecywał, że przyjdą, ale w sobotę po południu ciotka wyjechała i nie było z kim zostawić dzieci. Muszyna poszedł sam. Nie chciał — wymawiał się spotkaniem z Jasiem, któremu obiecał wspólny wypad nad jezioro. Turoń musiał go prosić.

— Idź, stary, idź. To bardzo dobrzy ludzie. Nie wypada.

Kiedy przyszedł, siedzieli na ławce przed domem: stary w czarnym garniturze i Groszkowa w granatowej sukience z koronkowym kołnierzykiem. Młodzi — Stach Groszek, kierowca z POM-u i jego żona, ekspedientka ze sklepu tekstylnego (w niebieskiej sukience z mieniącej się tafty) — wynieśli z domu krzesła. Wnuk Groszka, Pietrek, w granatowym mundurku, z głową obwiązaną bandażem, czytał głośno gazetę. Przerwał, jak tylko zobaczył Muszynę koło furtki. Wszyscy wstali i poszli na spotkanie.

— Serdecznie prosimy, pana redaktora — powiedział Groszek. — A gdzie przewodniczący?

Muszyna, trochę speszony, tłumaczył, dlaczego Turo-
niowie nie przyszli. Chciał Groszkową pocałować w rękę,
ale kobieta odsunęła go łagodnie.

— To my pana redaktora powinniśmy po rękach...
Za to, co dla męża zrobił. — I pochyliła się nisko.

Dom był stary, drewniany i tak, jak u Lenki, okna
były małe. Podłoga jakby zapadła się niżej. Pachniało
drzewem i wanilią z drożdżowego ciasta. Wchodząc do
dużego pokoju, w którym stał przygotowany stół, trzeba
było uważać na wysoki próg. Pokój był ciemny — zaraz
za oknami rosły jabłunki, a na parapetach stały kwiaty
(prymule w doniczkach owiniętych białą bibułą). Na
ścianie, nad czarnym oszklonym kredensem, wisiał świę-
ty obraz: Pan Jezus w łódce na wzburzonym jeziorze
Genazaret.

Groszek pokazał Muszynie akwarium. Stało pod dak-
tylową palmą w kącie pokoju. Wnętrze oświetlała ża-
rówka: widać było kolorowe rybki i jasnozielone wo-
dorosty.

Siedzieli potem przy okrągłym stole przykrytym obru-
sem z grubego płótna. Groszkowa podała rosół z kury.
Listki pietruszki pływały między żółtymi okami tłuszczu.

Rozmowa ożywiła się przy drugim daniu (szczupak
złowiony przez Staszka), kiedy stary rozlał nalewkę.

— Jałowcówka własnej roboty — zachwalał. — Po-
zwoli, pan redaktor!

Muszyna nie odmawiał. Pierwszy podniósł kieliszek:
— Zdrowie gospodarzy!

Stach Groszek zaprotestował głośno: — Bardzo prze-
praszam, panie redaktorze, ale pijemy zdrowie gościa!

Nalewka była ostra, pachniała igłami jałowca. Ko-
biety umoczyły tylko wargi w kieliszkach, mężczyźni wy-
pili do dna. Piotruś napił się kompotu ze szklanki. Kiedy
Groszkowa podała deser (kawę, budyń w salaterce i
drożdżowe ciasto z kruszonką), mówili już głośniej
i śmiech słychać było w ogrodzie. Stary wstał, wyjrzał
na próg, a potem pozamykał okna.

— Co ty, Jańciu? — zaniepokoiła się Groszkowa.
— Będzie duszno.

Stolarz nie zwrócił uwagi. Zaczął opowiadać historię
szaletu.

— Z tym wychodkiem, panie redaktorze, to było
tak...

Muszynie dopowiedział później Jasiu Flacha, jaki był
początek. Słyszał rozmowę architekta Targowskiego z se-
kretarzem. Miedza pewno podszedł do okna i poczuł
fetor z parku. Zwłaszcza w upalne dni targowe, kiedy
do miasta przyjeżdżało sporo ludzi ze wsi, zapach był
mocny. Kto musiał szedł za potrzebą do parku — jasne.
Jedyny wychodek w „Obywatelskiej” nie wystarczał,
zresztą najczęściej bywał zamknięty.

— Z ulicy przychodzą, panie kierowniku — skarżył
się kelner Ludwiś. — Idą i idą z tymi zabłoconymi
buciorami. A potem wracają i znów brudzą!

Kierownik kazał wychodek zamykać.

Miedza skrzywił się i zaraz zadzwonił do Targow-
skiego.

— Inżynierze — powiedział — jak wy dbacie o
miasto? Ludzie nie mają nawet porządnego szaletu. Trze-
ba postawić obiekt.

Flacha był wtedy u Targowskiego i słyszał rozmowę.
Architekt obiecał, że szalet wybuduje.

— Tak jest, towarzyszu sekretarzu — mówił. —
Wstawimy do planu.

Minęły dwa lata i szaletu nadal nie było.

— Na skutek pieniactwa właściciela działki, na któ-
rej zaprojektowano obiekt — mówił Targowski.

W pogodne dni, zwłaszcza w lipcu i sierpniu („Tu-
ryści, turyści!”), Miedza często musiał zamykać okna.
Zawsze wtedy dzwonił do Prezydium i pytał:

— No co z tym szaletem, inżynierze? Będzie w koń-
cu, czy nie?

— Właściciel gruntu odwołuje się od decyzji loka-

lizacyjnej — tłumaczył architekt. — Jak tylko załatwimy formalności, zaczniemy budować!

W ostatnich miesiącach Targowski przestał wierzyć w powodzenie sprawy i zaczął myśleć o nowej lokalizacji. Groszek nie wiedział jeszcze o tym.

— Zaczęło się wszystko od Domaradzkiej — mówił — siostry architekta. Ten Domaradzki jest referentem w POM-ie. Mieszkanie załatwił mu szwagier, przy rynku. W sierpniu, przed dwoma laty, teść Domaradzkiej zmarł. Na drugi dzień kobieta przyszła do mnie. Chciała trumnę na piątek, a w czwartek przyszła. Powiedziałem jej uczciwie: „Pani Domaradzka, nie zrobię w żadnym wypadku!” Akurat miałem pilną robotę — ławki do szkoły kończyłem. Zbliżał się nowy rok. A ona zaraz z krzykiem do mnie, że niby taki nieużyty jestem. I pojechali do Miłkowic. Niejaki Baran ma tam warsztat.

Stach Groszek zaśmiał się: — Ładną im trumnę wyszykował. Nie mogli to poczekać dzień?

Groszek pomilczał chwilę. — I tak, panie redaktorze, doszliśmy do sedna. To Domaradzka kazała bratu wychodek zbudować tutaj! Groszkowi na złość. — Ręce staremu zaczęły się trząść, głos załamał.

Groszkowa pogłaskała go po dłoniach. — Nie denerwuj się, Jańciu, nie denerwuj! Przecież już morelowe drzewka w tym miejscu posadziłeś. Da Pan Bóg, nie postawią!

Stach śmiał się jeszcze: — Akurat Pana Boga będą pytać. Postawią i tyle!

Muszyna obiecał, że porozmawia z architektem. Zaraz potem zaczął podnosić się, dziękował za obiad. Starzy chcieli go zatrzymać, ale wymówił się spotkaniem (Flacha czekał w „Obywatelskiej”). Kiedy podawał rękę Piotrusiowi, spytał o bandaż. Groszkowa załamała rękę.

— Opowiedz, Piotrusiu, redaktorowi — powiedziała. — Jak na spowiedzi księdzu!

Piotrusia uderzył Szelaąg tego dnia, kiedy aresztowano starego. Poprzedniego wieczoru chłopiec krzyknął za nau-

czycielem „prezes Lola!”. Było ciemno, szli z Reńkiem daleko za Szelaągiem — był pewien, że ich nie widział. Ale Szelaąg musiał zapamiętać głos młodego Groszka i podczas dużej przerwy, następnego dnia, odwołał go na bok. Soczewiński z ich klasy opowiadał akurat, jak sprzedał WFM-kę.

— Taki grat stary, ale wmówiłem facetowi, że jest dobry. Wyczyściłem błotniki, błyszcząły ładnie i gość uwierzył. Nawet nie wiem, czy do domu na niej dojechał! A ja z trzema patykami zostałem, tak?

Chłopcy śmieli się. Szelaąg podszedł do Piotrusia, położył rękę na jego ramieniu.

— Groszek, pozwól no! — powiedział.

Było już po dzwonku — boisko opustoszało. Tylko Reniek stał kilka kroków obok i widział wszystko. Szelaąg bez żadnego wstępu powiedział:

— Słuchaj, Groszek, jak jeszcze raz zawołasz, tak jak wczoraj, to pogadamy inaczej! — Poczzerwieniał nagle (Reniek widział, jak zacisnął ręce) i dodał: — Na razie tyle! — I pięścią uderzył Piotrusia w twarz.

Reniek usłyszał to uderzenie — takie głośne klaśnięcie. Piotruś zaraz zaczął płakać. Szelaąg, czerwony, krzyknął:

— Do klasy, do klasy!

Przez całą lekcję Piotruś trzymał się za ucho — skarżył, że źle słyszy. Reniek śmiał się, kiedy wracali:

— Ale ci prezes przywalił! Dobrze, że tylko raz!

W domu ucho nie przestało boleć, Piotruś opowiedział o zdarzeniu rodzicom (opuścił tylko to, że krzyczał „prezes Lola!”), nikt jednak nie miał głowy tego dnia. Dopiero, jak stolarz wrócił, Groszkowa opowiedziała o pobiciu wnuka.

— Kompres mu zaraz położyłam, ale jeszcze do dziś źle słyszy. Krwihak się podobno zrobił.

Groszek zdenerwował się, chciał zaraz iść do Kwasi-borskiego. Stara i syn, odradzali.

— Po co, po co? Jesteś teraz na widoku. Trzeba ludziom zejść z oczu!

Skończyło się na wizycie u lekarza. Gniazdowski powiedział, że bębenek jest uszkodzony, zapisał maść i zaczął owijać głowę bandażem.

Muszyna nie chciał wierzyć.

— Pięścią w twarz? Natychmiast pójde do szkoły! To niesłychane.

Groszkowa przestraszyła się nagle: — Panie redaktorze, ten Szeląg, to zły człowiek. Będzie się później mścił.

— Lepiej zostawić, nie ruszać — przytakiwał Stach.

Muszyna nie chciał ustąpić. — Trzeba kochani — tłumaczył. — Dziś dzieci, a jutro nas zaczną bić! — Wkładał ortalionowy płaszcz w korytarzu.

Groszkowie stali przy furtce, kiedy odchodził. Odwrócił się — pomachał ręką. Stali i patrzyli za nim. Muszyna zrobił takie zdjęcie: płot, między zielenią owocowych drzew dach domu i przy furtce oni wszyscy — siwa głowa starego, koronkowy kołnierzyk Groszkowej, Stach w czarnym garniturze, błyszcząca suknia jego żony. I Piotruś Groszek, najmłodszy — w mundurku ze srebrnymi guzikami i z głową w białych bandażach.

Do domu wrócił po szóstej. Lenka sama była w kuchni. Matka chodziła na majowe nabożeństwa wieczorami. Dziewczyna prała nylonową bluzkę w miednicy. Otworzyła Muszynie drzwi i cofnęła się szybko. Była w halce, przez którą przeświecał różowy stanik.

Muszyna pił z Jasiem Flachą od czwartej. Zatoczył się w korytarzu, potrącił rower. Wszedł za Lenką do kuchni. Dziewczyna przestraszyła się.

— Czego pan chce?

Muszyna w rozpiętym płaszczu, z przewieszonym przez ramię aparatem-lustrzanką, stał po środku izby i chwiał się w tył i przód. Zaczął zbliżać się do Lenki,

a ona, w tej halce, zasłaniając piersi mokrymi rękami, cofała się w stronę okna.

— Pani Lenko — powiedział (głos miał zmieniony). — Pani Lenko.

Dziewczyna oparła się o parapet. Ramiona zaczęły jej drżeć. Muszyna stanął blisko, objął mocno i pocałował. Poczowała zapach wódki. Zaczął ją popychać w stronę kozetki. Lenka opierała się, strącili z parapetu doniczkę z pelargonią. Ziemia zachrząściła pod nogami. Muszyna sapał, aparat-lustrzanka zsunął mu się z ramienia i stuknął o podłogę.

— Proszę mnie puścić! — powtarzała Lenka. — Panie redaktorze!

Upadli na kozetkę. Muszyna usiłował odpiąć Lence stanik. Porwał ramiączka halki. Wtedy zaczęła płakać. Ustąpiła nagle, tylko drżały jej ramiona i łyzy ciekły przez palce. Ścierała je rękami czerwonymi od zimnej wody. Muszyna odpiął stanik i zaczął całować drobne piersi dziewczyny. Ślinił się, jego palce były ciepłe.

Później, dysząc, leżał na kozetce. Zamknął oczy. Drobne krople potu wystąpiły na czole. Lenka jeszcze płakała. Odsunęła się od Muszyny, poprawiła spódnicę i zapięła stanik. Płacząc zaczęła zbierać łupiny doniczki z podłogi.

Muszyna po kilku minutach podniósł się z kozetki, zapiął spodnie, powiedział coś, czego Lenka nie zrozumiała i wyszedł z kuchni. Znów potrącił rower w korytarzu. Słyszała, jak zamykał drzwi od pokoju obok. Pod oknem został niepotrzebny aparat-lustrzanka. Leżał na ziemi z rozbitej doniczki.

Rano zatrzymał dziewczynę, kiedy wychodziła do Prezydium. Nieogolony, w poplamionych spodniach i zmiętej koszuli, wyrzwał z łazienki. Chwytał dziewczynę za rękę.

— Pani Lenko! — powiedział szeptem. — Przepraszam.

W sionce było ciemno, nie widziała dobrze jego twarzy. Usiłowała uwolnić rękę. Pachniało kiszoną kapustą z beczki, stary rower utrudniał przejście. Na szyi dziewczyny zadzwoniła czeska kolia.

— Pani Lenko — powtórzy Muszyna — gdyby pani zgodziła się zostać moją żoną, to ja gotów jestem wszystko zrobić. Zmienię się, przestanę pić. Jak Boga kocham.

Zamilkł. Woda kapąca w łazience. Dzwoniła cienko szklana kolia. I znów ramiona Lenki zaczęły drżeć. Spytała:

— Mówi pan poważnie?

— Jak Boga kocham. Widzi pani, ja chciałbym mieć kogoś...

Nie dokończył — pewno zabrakło mu słów. Lenka przestała wrywać rękę. Stali tak w milczeniu, tylko woda kapąca w łazience i cienko podzwaniała czeska kolia.

— Spotkajmy się wieczorem nad rzeką — poprosił Muszyna. — Tam na tej skarpie za ruinami. Przyjdzie pani o siódmej?

Skinęła głową. Puścił jej drobną rękę, patrzył, jak wychodziła. Zachrobotał klucz w zamku, potem kroki Lenki zastukały po płytach chodnika i zapadła cisza.

XII. ŚWIETLIKI

Architekt Targowski zatrzymał nowy wóz — BMW-2000 — naprzeciw sklepu monopolowego w wąskiej uliczce za rynkiem. Kupił samochód dzięki ogłoszeniu w gazecie. Zapłacił, jak mówiono, trzysta osiemdziesiąt tysięcy — niedrogo, biorąc pod uwagę ceny wozów na giełdzie. Inżynier — młody, przystojny mężczyzna z niewielką łysiną zaczynającą się od czoła (jedno z nielicznych zmartwień architekta — podczas ostatniego pobytu w Województwie był u dermatologa, ale lekarz powiedział, że skutecznej metody na łysienie nie ma) — zamknął drzwiczki, spojrzął na samochód i wszedł do sklepu.

— Dzień dobry, pani Wandeczko! — powiedział do tęgiej ekspedientki.

Przekomarzał się i zartował chwilę z kobietą. Kupił półtora litra wyborowej i litr jarzębiaku — razem pięć butelek, które pani Wanda starannie owinęła w papier.

— Do żony znajomi przyjeżdżają, trzeba przyjąć.

— Pewno, pewno! — śmiała się ekspedientka.

Żona inżyniera, pani Kama — młoda, ładna kobieta — niedawno skończyła studia. Pracowała w Powiatowym Biurze Projektów — miała etat zastępcy kierownika. Pochodziła z centrali i często lubiła to podkreślać.

— My tu na dorobku jesteśmy — powtarzała znajomym.

Inżynier zabrał butelki, pożegnał się i wyszedł na ulicę. Wszystkie półlitrowki ułożył na tylnym siedzeniu. Kiedy zamykał drzwi, zobaczył dyrektora Kwasiborskiego. Stary nauczyciel szedł w stronę rynku.

— Moje uszanowanie panu dyrektorowi! — Powiedział głośno inżynier.

Dyrektor Kwasiborski przystanął. — Dzień dobry, dzień dobry, moje uszanowanie! — Spojrzał na samochód i pokiwał głową: — Bardzo przyzwoity wóz!

„Przyzwoity” było ulubionym słówkiem dyrektora Kwasiborskiego. Używał je często mówiąc na przykład: „przyzwoity człowiek”, „przyzwoity uczeń”, „przyzwoity urząd”, „przyzwoite zebranie”, i tak dalej.

Samochód rzeczywiście wyglądał ładnie: kremowa karoseria, czarne fotele, zgrabna sylwetka.

Targowski zagadnął o komórkę. Kwasiborski mieszkał z żoną w niedużym domku na peryferiach — w komórce chciał urządzić warsztat stolarski.

— Emerytura blisko, trzeba się czymś zająć, panie — tłumaczył.

Inżynier odniósł się życzliwie do prośby o lokalizację — wydał zezwolenie, mimo że nie było podstaw (obiekt miał być drewniany), nie chciał przyjąć dwóch tysięcy za projekt i osobiście przyjechał doradzić, w którym miejscu komórkę budować.

Teraz zaproponował, że podwiezie dyrektora do szkoły, ale Kwasiborski odmówił.

— Niedaleko, niedaleko! Pan inżynier pewno w przeciwnym kierunku.

Rzeczywiście — architekt jechał odwieźć butelki do domu. Nauczyciel przytrzymał go za rękaw.

— Dawniej uczyliśmy dzieci, że szlachta rozpijała chłopów samogonem. A to przecież kropla była w porównaniu z tym, co teraz! — Pokazał witrynę sklepu.

— Ludzi jest więcej — powiedział Targowski.

— Ba, ale i wódki, i wódki. Chodźmy zobaczyć, panie. — I Kwasiborski pociągnął inżyniera do środka.

Stali chwilę w progu. Patrzyli na półki pełne butelek. Wódka połyskiwała za szkłem. Pani Wanda spojrzała zdziwiona — inżynier mrugnął do niej. Kiedy wyszli stanął przy tylnych drzwiach samochodu. Nie był pewien, czy nauczyciel widział wódkę, czy nie.

— Czasem ten kieliszek trzeba wypić, dyrektorze. Nie zaszkodzi na pewno.

Kwasiborski popatrzył na niego i nie powiedział nic. Odszedł wąską ulicą bez pożegnania. Architekt Targowski — młody przystojny mężczyzna — patrzył za nim chwilę. Kwasiborski szedł z głową opuszczoną, dużymi krokami, patrzył pod nogi. Inżynier uśmiechnął się, otworzył drzwi kremowego BMW, wsiadł, uruchomił silnik i odjechał.

W sklepie monopolowym pani Wanda poprawiła włosy stojąc naprzeciw oszklonych drzwi. Motyl cytrynek (wleciał przed chwilą z ulicy) bezgłośnie poruszał skrzydłami na wielkiej szybie.

Już po dzwonku Reniek wyszedł z klozetu i skierował się w stronę klasy. Dyrektor Kwasiborski zatrzymał go na korytarzu. Reniek wyjął jedną rękę z kieszeni. Stał przed dyrektorem trochę schylony, o głowę od starszka wyższy, z włosami na karku, w połatanych dżinsach i w tych swoich wielkich butach numer dwanaście. Kwasiborski krzyczał:

— Demoralizujesz kolegów, włączysz się, wagarujesz, spojrzysz do lustra, jak ty wyglądasz? To ma być przyzwoity uczeń?

— Panie dyrektorze... — zaczął Reniek.

Kwasiborski nie dał mu skończyć. — Gdzie byłeś wczoraj? Masz usprawiedliwienie? Rodzice wiedzą?

— Panie dyrektorze...

— Dlaczego nie ostrzygłeś włosów, zapowiadałem

ci, że w czwartek masz przyjść ostrzyżony. Dziś jest poniedziałek.

— Panie dyrektorze...

— Dlaczego nie masz tarczy na rękawie? Czy matka nie może przyszyć guzików? Co to za spodnie?

Reniek przestępował z nogi na nogę.

— Nie będę z tobą rozmawiał więcej! — krzyczał Kwasiborski. — Tylko z ojcem! Jesteś w klasie przedmaturalnej. W tym roku powinieś zdawać maturę. Pięć dwójek grozi ci na okres!

— Nie postawią — wtrącił Reniek.

— Co? Ty nam będziesz dyktował? — Staruszek aż cofnął się o krok. Krzyczał cały czas i ktoś z nauczycieli wyjrzał na korytarz. Reniek, z ręką w kieszeni, wielki, z włosami na karku, stał przed dyrektorem. Kwasiborski odwrócił się gwałtownie. Odszedł szybko.

— Idź na lekcję — powiedział cicho i nie spojrzał nawet, czy Reniek posłuchał, czy nie.

Chłopak wzruszył ramionami i wolno zaczął iść w stronę klasy. Przystanął pod oknem, wyjął z kieszeni niedopałek papierosa, który przez cały czas trzymał w zwiniętej dłoni i wrzucił do kosza.

Z pokoju nauczycielskiego wyszedł Szelaąg. Szedł pustym korytarzem szybkim, sprężystym krokiem. Niósł dziennik i piłkę do siatkówki. Na boisku czekała na niego klasa Reńka.

— Masz zwolnienie, Reniuś?

— Tak jest, panie profesorze.

— No to do klasy, do klasy, chłopcze.

Szelaąg skreślił na schody. Reniek słyszał, jak zbiegał w dół — słychać było głośne kroki na drewnianych stopniach. Poszedł do klasy i nie widział już, jak Szelaąg wracał po chwili z redaktorem Muszyną, którego spotkał na dole. Muszyna pytał o dyrektora Kwasiborskiego.

Wieczorem Szelaąg poszedł do kierownika Rybaczyńskiego. Rybaczyńscy mieszkają w parterowym domku z

ogródkiem na przykościelnej ulicy. Widać stąd rzekę w zakolach. Głośno wybija godziny kościelny zegar. Szelaąg zajrzał z sieni do kuchni, ale była tylko żona Jasia.

— Janek? — spojrzała na nauczyciela. — Jak nie ma w knajpie, to przy królach. On tylko tam, albo tu!

Rzeczywiście — Rybaczyński kłęczał w komórce z kłatkami królików i czyścił dolne segmenty. Pachniało króliczym łajnem i wilgotną trawą. Jasiu podwinął rękawy. Przyświecał sobie latarką czyszcząc klatki. Króliki wpuścił do kojca z desek przed komórką.

— O, Mietek — ucieszył się. — Dobrze, że jesteś. Pomożesz ustawić półkę. Tu chcę postawić, zobacz. — Pokazał pustą ścianę pod oknem.

Szelaąg usiadł na skrzynce przy drzwiach. Od razu zaczął mówić.

— Ty, co to za gość ten Muszyna? Czego on chce, kurwa? Jak szuka guza, to mu powiedz. Nie musi długo szukać. Jak Boga Kocham, Janek!

— Nie denerwuj się, Mieciu. O co chodzi?

Szelaąg opowiedział o wizycie Muszyny w szkole.

— Z pretensjami przyszedł, że pobiłem ucznia i że sprawa kwalifikuje się (takiego słowa użył) do prokuratora. Wyobrażasz sobie? Do prokuratora!

— Pobiłeś? — spytał Flacha.

— Jasiu, znasz mnie. Jak szczeniak za bardzo podskoczył, to musiałem dotknąć. Ale przecież nie tak, żeby zaraz do prokuratora. A ten Muszyna, cały czerwony, krzyczał przy Kwasiborskim: „To są gestapowskie metody! Uczeń stracił słuch na dwa tygodnie, jak go pan pięścią uderzył!”

— Kogo? Kogo? — zainteresował się Flacha.

— Groszka — powiedział po chwili Szelaąg. Zapalił papierosa. — Wnuka tego stolarza.

— Oho! — ucieszył się Rybaczyński. — Uważaj, Mieciu! Stary redaktora napuścił, to jasne!

— Janek — mówił Szelaąg przyglądając się, jak Rybaczyński znika z głową w klatce. — Ty mnie znasz nie

od dziś. Ze szczeniakami trzeba ostro, inaczej z nogami wejda na głowę. Z kuratorium niedawno dostałem pochwałę za pracę. A ten mi będzie mówił, że do ministerstwa napisze i prokuratorem straszy!

Rybaczyński wygarnął naręcz wilgotnego siana. Rzucił na przygotowaną taczkę.

— Uspokój się, Mietek. On tego nie zrobi. Znam Andrzejka!

— Wiesz jaki jest Kwasiborski — mówił Szeląg. — Trzęsie łydkami przed byle kim. Trzeba go było widzieć, jak skakał koło tego Muszyna: „pan redaktor to, pan redaktor tamto!” Prosił go, niby w moim imieniu, żeby ze sprawy nie robił użytku. A potem, jak już ten Muszyna poszedł, powiedział w pokoju nauczycielskim: „Kolego Szeląg, kary cielesne są niedopuszczalne!”

Jasiu Flacha zaśmiał się z głową w klatce. — Mów, mów, Mieciu! Słucham.

— Janek — powiedział Szeląg. — Ty znasz tego redaktora lepiej. Pogadaj z nim, powiedz ze dwa słowa od siebie. Wiesz, jak jest. Niby piliśmy w rybaczówce, ale to nie to, co ty.

Rybaczyński śmiał się: — Nic ci nie zrobi, znam go. To dobry gość.

Szeląg nie mógł się uspokoić. — Weź mnie kiedy, Jasiu, jak będziesz z nim pić — poprosił. — Postawię wam pół literka, pogadamy...

— Załatwione — obiecał Flacha. Wyczołgał się z klatki.

Potem ustawiali nowe półki, które Rybaczyński zbił własnoręcznie z sosnowych desek. Były to nowe deski piątej klasy, tak zwane okorki. Na półki pod klatki w sam raz. Część desek, przykryta brezentową płachtą, leżała jeszcze pod płotem.

— Skąd masz tyle tego? — zainteresował się Szeląg.

Flacha popatrzył na nauczyciela. — Nie puścisz?

— Janek, ty mnie znasz!

Rybaczyński zaczął się śmiać, ale zaraz śmiech zamienił się w kaszel. Kaszląc, jakby krztusił się, powiedział: — Trybuna, Mieciu. Trybuna.

Lenka przyszła punktualnie o siódmej. Jeszcze słońce nie zaszło za świerki po tamtej stronie. Zeszli ścieżką ze skarpy na nadrzeczne łąki i wolno poszli wzdłuż brzegu. Muszyna wziął dziewczynę pod rękę.

— Nic pan nie pił? — spytała.

— Słowo honoru, nawet piwa — powiedział. Był trzeźwy i smutny.

Usiedli nad wodą, na starym pniu wierzby. Za plecami mieli pas wilklinowych zarośli. Patrzyli na rzekę i na drugi brzeg. Most przesłoniły wikliny, nie widać było gęsi na łąkach. Czasem tylko, drogą po tamtej stronie, przejeżdżał wóz i wtedy słyszeli stukanie kopyt końskich na asfalcie.

Lenka pytała o przeszłość Muszyna. Mówił niechętnie. Siedział ze zwieszoną głową, patrzył na ręce. Aparat-lustrzanka wisiał na pasku (później Muszyna zdjął go i położył na piasku). Dziewczyna chciała wszystko wiedzieć — skąd jest, czy miał dom, żonę, dzieci?

— Nieważne — powtarzał. — Wszystko nieważne.

Później, kiedy ściemniło się i nie widziała już dobrze jego twarzy, rozgadał się. Opowiedział o misji, jaką powierzył mu Turoń. Śmiał się.

— Wcale nie jestem redaktorem. On mnie namówił. Milczała.

— Chciałem tu zacząć inaczej żyć. Wie pani, jak to czasem jest. Wszystko człowiekowi odejmą. Trzeba zaczynać od nowa.

Milczała.

— A tu masz: Turoń, kolega niby, a wymyślił taką rzecz. — Muszyna zaśmiał się. — Żebym chociaż wiedział, po co? Może pani wie?

Milczała. Popatrzył na nią i wtedy dopiero zauważył, jaka jest speszona.

— Czy to źle? — spytał. — Pewno pani spodziewała się, że ja jestem prawdziwy redaktor: ktoś z prasy, ważny. Teraz wszystko skończone, tak?

I wtedy nagle przytuliła się do niego, przysunęła blisko, chwyciła za rękę. Całowali się siedząc na pniu starej wierzby.

— Wyjedziemy. Czy tak?

— Tak — powiedziała.

— Jeszcze miesiąc, dwa, zostaną. Potem znikniemy. Będzie inaczej, zobaczysz — ożywił się. — Zamieszkamy nad morzem. Mam dopiero czterdzieści pięć lat, to nie jest dużo, prawda?

— Tak — powiedziała.

Kochali się na wilgotnym piasku. Muszyna rozłożył ortalionowy płaszcz, tyrolski kapelusz podłożył Lence pod głowę. Noc była ciepła. Słyszeli samochody i kopyta koni na drodze po tamtej stronie. Nisko, nad ziemią, zapalały się i gasły świetliki.

— Lenka, Lenka — powtarzał Muszyna. Musiała dotknąć twarzy ręką zawalaną piaskiem, bo kiedy całowali się, czuł ziarenka na języku i pod zębami.

Wrócili późno — wszystkie okna za płotami, zza których wyglądały bzy, były ciemne. Lenka ostrożnie przekręciła klucz w zamku.

XIII. BRACIA MONOPOLANIE

Od szóstej czekał na Flachę w „Obywatelskiej”. Rybaczyński przyszedł z podbitym okiem. Skóra była sina, biało zaczerwienione. Muszyna spytał, co się stało, ale Flacha nie chciał mówić. Machnął tylko ręką.

— Uderzyłem się.

Sąsiedzi Rybaczyńskich słyszeli awanturę o drugiej. Rano żona wysłała Jasia z dzieckiem do parku. Miał wrócić przed dwunastą. Rybaczyński zagadał się przed budką z piwem (szedł okreśną drogą), musiał nieźle popić — może wstąpił do „Obywatelskiej”? Do parku doszedł pijany, zasnął na ławce, a kiedy zbudził się było kwadrans po drugiej. Wziął wózek i wrócił do domu. Dopiero na miejscu okazało się, że wózek jest inny, a dziecko cudze. Rybaczyńska przestraszyła się, podbiła Jasiowi oko (słysząc było jej krzyk na ulicy), potem pobiegła do parku. Popychała przed sobą ten inny wózek. Dziewczyna — opiekunka obcego dziecka — chodziła zapłakana po ścieżkach. Odeszła na chwilę do koleżanek (wózek zostawiła przy ławce, na której spał Rybaczyński). Kiedy wróciła, dziecka nie było.

— Co ja przeżyłam, co ja przeżyłam! — mówiła polykając łzy. — Z nóg mnie ścięło, proszę pani!

Było to dziecko lekarza Lisowskiego. Nie obudziło się nawet, tylko ta dziewczyna spłakała się porządnie. Synek

Flachy spał w wózku koło pustej ławki.

— Ty łobuzie! — krzyczała Rybaczyńska do męża.
— Własnego dziecka nie potrafisz rozpoznać?

Flacha pijany, z podbitym okiem, zasnął na tapczanie.
I teraz jeszcze był nieswój — mało mówił, dotykał opuchlizny pod okiem. Kaszłał długo.

— Nie przejmuj się, Jasiu. Do wesela się zagoi! — próbował żartować Muszyna. Zamówił pół litra żytniówki.

Wypili po sto gramów i dopiero wtedy Rybaczyński odżył. Muszyna zapytał go, kto u nas najlepiej zarabia. Flacha popatrzył na niego podejrzliwie.

— Po co ci, Andrzej?

— No wiesz, piszę, tego, muszę wiedzieć — wyjaśnił Muszyna.

Flacha nie powiedział nic. Wydawało się, że zapomniał. Dopiero kiedy wypili pół butelki, niepytany zaczął mówić. Pochylił się nad stolikiem i szepnął do ucha redaktora:

— Powiem ci, Andrzej. Ale obiecaj: mur!

— Mur, mur — zgodził się Muszyna.

Flacha obejrzał się (uniósł nieco z krzesła). Pusto było przy nich. W sąsiedniej sali, z bufetem, śpiewali chłopcy:

— „Ułani, ułani, malowane dzieci!”

— Oni tu handlują czosnkiem — powiedział Jasiu.

— Kto: oni?

Flacha obejrzał się jeszcze raz. Powtórzył szeptem:
— No oni, tutaj... Miedza, Gniazdowski, Szelaż. Chyba Targowski. Na pewno Szafranek. Cały gang czosnkowy.
— Zaśmiał się.

Muszyna myślał, że Flacha żartuje. — Jasiu, co ty? Jaki czosnek?

Rybaczyński zdenerwował się. — Nie wierzysz? Proszę bardzo: można sprawdzić w Wydziale Rolnictwa. Każdy z nich kontraktuje po kilka ton. A ogródki mają takie! — Trącił talerzyk z sałatką.

Siedzieli chwilę w milczeniu. Muszyna patrzył na kierownika.

— Z Czech wożą, rozumiesz? Tam czosnek tani, u nas drogi. U nich wódka droga, tu tania. Prosta kalkulacja. Ryzykują chłopcy, prawda, ale wychodzą nieźle. Wille, konta w PKO! Tak, tak, Andrzejku. Nie myśl, że to taka prowincjonalna hołota!

Muszyna jeszcze nie mógł uwierzyć. — Jasiu, nie upiłeś się czasem? Chuchnij!

Flacha zionął Muszynie w twarz oddechem przepojonym wódką. Roześmieli się. I znów Rybaczyński, jakby przestraszył się. Rozejrzał naokoło. — Mur, mur? Andrzej!

— Mur — przytaknął redaktor. — Powiedz jeszcze — poprosił — jak oni to robią?

Rybaczyński wypił odchylając głowę do tyłu. Postawił kieliszek na stole, usta wytarł dłonią.

— Mietek Szelaż gra pierwsze skrzypce. Mają swoich ludzi w Miłkowicach i innych wsiach. Co miesiąc przerzut. Tam i z powrotem przez góry. Od granicy wiozą karetkami pogotowia. Gniazdowski daje szpitalne.

— Czekaj! A wojsko, Cześci, granica? Przecież kontrabanda dzisiaj nie taka łatwa. Jasiu!

Flacha tylko pokiwał głową: — Kochany. Szmalec, szmalec! Za pieniądze ksiądz się modli!

Znów wypili. W sąsiedniej sali śpiewali chłopcy: — „Nie jedna panienka i nie jedna wdowa!...”

Flacha jakby się zmęczył — głowa poleciała na stół. Próbował jeszcze mówić:

— Sprawdź konta w PKO. Proszę bardzo! W naszym Oddziale pracuje niejaka Piwko. Powołaj się na mnie. — Pytał: — Mur, mur?

Potem zasnął. Muszyna nie był pewien, czy Rybaczyński żartuje, czy mówi prawdę. Zamyślony siedział za stołem.

Trochę później kelner Ludwiś sprzątnął talerzyki z

resztkami sałatki. Brudną ścierką zmiotł popiół i okrucy na podłogę.

— Panie redaktorze — pochylił się. — Zbliża się dwudziesta czwarta zero zero. Zamykamy.

Muszyna pociągnął Jasia za rękaw. — Kierowniku, wstawaj!

Wyszli z „Obywatelskiej” na plac. Pijani chłopcy wsiedali do taksówek. Śpiewali jeszcze: — „Ułani, ułani, malowane dzieci!...”

Spotkali się w kawiarni „Magnolia”. W małej sali, przy stoliku, który kierownik Tarasewicz kazał przygotować kelnerkom (świeża serweta, kwiaty w cepeliowskim wazonie, cukiernica z zielonej kamionki). Przed południem Miedza zadzwonił do kierownika:

— Tarasewicz, przygotuj stolik. Taki lepszy. Przyjdziemy o siódmej.

— Przepraszam, towarzyszu sekretarzu — zgiął się w ukłonie nad telefonem kierownik Tarasewicz — ile osób?

Ale Miedza odłożył słuchawkę.

Do siódmej Tarasewicz niepokoił się. — Może bankiet na dwadzieścia osób? — wpadał w panikę. Odetchnął, kiedy Szafranek (kierownik pomógł mu zdjąć płaszcz), powiedział, że będzie tylko pięć osób.

— Stoliczek przygotowany — zatarł ręce Tarasewicz. — Proszę uprzejmie! — Zaprowadził inżyniera do małej sali.

Czekał później na pozostałych gości przed kawiarnią. Otworzył drzwi warszawy, z której sapiąc wysiadł sekretarz. Zaraz potem przyjechał dyrektor Gniazdowski swoim fiatem 125P. Szeląg i Targowski przyszli piechotą. Tarasewicz dwa razy zaglądał do małej sali. Spodziewał się, że Miedza kiwnie na niego, żeby podszedł, ale sekretarz, pochylony nad stolikiem, mówił coś półgłosem i nie zwracał na nic uwagi. Kierownik zamknął na klucz grającą szafę koło bufetu.

— Dlaczego, panie kierowniku? — zaprotestowali chłopcy (siedzieli przy stoliku obok). Tarasewicz nie odpowiedział.

O czym wtedy mówili? Flacha, któremu Szeląg powtórzył rozmowę, zwierzył się Muszynie po pijanemu.

— Andrzejku — powiedział — mają cię na oku.

Mógł Wojenka zadzwonić do sekretarza i powtórzyć rozmowę w sprawie Słomkiewicza. A może Szeląg opowiedział o wizycie Muszyny w szkole? Miedza był zdenerwowany. Ręce mu trochę drżały, kiedy rozlewał radziecki koniak.

— Czyja polityka kryje się za tym podstępym działaniem, nie będę mówił. Sprawa jest jasna. Chodzi o to, żeby rozrabiactwo i krytykanctwo nie podnosiły głowy wyżej. Nie możemy na to pozwolić, towarzysze. Trzeba zapobiec.

Tamci potakiwali. Jeden Gniazdowski, u którego Muszyna był, ale odszedł jak zmyty, powiedział:

— Z facetem trzeba ostro. Legitymacja jest? Nie ma? No, to do widzenia!

— Widziałeś legitymację na zebraniu — przypomniał Miedza.

Gniazdowski mignął mu przed oczami pokrywką cukiernicy z kamionki. — Tak widziałem, Gienek! — I dodał: — Ostro, ostro, panowie! Nie dyskutować.

Szafranek przytaknął: — Tak jest, Józio dobrze mówi.

— To dlaczego przed nim uciekasz? — zdenerwował się Miedza. — Jak zobaczy redaktora na ulicy, przechodzi na drugą stronę.

Szeląg odezwał się w pewnej chwili: — Właściwie o co im chodzi? Może kapnąć szmalcem?

Sekretarz zachnął się: — Sam mu dziwki podsuwałeś i nie chciał. Pieniądzy też nie weźmie. A jaki Chrystusek jest, wiemy.

— Robotnicy mówią — powiedział Szafranek — że tu chodzi o prostego człowieka.

Miedza nie zrozumiał: — Co, kto? Mów jaśniej, Władziu.

— O prostego człowieka. O tę, jak tam, sprawiedliwość dla nich.

Mogli wtedy pomilczeć chwilę. Któryś podniósł kieliszek z radzieckim koniakiem do ust. Szafranek ssał fajkę (może akurat zgasła?). Gniazdowski przerwał milczenie pierwszy:

— To znaczy o kogo? Konkretnie. O Krzywego Stefana?

Prezes Szeląg zaśmiał się głośno.

Rozmawiali jeszcze pół godziny. Miedza proponował, żeby napisać list do centrali.

— Ty, Józek, nie napisałbyś? — spytał Gniazdowski.

Dyrektor wzruszył ramionami: — Gienek, jak Boga kocham, do KC wystąpisz?

— Potem, jak ci wysmaży artykuł, nie będziesz wiedział, gdzie oczy odwracać. Ja znam, tych z prasy!

Stuknąć, drania, po ciemku — powiedział Szeląg. — Zaraz by spotulniał!

Zaśmieli się. Dopili koniak z kieliszków. Zapach dymu z fajki Szafranka rozszedł się po całej kawiarni. O ósmej wyszli i wsiedli do samochodów. Czy coś postanowili wtedy? Chyba nic konkretnego. Może: mniej rozmów, kontaktów. Unikać raczej, niż dyskutować. Projekt z listem do prasy centralnej upadł. Także o stuknięciu po ciemku nie było więcej mowy. Wiadomo — Szeląg żartował.

Przed kawiarnią czekał kierownik Tarasewicz.

— Serdecznie prosimy nie zapominać o nas! — mówił. Zgięty w ukłonie stał przy drzwiach warszawy. Miedza, już siedząc w wozie, podał mu rękę.

— Dziękuję. Tarasewicz. Dbacie o lokal, nie powiem.

Kierownik aż poczerwieniał z radości.

Spod „Magnolii” samochody pojechały pod willę Gniazdowskich w uliczce za ruinami zamku. Doktor urządził przyjęcie z okazji przyznanego odznaczenia: krzyża kawalerskiego „Polonia Restituta”.

Żony mężczyzn siedziały na tarasie. Noc zapowiadała się ciepła. Z łąk nad rzeką wiatr przynosił zapach wilgoci. Kumkały żaby.

Pani Krystyna, żona Gniazdowskiego (mówiono, że jest młodsza od męża o dwadzieścia lat), zawołała, jak tylko wysiedli z samochodów:

— Mężczyźni, wódka na was czeka. A wy co?

Gniazdowski prowadził gości ścieżką między krzakami malin.

— Prosimy, prosimy, kochani.

Weszli na taras.

Wniosek o krzyż poparł Miedza pół roku wcześniej. W rozmowach w Komitecie Gniazdowski często poruszał ten temat.

— Inni — mówił — mniej zasłużeni dla miasta dostają, a ja tu pięć lat siedzę. Na nogi ci służbę zdrowia postawiłem. Poprzyj, poprzyj, Gienek!

Chodziło o poparcie wniosku z jakim wystąpiła Rada Wojewódzka. Miedza pytał, czy Gniazdowski nie był karany.

— Przestrzegają tego — tłumaczył. — Jak miałeś z prawem na pieńku, to nie ma co. A ty, Józek... — Tu Miedza znacząco mrużył oko.

Gniazdowski przysięgał, że nie: — Wolne żarty, Gienek! W życiu z sądami nie miałem do czynienia.

— No, no! — groził mu palcem sekretarz.

Ale chyba rzeczywiście nie miał, bo w pół roku później dostał krzyż. Jeździł do Województwa odbierać. Podobno sam minister przyjechał. Wręczano odznaczenia najbardziej zasłużonym pracownikom resortu zdrowia z całego województwa.

Rano, w gabinecie Gniazdowskiego, odbyła się mała uroczystość.

— Część oficjalna — śmiał się doktor.

Przyszli sami mężczyźni. Pili koniak z pękatych kieliszków. To wtedy Miedza powiedział o Gniazdowskim:

— Wypróbowany towarzysz!

Przemawiał krótko, bez kartki: — Zebraliśmy się tu, aby uczcić okoliczność zaszczytnego wyróżnienia naszego drogiego dyrektora Gniazdowskiego! — I zaraz potem powiedział: — To nasz wypróbowany towarzysz. Wielkie zasługi położył na odcinku służby zdrowia w powiecie!

Gniazdowski milczał trochę zażenowany. Przypiął do marynarki krzyż. Przyjmował gratulacje. Z Miedzą i Szafrankiem wycelowali się. Życzenia składali także Szelaąg i architekt Targowski. Leluchowicz zrobił pamiątkowe zdjęcie.

Później, żegnając się, Miedza powiedział: — No co, Józek, masz te swoje dwadzieścia pięć procent!

Odznaczeni krzyżami otrzymywali dwudziestopięcioprocentowy dodatek do emerytury. Gniazdowski miał pięćdziesiąt osiem lat.

— Nie jestem młodym chłystkiem — powtarzał często.

Zadowolony ściągnął sekretarza za łokieć: — Masz u mnie wódkę, Geniu. — Zapraszał na przyjęcie wieczorem.

— Przyjdą najbliżsi przyjaciele męża — mówiła Krystyna do żony dentysty Lisowskiego. Spotkały się rano na targu — razem chodziły między straganami. — Wszystko na mojej głowie. Wie pani, ile trzeba przygotować. Posiedzą na pewno do późna. Nie codziennie dają te krzyże.

— I nie każdemu, nie każdemu! — przymilała się Gniazdowskiej Lisowska.

Siedzieli rzeczywiście długo: architekt powiatowy Targowski, Miedza z Helenką, inżynier Szafranek z żoną

(tęga kobieta z wysoko upiętą fryzurą — białe włosy błyszcząły od lakieru). Tylko prezes Szelaąg był bez Loli.

— Żona przeprosza, źle się poczuła — powiedział.

Gniazdowska i Szafrankowa wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Później przyszedł Leluchowicz z Renatą. Śmiech Renaty (zwłaszcza, kiedy Szafranek zaczął opowiadać kawały) słychać było przez otwarte okna. Krzywy Stefan zasypiając w szalasiu z gałęzi słyssał, jak śpiewali: „Sto lat”, „Kasiu, Kasiu, Kasiuleńko”, „Szła dziewczyna przez gaj dębowy” i „Głęboką studzienkę”.

Siedzieli przy okrągłym stole, w jadalnym. Willa Gniazdowskich należy do najlepiej urządzonych domów w mieście. Sedes w łazience ma miękką deskę, kafelki z „Cepeli”. Pokoje wyłożone tapetami w dyskretne wzory. W posadzce można się przejrzeć, jak w lustrze. No i antyki, antyki! Doktor zawsze coś przywozi z podróży służbowych. A to krzeselko Ludwik Piętnasty, a to komódkę, a to świecznik w stylu Księstwa Warszawskiego. Lubi zwłaszcza figurki z saskiej porcelany — cała kolekcja stoi na antycznym kredensie. I teraz światło wielkiej lampy z żółtym abazurem ozdobionym frędzlami padało na galerię małych postaci: tancerek, pastuszków z fujarkami, nimf i innych bożków.

— Po co ci, Józek, tyle tego? — dziwił się Miedza, kiedy oglądał figurki. Tylko Helenka zazdrościła Gniazdowskiej:

— Widzisz, widzisz, on przynajmniej zna się na sztuce. Kulturalny człowiek, wie, jak wydać pieniądze. A ty co? Ryby i te strzelby! Nic więcej!

Miedza śmiał się: — Dzieciak, dzieciak z tego Gniazdowskiego!

Dyrektor rozlewał wódkę do kieliszków. Był zadowolony — cały czas chodził z krzyżem przypiętym do kłapy. Szafranek wstał i zachwiał się lekko.

— Zdrowie naszego kochanego kawalera! — powiedział.

— Jakiego kawalera? — spytał Miedza.

Inżynier nie dosłyszał. To wtedy wygłosił przemówienie, o którym później było głośno u nas. Ze śmiechem powtarzano sobie, jak to Szafranek, chwając się, z kieliszkiem, w którym błyskała wódka, pochylony nad stołem, zaczął mówić:

— Bracia Monopolanie! Jest tylko jedno słońce, jedno prawdziwe światło w naszym szarym życiu. Państwowy Monopol Spirytusowy!

W tym miejscu nastąpiły burzliwe oklaski i śmiech zebranych. Dominował głośny chichot Renaty. Inżynier, z kieliszkiem w ręku, mówił:

— Proponuję, Bracia, aby zmienić naszą nację od dzisiaj! Cóż nam bowiem po nacji, która daje tylko ten szary dzień, pracę, kilka groszy na miesiąc, nudę i beznadziejność? Co nam po takiej nacji? My, proponuję, nazwijmy się Monopolanie!

I wychylił kieliszek.

— Po jakimu to? — spytał Miedza, ale i teraz nikt mu nie odpowiedział. Goście bili brawo.

Później wypili. Gniazdowska nakładała na talerze. Śmiech Renaty słyhać było przez otwarte okna. Inżynier zaczął opowiadać kawały. Ten z dyszlem, na który nadszła się baba, rozśmieszył Renatę do łez.

Potem śpiewali znów. Pili. Śpiewali. Pili. Krzywy Stefan w swoim szałasie nad rzeką słyszał gwar i śpiew. Przewracał się z boku na bok na twardym sienniku z ubitą słomą, wzdychał, kaszlał, pluł przez szparę w noc. Z dołu, z uliczki akacjowej za ruinami, przynosił słowa wiatr:

— „Głęboka studzienka!...”

Wybijał się donośny głos kobiety.

— Która to? Która to może być? — zastanawiał się Stefan. Widział Renatę nie raz, ale nawet do głowy mu nie przyszło, że to ona tak głośno śpiewa.

XIV. GDZIE JEST LENKA?

Gdzie była Lenka? Muszyna obszedł w koło miasto. Zajrzał do Prezydium (mogła coś przepisywać po godzinach — była już piąta). Wchodził do sklepów, nawet do masarni Rybarczyka zajrzał nie wiedząc, że Lenka nie wchodzi tam nigdy. Wypił przed budką piwo i przysłuchiwał się chwilę, jak mężczyźni drażnią Pajaca. Dog drzemał pod pnem akacji, niedaleko budki. Któryś z pijaków chlusnął na psa piwem z kufla. Pajac zbudził się i skoczył z ujadaniem między mężczyzn. Niby śmieli się, ale ci, których obszcze kiwał, cofali się przestraszeni. Plac przed budką opustoszał szybko. Dopiero, kiedy dog odszedł wolno (strużki śliny z pyska kapały na chodnik), mężczyźni, śmiejąc się, zaczęli wracać.

— Jakby tak złapał za rękę, kość pęka! — mówił któryś.

Był jeszcze w parku i nad rzeką. Patrzył ze skarpy na świerki po drugiej stronie. Krzywy Stefan pał krowę dyrektora Szafranka. Nie było nikogo.

Lenka zapomniała Muszynie powiedzieć, że o czternastej odbędzie się uroczystość przekazania nowego przedszkola imienia Stanisława Piegży (nauczyciela z naszego miasta rozstrzelanego przez Niemców). W starym przed-

szkolu dzieci miały złe warunki — dom był parterowy, drewniany, z małym ogródkiem, o który kierowniczką przedszkola stale wojowała z właścicielką posesji.

Nowe przedszkole budowano pięć lat — roboty kilkakrotnie przerywano z różnych powodów (błędy w dokumentacji, brak materiałów, Szafrank często zabierał ludzi na inne obiekty). Sprawa ruszyła z miejsca dopiero po przyjeździe Turonia — na zebraniu ogzekutywy powiedział podobno:

— Dzieci gnieźdzą się w okropnych warunkach. Trzeba działać szybko, towarzysze.

(— Dziecko ma w wieku przedszkolnym — mówili później ludzie. — Jasne! Inaczej nie kiwnąłby palcem!)

Miedza tym razem poparł przewodniczącego: — Ja to wasze przedsiębiorstwo rozpedzę na cztery wiatry, Szafrank, jak mi w pół roku przedszkola nie skończycie!

Inżynier obiecał, że budowy będzie doglądał osobiście. Spóźnił się o kilka miesięcy, ale w końcu budynek stanął. Nieotynkowany, z białej cegły, teren naokoło ledwie uporządkowali. W dwa tygodnie po przeprowadzce kierowniczką (córka pani Wilczyńskiej, u której Turoń w wynajmowali pokój po przyjeździe) rozesała za proszenia na uroczyste otwarcie. Pod oknami ustawiono długie stoły — komitet rodzicielski dał pieniądze na skromne przyjęcie. Było wino, kanapki, kilka tortów wypieku starej Wilczyńskiej i czarna kawa. Punktualnie o czwartej Miedza przeciął czerwoną wstążkę w drzwiach. Potem goście (między innymi Turoń, dyrektor Szafrank i architekt Targowski) obejrżeli budynek w środku. Obeszli wszystkie pomieszczenia — salę zabaw, sypialnię, pokoje administracyjne, kuchnię i łazienki. Wilczyńska skarżyła się na usterki: niektóre drzwi nie domykały się, w kilku miejscach dzieci zdążyły powymować klepkę z podłogi. Po deszczu, na sufitach, wystąpiły zacieki.

— Wstyd, dyrektorze — mówił Miedza. — Okropne brakoróbstwo.

— Dziwię się, że komisji nie zgłoszono — bronił się Szafrank. — Kiedy komisja odbierała, wszystko było w porządku!

Później zasiedli do stołów. Lenka pomagała Wilczyńskiej — znały się jeszcze ze szkoły, razem zdawały maturę. Dzieci zatańczyły na tarasie oberka i polkę. Wilczyńska grała na pianinie w sali obok. Miedza, podochocony — wypił kilka kieliszków wina — wstał i sapiąc wszedł po schodkach na taras. Goście patrzyli zaskoczeni.

— Kierowniczo, kujawiaka prosimy! — zawołał. Chwycił dwie dziewczynki za ręce.

Przy stołach zaczęto klaskać.

— Brawo nasz gospodarz! — zawołał Szafrank. — Oberka, oberka!

Dziewczynki, trochę zażenowane, tańczyły z powagą. W tańcu brały się pod boki, obracały w miejscu — Miedza, uśmiechnięty, w rozpiętej marynarce, wypinając brzuch, naśladował małe.

Szafrankowa pochyliła się w stronę Helenki: — O wnuczkach trzeba pomyśleć, pani sekretarzowo. O wnuczkach!

Helenka nie dosłyszała, albo udała, że nie słyszy.

Muszyna zawrócił w stronę miasta. Kiedy był niedaleko parku, usłyszał strzały i krzyk kawek. Stado czarnych ptaków krążyło nad drzewami. To Szelaż z gromadą chłopców ze starszych klas, urządzali polowanie. Szelaż, w wysokich butach, w kurtce koloru khaki przepasanej myśliwskim pasem z ładownicami, chodził wolno z zadartą głową. Mierzył starannie. Po każdym strzale kawki z krzykiem podrywały się wyżej. Potem opadały znów — niektóre próbowały siadać na gniazdach. Trafione spadały trzepocząc skrzydłami, czasem kołując jak wielkie liście. Chłopcy wyłapywali ranne. Kilku zajętych było strącaniem gniazd. Wysoki chłopak z jedenastej podsadzał młodszego, który wspinał się wysoko. Z dołu

podawano mu długą żerdź do strącania gniazd z konarów. Były w nich jeszcze młode, nieopierzone gawrony i kawki. Na ziemi rozpełzały się ze skrzekiem podpierając niezdarnie skrzydłami. Chłopcy tłukli ptaki kijami.

Muszyna usiadł na ławce. Szeląg zobaczył go w pewnej chwili i podszedł z wyciągniętą ręką.

— Plaga, panie redaktorze! Namnożyło się tałatajstwa, trzeba wytrzebić.

Przed tygodniem może Miedza zadzwonił do nauczyciela:

— Mietek, jak Boga kocham, zrób coś z tymi ptakami! Krzyczą, nie można pracować.

Jak wiadomo okna Komitetu wychodzą na park. Kawek i gawronów rzeczywiście namnożyło się tego roku co niemiara. Mieszkańców okolicznych domów budzą o piątej rano. Pod drzewami, na ścieżkach, aż biało od ptasiego łajna. Ludzie przechodząc trwożliwie spoglądają do góry. Szeląg obiecał, że zlikwiduje gniazda.

— Załatwiono, towarzyszu sekretarzu — powiedział usłużnie do słuchawki w obecności dyrektora Kwasiborskiego.

Teraz Muszyna przyglądał się, jak chłopcy tłuką kijami nieopierzone ptaki. Dwóch przyniosło kilka rannych, złapanych na ścieżkach i pod ławkami. Otwierały dzioby i rozglądały się przestraszone. Szeląg brał je po kolei za łapy i z rozmachem bił o poręcz ławki. Potem podnosił w górę, żeby sprawdzić, czy żyją. Jeśli dziób byś zamknięty (z nabrzmiewającą powoli kroplą krwi u nasady), obcinał łapy i wrzucał do torby.

Chłopcy podpowiadali: — Ta ma dość, panie profesorze! Tę jeszcze raz! Jeszcze jej mało!

Śmieli się, kiedy Szeląg powiedział o jednej: — Coś ty taka uparta? Lubisz żyć?

Zabił wszystkie i odszedł. Przyłożył dwa palce do ronda zielonego kapelusza, uśmiechnął się. Muszyna kiwnął głową — nie powiedział nic. Siedział chwilę na ław-

ce. Zamknął oczy. Słyszał tylko strzały, krzyk kawek, znów strzały, krzyk. Śmiech i nawoływania chłopców.

Lenka zastanawiała się później, dlaczego nie przyszedł? Była pewna, że dostał zaproszenie — co chwilę patrzyła w stronę miasta. Chciała zapytać Turonia, ale przewodniczący wcześniej wyszedł. Roznosiła kawę, rozdelała porcje tortu, bawiła się z dziećmi w chowanego. Goście rozmawiali głośno — nikt nie zwracał uwagi na krzyki przedszkolaków. Dzieci chowały się pod stołami.

Miedza schylił się i posadził na kolanach jedną z dziewczynek. Była to córeczka kierowcy — grubego Waldka z POM-u. Zawstydzona się, buzię wykrzywiła w podkówkę.

— Nie płacz — powiedział sekretarz. — Ja bardzo lubię dzieci.

Młoda Wilczyńska (siedziała obok) pogłodziła małą po główce: — Co ci się stało, Zosiu? Dlaczego płaczesz?

— On jest grubszy od tatusia — chlipnęła mała.

Miedza zaśmiał się głośno. Pocałował małą w czoło: — Będę tu z wami tańczył, zobaczysz jak prędko schudnę! — Postawił dziecko na ziemi.

— O wnuczkach, o wnuczkach trzeba myśleć — powtórzyła Szafrankowa, ale Helenka i tym razem nie powiedziała nic. Westchnęła tylko i posmutniała.

Henryka zastał przy pracy. Pieluszki suszyły się na balkonie, w dużym pokoju Małgosia ćwiczyła na pianinie gamy. Myszka uśmiechnęła się do Muszyny, kiedy zobaczyła, że jest trzeźwy.

— Proszę, proszę, niech pan wejdzie. Mąż na pewno będzie rad.

Turoń w swoim pokoiku pisał przy biurku.

— Co tam, stary? Siadaj. Dlaczego nie byłeś w przedszkolu? Nie dostałeś zaproszenia?

Muszyna opowiedział o polowaniu na gawrony i kawki. Turoń zdenerwował się bardzo.

— Łajdak. On tu wszystkie psy dzieciom powystrzelał. Nawet mojej małej zastrzelił takiego przybłędę, Żuczka. Obcina potem uszy, kotom ogony... Obłęd! Obłęd! — Podparł głowę rękami. Siedział tak chwilę.

Muszyna przypomniał sobie opowiadanie Rybaczyńskiego o czosnku — powtórzył Henrykowi. Turoń wstał. Położył ręce na ramionach gościa.

— Stary, to niesłychana historia. Tam słonina i wódka, a tu czosnek? — Zaczął chodzić po pokoju. — Czekaj, to bardzo cenna informacja!

I nagle podskoczył, jak chłopak. Ręką dotknął sufitu.

— Andrzej, wygraliśmy, rozumiesz? Mamy ich w garści! To za poważna sprawa, żeby można było... Tak!

Muszyna patrzył na niego zaskoczony. — No dobrze, a jeśli Flacha żartował?

— Nie, nie, nie! — mówił Henryk. — Kiedyś proponowali pieniądze, pamiętasz? Teraz wiadomo jakie. Zresztą sprawdzimy. Wystarczą dwa telefony. Ile kontraktują i jaka jest powierzchnia ogródków? — Chodził od okna do drzwi, zacierał ręce. Za ścianą Małgosia grała gamy.

Muszyna odezwał się po chwili: — Heniu, czy warto? Kto cię za to pobłogosławi? Nikt. Jeszcze ci zmyją głowę. Wiesz sam, jak jest.

Przewodniczący zatrzymał się przed nim. — Dziękuję, Andrzej — powiedział. Wyciągnął rękę.

Muszyna wstał, poprawił marynarkę. — Oj, Heniu, Heniu. Czy ty kiedyś zmądrzejesz? — Pokiwał głową.

Dłoń Turonia była sucha, uścisk mocny.

Stali potem przy oknie i patrzyli na rzekę i na wzgórze po drugiej stronie. Jak kiedyś zachodziło słońce.

— Będzie lepiej — powiedział Turoń. — Musi być lepiej, nie można wiecznie tak żyć. To ślepa ulica. — I dodał: — Tylko nie trzeba opuszczać rąk.

Muszyna zaśmiał się (miał lekką chrypę):

— Kto tu opuszcza ręce, Heniu? Wszyscy tylko pa-trzą, co gdzie ukraść.

Przewodniczący nie dosłyszał, albo nie zwrócił uwagi.

— Musi być lepiej — powtarzał. — Musi być lepiej.

Za ścianą Małgosia grała na pianinie gamy. Patrzyli na wzgórze po drugiej stronie. Nad linią ciemnych drzew zastygły czerwone obłoki. W miejscu, gdzie zaszło słońce.

XV. ZAPACH CZOSNKU

W nocy Turoń opowiedział wszystko Myszce, ale ona nie chciała wierzyć. Rozmawiali po ciemku, dzieci już spały, przez okno uchylone na balkon widzieli gwiazdy. Henryk leżał z rękami skrzyżowanymi pod głową, Myszka splotła dłonie na jego ramieniu. Czasem chłodny powiew od balkonu pachniał narcyzami. Stały, jak zaw sze, w wazonie po środku stołu.

— Nie mogę uwierzyć — powtarzała Myszka. — Po co im tyle pieniędzy? Każdy przecież dobrze zarabia. Weź Miedzę, czy choćby Szafranka.

— Ludziom nigdy za dużo pieniędzy — mówił Henryk.

— Nie ryzykowałiby aż tak bardzo. Nonsens! — Myszka śmiała się po ciemku. — Głupstwa ci ten Muszyna naopowiadał, a ty mu wierzysz.

— Sam ich podejrzewałem.

— Henryczku — mówiła Myszka — nie bądź dziecinny. Czy Gniazdowski ryzykowałby aż tyle? Przecież to sprawa kryminalna, wiesz dobrze. Karetką wozić sło ninę i wódkę? I czosnek w workach? Zastanów się, prze cież ten człowiek ma wysokie stanowisko, pacjentów, kobiety z całego województwa przyjeżdżają do niego na zabiegi. Trzy pensje. I on, z willą, z samochodem, oto

czony szacunkiem ludzi, miałby ryzykować to wszystko? Nie, nie. Bajki ci ten Muszyna opowiada.

— Ludziom nigdy za dużo pieniędzy — powtarzał Henryk.

— Bajki, bajki — mówiła Myszka. — Związał się z tym pijakiem Rybaczyńskim. To człowiek, któremu nie można ufać. Ośmieszysz się tylko.

— Sprawdź — mówił Henryk. — Sprawdzić mogę, kto mi zabroni?

— Tylko ostrożnie — prosiła Myszka. — Wiem, jacy tu są ludzie. Ktoś doniesie. Po co?

Henryk milczał. Patrzył przez szparę w balkonowych drzwiach na gwiazdy. Znów powiew przyniósł zapach narcyzów. W pokoju obok zapłakało dziecko. Myszka wstała, narzuciła szlafrok. Za oszklonymi drzwiami błysnęła nocna lampka — cień kobiety pochylonej nad łó zeczkiem zakołysał się na ścianach.

Kiedy wróciła i coś jeszcze chciała powiedzieć — (Henryczku — pochyliła się nad mężem) — usłyszała jego spokojny oddech. Turoń spał.

Rano Flacha nic nie pamiętał: — Jaki czosnek? Co ty, Andrzej, ja coś mówiłem?

Nic sobie nie mógł przypomnieć. Muszyna nawet nie nalegał. Czekał w Radzie na Turonia — Jasia spotkał na korytarzu. Turoń gdzieś dzwonił, wychodził kilka razy z gabinetu. Poszli dopiero o dziesiątej.

Sekretarz Miedza miał zły dzień. Rano znalazł na biurku niewielki obraz w pozłacanej ramie. Obraz przyniósł magister Leluchowicz — wcześniej, przed ósmą. Zostawił z karteczką na szklanej płycie.

Chodziło o „Przyłot bocianów”, który Miedza gdzieś widział. Kopię podjął się namalować magister. Kiedyś, podczas libacji w rybaczówe, rozmawiali o malarstwie i sekretarz wspomniał o „Przylocie bocianów”. Leluchowicz wypytał dokładnie o co chodzi i obiecał namalować.

Teraz, wprawdzie dopiero po upływie roku, spełnił obietnicę. Miedza ucieszy się, potem przyjrzał malowidłu uważniej i rozczarował.

Na obrazie (ten szczegół dobrze zapamiętał) staruszek siedział na ziemi i patrzył, zadzierając głowę, na przelatujące ptaki. Obok stał chłopiec w sukmanie, także z zadartą głową. Na kopii Leluchowicza było odwrotnie — chłopiec siedział, a staruszek stał. Byli przy tym ubrani po miejsku, w spodnie i marynarki.

— Nie tak, nie tak — westchnął sekretarz. — I ptaki, jak gęsi!

Obok obrazu leżał dalekopis: przyjeżdżali towarzysze z Województwa na kilka dni. Na czele z Kmitą — Kotuli na liście nie było. Na dodatek Miedzę bolał ząb. Ćmił już od wczoraj, Helenka na noc dawała weramon — nie pomógł widać. Z bolącym zębem podszedł do okna. Wiatr przywiał zapachy z parku za ulicą i sekretarz skrzywił się. Zadzwoił do Turonia.

— Towarzyszu Turoń, zbliża się termin zebrania Rady. Mieliśmy uzgodnić stanowisko, co do kilku spraw. Kiedy przyjdziecie? Ja...

— Zaraz przyjdziemy — powiedział Turoń.

— Sami, sami!

— Redaktor Muszyna chce was zobaczyć! — I przewodniczący odłożył słuchawkę.

Przed trzecią Stasia-maszynistka zadzwoniła do Lenki:

— Madziu, będziesz wieczorem w domu?

Lenka o wpół do siódmej miała iść z Muszyną do kina (wyświetlano francuski film).

— Coś pilnego?

— Bardzo — powiedziała maszynistka i dodała prędko! — Przez telefon nie mogę.

Umówiły się na piątą. Lenka czekała w ogrodzie. Na małym stoliku ustawiła szklane miseczki z pierwszymi truskawkami. Cukier-puder w fajansowej cukiernicy i śmietanka w dzbanuszkach, stały obok. Stasia od

razu zaczęła opowiadać o wizycie Muszyny i Turonia w Komitecie.

— Kochana, co tam się działo! Nigdy nie widziałam sekretarza w takim stanie!

Może zaczęli ostro? Muszyna mógł zapytać wprost:

— Towarzyszu sekretarzu, jak to właściwie jest z tym czosnkiem?

— Z czosnkiem?

Siedzieli przy stoliku pod chińską różą. Miedza ustawił na płycie z ciemnego szkła kieliszki do koniaku.

— Z czosnkiem, z czosnkiem. Chodzi o kontraktację. W rejestrach figurujecie — wy, Gniazdowski, Szląg i architekt — jako główni dostawcy. Niby drobna sprawa, ale tak... — Redaktor nabrał tchu: — Ogródki macie małe, a każdy oddaje po kilka ton. Jakże to? Na przykład prezes Koła Łowieckiego Szląg. Ogródek, jak narstek!

Miedza milczał. Bębnił palcami po płycie z ciemnego szkła. Odstawił butelkę z koniakiem.

— Może to tak, jak z kaszą manną? — dorzucił Muszyna. — Z nieba, z nieba! — Zaśmiał się. Miał lekką chrypę.

Turoń milczał. Powiew od okna uniósł muślinową firankę. Miedza mógł wytrzeć pot z twarzy zmiętą chustką.

— Z początku siedzieli cicho — opowiadała Stasia. — Nie słyszałam nic, choć patrzyłam przez dziurkę. Dopiero potem zaczął krzyżeć. Nawet przez te skórzane drzwi było słyhać. Twój i przewodniczący siedzieli cicho. Nie wiesz o co chodziło?

— A potem? — spytała Lenka.

— Potem wyszli, a on zaraz zaczął wydzwaniać po tamtych — Stasia zaśmiała się: — Gniazdowski prosto ze szpitala przyjechał karetką. Nawet białego fartucha nie zdjął. Szafranka kazał ściągnąć z budowy. — I znów powtórzyła: — Nie wiesz o co chodziło?

Lenka opowiedziała przyjaciółce o czosnku (wiedziała wszystko od Muszyny). Maszynistka przestraszyła się:

— Madziu, uważaj! On cię jeszcze wciągnie w jakie nieszczęście!

Lenka siedziała zamyślona. Stasia jadła truskawki — Łyczeczka podzwaniała o szkło. Kiedy tamci przyszli, odczekała trochę i weszła do gabinetu z kawą. Słyszała, jak sekretarz mówił do Gniazdowskiego:

— Ty, Józek, miałbyś odejść. Szafranka nie chce widzieć w przedsiębiorstwie. Nowych ludzi u nas potrzeba, powiedział.

Firanka uniosła się od okna, patrzyli, jak opadała.

— I wszystkie jego pomysły mają być przyjęte. Wiecie: kanalizacja, skocznia narciarska, basen. O motelu nie chce słyszeć.

— A to kurwa — powiedział inżynier Szafranek. Patrzyli w okno.

— Do drobiazgów się czepiał. Budkę z piwem, powiada, trzeba zlikwidować. I zrezygnować z radiofonizacji...

— Siedzieli pod chińską różą i żaden nawet na mnie nie spojrział — mówiła Stasia. Ustawiała szklanki z kawą na biurku i wyszła.

— Radźcie, radźcie! — mógł niecierpliwie się Miedza. — Coś trzeba postanowić! — Ręce mu drżały. Pił „Kryniankę” z butelki.

I znów Szafranek: — A to kurwa!

— Później wezwali Jasia Flachę — opowiadała maszynistka. — Powiedz twojemu, może od niego coś wyciągnie?

Lenka zerwała mały biały bratek (wzdłuż ścieżki były rabatki). Bawiła się kwiatkiem. Stasia nakładała do miseczki nową porcję truskawek.

— Nie wiesz, co od Jasia chcieli? — spytała Lenka.

— Jak wyszedł, dzwonili do majora Popielaka, ale nie wiem po co. Czesia akurat weszła — musiałam odłożyć słuchawkę.

Łyczeczka podzwaniała o szkło — Stasia zajęta truskawkami nie patrzyła na Lenkę i nie widziała, jak sekretarka oparła głowę o pień jabłunki, jakby nagle poczuła się źle. Biały bratek upadł na ścieżkę.

Flacha czekał na Olszewskiego w parku. Wstał z ławki, kiedy zobaczył masywną sylwetkę sierżanta w świetle latarni, koło pomnika Kościuszki. Olszewski zwracał uwagę młodej parze, siedzącej w cieniu, na niestosowne zachowanie w miejscu publicznym (młodzi całowali się). Po chwili odwrócił się i zaczął wolno zbliżać w kierunku Rybaczyńskiego.

— Panie Olszewski — powiedział Flacha. — Chciałem zamienić kilka słów.

Sierżant popatrzył zdziwiony. Przyłożył dwa palce do daszka.

— Słucham was, obywatelu Rybaczyński.

Flacha zmieszał się trochę — nie wiedział, jak zacząć. Stali po środku ścieżki, w świetle lampy przeświecającej przez liście lip.

— Jest taka sprawa. Kiedyś zatrzymaliście tego redaktora, co tu do nas przyjechał.

Olszewski milczał. Patrzył z góry na Flachę (był wyższy o głowę).

— Zatrzymaliście go pod zarzutem naruszenia przepisów o porządku w miejscu publicznym. On przy was załatwiał potrzebę fizjologiczną. Pamiętacie? — Flacha zaśmiał się.

Olszewski milczał.

— Wtedy, co to trochę posprzeczaaliśmy się. Ja też byłem wstawiony. Potem major kazał redaktora zwolnić.

Olszewski nie mówił nic. Kiwał się lekko w tył i przód, podczas gdy Flacha, zadzierając głowę, mówił:

— Chodzi o to, sierżancie kochany, że chcemy do tej sprawy wrócić. Pewno pisaliście wtedy jakiś protokół, czy notatkę... Moglibyście to teraz wykorzystać. Major zostanie powiadomiony. Nie będzie robił trudności.

Olszewski cały czas milczał i Jasiu Flacha zaniepokoił się.

— Sierzancie — powiedział — rozumiecie o co chodzi? Ten człowiek rozrabia w mieście, trzeba go tego... Powstrzymać. Wy macie klucz w rękach! — Zaśmiał się znów.

— Nie — powiedział krótko sierżant. Poprawił pasek pod brodą i chciał odejść.

Flacha chwycił go za rękaw. — Panie Olszewski, to nic nie kosztuje. Przecież on wtedy wyraźnie naruszył przepisy: przeszedł źle jezdnię, nie chciał płacić! Jeszcze przy was potrzebę załatwiał. Możecie wniosek na kolegium sporządzić, a nawet, kto wie, czy nie do prokuratora? Czynn timer zniwazył mundur, kiedy tak na waszych oczach...

— Nie — powtórzył jeszcze raz Olszewski. Zdjął rękę Flacha z rękawa i strzepnął mundur, jakby usuwał kurz. Odszedł powoli w kierunku miasta. Nie obejrzał się ani nie zmienił tempa marszu. Kroczył jak zawsze: ręce złożono do tyłu, raportówka przewieszona przez ramię, na brzuchu biała gumowa pałka.

Flacha otarł z czoła trochę potu. Usiadł z powrotem na ławce, choć nie miał już na kogo czekać. Siedział i patrzył na uniesioną szablę Kościuszki i na światło latarni w liściach lip.

XVI. TAK BĘDZIE LEPIEJ

Rano Baškę zbudził gwizd za oknem. Matki nie było — o ósmej wychodziła do Prezydium. Dziewczyna boso podbiegła do okna i zobaczyła Reńka. Siedział na kamiennym krawężniku naprzeciw parterowego domku. Zuł gumę. Obok leżała rzucona na bruk torba z białym napisem „Mexico”. Kawałek dalej przykucnął nad krawężnikiem Pietrek Groszek. Jego teczka wisiała na płocie zaczepiona uchwytem o żerdź.

— Idziesz? — zapytał Reniek.

— Idę — powiedziała Baška. Cofnęła się i tylko chwilę falowała firanka w pustym oknie.

Siedzieli potem całą gromadą nad rzeką, w gęstych wiklinowych zaroślach, niedaleko mostu. Był Reniek, Baška (leżała z głową na jego brzuchu), Pietrek Groszek, dwie dziewczyny z jedenastej klasy (niedopuszczone do matury) i jeszcze trzech chłopaków. Opalali się leżąc na wilgotnym piasku, wdychając zapach rzeki, iltu, trawy o długich kłujących źdźbłach, słuchając natrętnego brzęczenia much i turkotu wozów jadących przez most do miasta. Baška powtarzała słowa piosenki zapisanej w grubym brulionie. Cicho grał tranzystorowy odbiornik. Na piasku stała na wpół opróżniona butelka jabłecznego wina, leżały dwa blaszane kubki. Nie rozmawiali prawie,

Piotruś ziewał głośno, słycać było szept Baški, muzykę, brzęczenie much.

Boża krówka powoli wspinała się na szczyt długiego źdźbła. Stała blisko końca. Próbowwała rozłożyć skrzydełka — chciała odfrunąć, ale nie mogła i tylko bezsilnie dreptała w miejscu.

Reniek otworzył oczy, patrzył chwilę na białe obłoki nad rzeką, potem uniósł wielką dłoń i pogładził policzek Baški.

— Chodź stara, pójdziemy w krzaki.

Chłopcy roześmieli się. — Nie za wcześnie, Reniu? — zapytał któryś.

— Wola boża — powiedział młody Groszek. Śmieli się wszyscy.

Piotruś leżał na brzuchu i zerwanym kłosem suchej trawy kłuł bożą krówkę. Widział, jak biedronka usiłuje odfrunąć, jej cierpliwie ponawiane próby rozłożenia skrzydełek, to nerwowe dreptanie na długiej łodydze kołyszącej się nad piaskiem.

Reniek wypił haust wina z butelki. Wstali jednocześnie — objął dziewczynę i poszli wolno ścieżką wzdłuż wiklinowych zarośli.

— Uważajcie na mokry piasek — zawołał Piotruś. — Przeziębisz się, Reniu!

Słyszeli za sobą śmiech, potem już tylko szelest gałązek ocierających się o nagie ramiona. Reniek czuł dotyk ciepłych od słońca włosów dziewczyny, położył dłoń na jej piersi. Przystanęli i całowali się chwilę.

W miejscu, gdzie ścieżka wychodziła na niedużą polanę w gąszczu wiklinowych zarośli, musieli znów stanąć. Z rękami skrzyżowanymi pod głową i rozrzuconymi nogami, spał na piasku redaktor Muszyna. Był w szarym garniturze i białej koszuli z krawatem. Obok leżał aparat-lustrzanka. Muszyna miał otwarte usta. Oddychał z powściągliwością. Nieosłonięta twarz była czerwona od słońca. Niebieskie muchy-plujki siedziały na jego czole.

— Jak niezwywy — powiedziała Baška. Przytuliła się mocniej do Reńka.

Chłopak zaśmiał się. — Pijany! Nieżle musieli wczoraj popić. Teraz odsypia.

Obeszli ostrożnie Muszynę i znów zanurzyli w wiklinowym gąszczu. Ich nagie plecy znikły przesłonięte długimi gałązkami. Na moście terkotały wozy jadące do miasta, zegar na kościelnej wieży wybił dwunastą.

Piotruś Groszek zdjął bożą krówkę ze źdźbła i rozgniół w palcach. Chwilę patrzył na wilgotny żółty ślad na opuszkach (skrzydła biedronki drżały konwulsyjnie), potem starannie wytarł rękę o piasek.

Różnie mówiono o wyjeździe Muszyny od nas. Jedni, że to Flacha przemocą wsadził go do autobusu. Wyszli z „Obywatelskiej” późno — Muszyna był pijany, opierał się, nie chciał iść. Flacha popychał go w kierunku poczekalni.

I znów mógł zapamiętać: wahadłowe drzwi skrzypnęły, kiedy weszli, brudna podłoga, ławki z obłazającą farbą, butelka z zielonego szkła w kącie. Na ścianie, naprzeciw drzwi rozdarty plakat „Niech żyje...” z pięścią zacisniętą na drzewcu. Kobiety z tobołkami siedziały na ławkach.

Stali tam chwilę, na niepewnych nogach, podtrzymując jeden drugiego. Muszynie kapelusz spadł z głowy. Podnosił długo.

Rybaczyński powtarzał: — Tak będzie lepiej, Andrzeju.

Na to Muszyna: — Posłuchaj, Janek...

I Flacha: — Tak będzie lepiej.

— Posłuchaj, Janek... — Podsuwał kierownikowi legitymację w szarej okładce.

— Spokojnie — mówił Rybaczyński. — Ty honorowy dawco krwi! — Śmiał się głośno.

I znów Muszyna: — Posłuchaj, Janek...

Później przyjechał autobus, jeden z ostatnich —

ciemno już było. Wytoczyli się z poczekalni — baby powstawały z ławek, żeby lepiej widzieć. Rybaczyński podsadził Muszynę w drzwiach.

— Panie kierowco — zawołał — chory kolega!

Kierowca nie chciał Muszynie sprzedać biletu: — Chory, chory, a potem jak rzygnie!

Flacha musiał mu coś dać, bo zgodził się w końcu. Muszyna wyjechał tak jak stał: nawet teczki nie miał przy sobie. W poplamionym ortalionowym płaszczu, tyrolskim kapeluszu na oczach. Głowa opadła mu na piersi — zasnął zaraz.

Autobus powstał pięć minut i odjechał. Błysnęły okna, kiedy skręcał koło parku. Zjechali ulicą wysadzoną jesionami nad ciemną rzekę.

Kobiety powracały na ławki. Flacha odszedł niepewnym krokiem. Przed „Obywatelską” pijani chłopcy śpiewali wsiadając do taksówek.

Inni mówili, że było inaczej. Podobno pił z Rybaczyńskim do czwartej. Siedzieli przy stoliku dla lepszych gości, za kotarą. Jasiu Flacha stawiał jak nigdy — już to mogło Muszynie wydać się podejrzanym, ale nie zwrócił uwagi. Ludwiś dwa razy przynosił po pół litra z bufetu. Pili żytніówkę i wyborową. Flacha opowiadał o swoich interesach.

— Andrzejku, dwadzieścia patyków wpadnie! — powtarzał.

Później, objęci ramionami, śpiewali patriotyczne pieśni: „Czerwone maki” i „Rozszumiały się wierzby...”. Głos Flachy słyhać było w obu salach.

— Kierownik rządzi! — mówili chłopcy w sali z bufetem. Z kuflami piwa zaglądali za kotarę i śmieli się.

Flacha podnosił w górę prawą rękę (w lewej trzymał butelkę) i śpiewał: — „Zamiast rosy piły polską krew!...”.

Muszyna, w rozpiętej marynarce, z przekrzywionym

krawatem, wtórował mu. Kiedy skończyli, Rybaczyński zapłakał nagle:

— Tyle krwi, tyle krwi i po co?

Muszyna zwiesił głowę.

Ludwiś uśmiechał się zbierając ze stołu puste flaszki po piwie i talerzyki z resztkami sałatki.

W pewnej chwili wszedł do sali sierżant Olszewski. Był na służbie — pałka, pasek pod brodą, ręce założone do tyłu.

— Ciszej, ciszej, obywatele — powiedział stając przy stoliku. — Co to za śpiewy? Na ulicy słyhać.

Flacha wstał na chwiejnych nogach i kiwając się lekko zaczął wygrażać Olszewskiemu palcem.

— Ty — mówił — płatny najemnik! Ty będziesz zabraniał śpiewać narodowe pieśni?

Olszewski jeszcze był spokojny. — Obywatelu Rybaczyński, uspokójcie się — powiedział.

— Precz, precz! — zakrzyczał Flacha. Rozejrzał się po sali — wszyscy patrzyli na nich. Zza kotary wyglądali chłopcy z kuflami piwa.

— Niech żyje wolność! — krzyknął Muszyna.

— Obywatele, nie wznóście antypaństwowych haseł! — ostrzegł Olszewski.

Flacha chwycił go za klapy. — Gdzie byłeś w trzydziestym dziewiątym? Co robiłeś? Pewno z założonymi rękami patrzyłeś, jak wróg dławi ojczyznę!

Muszyna chwycił pustą butelkę po piwie, rozbił o kant stołu i szyjką zamierzył się na sierżanta. W tym momencie weszli funkcjonariusze z Komendy Wojewódzkiej. Roztrącili chłopów koło kotary. Szli przez salę wolno, nie śpiesząc się — oficer i dwóch kaprali. Muszynie opadła ręka z kogutkiem.

— Ładnie to tak, obywatelu, ładnie? — spytał oficer w skórzanej kurtce. Dwóch kaprali zatrzymało się za nim. Byli w kombinezonach przepasanych białymi pasami. Olszewski stanął na baczność.

— Obywatelu poruczniku, sierżant Olszewski z Ko-

mendy Powiatowej melduje o przebiegu zajścia. Obecni tu dwaj obywatele zakłócali spokój wznosząc antypaństwowe okrzyki.

Oficer machnął ręką. — Dowód! — powiedział do Muszyny. Jasiu Flacha zakołysał się nagle i osunął pod stół. Upadł z łoskotem. Tamci nie zwrócili uwagi.

— Dowód! — powtórzył oficer. Zbliżył się do Muszyny o krok. Dwaj kaprale postąpili za nim.

Muszyna nie protestował. Wyjął zniszczony portfel, szukał chwilę, potem podał porucznikowi legitymację w szarej okładce. Oficer spojrzął na druk. Uśmiechnął się.

— Obywatel żartuje? Prosiłem o dowód, a wy mi tutaj... Honorowy dawca krwi!

Muszyna opadł na krzesło. Siedział kołysząc głową — może chwyciły go mdłości? Przewrócił napoczętą butelkę, wódka chlusnęła na stół.

— Zabierzemy! — powiedział oficer do kaprali. Odwrócił się i zaczął iść w stronę wyjścia.

Kaprale chwycili Muszynę z dwóch stron pod ręce. Opierał się i krzyczał: — Puście! Puście!

Przed „Obywatelską” stało sporo ludzi. Zaglądali przez okna, ciekawsi stłoczyli się przy drzwiach. Cofnęli się w chwili, kiedy zza kotary wyszedł porucznik. W chwilę później kaprale wyprowadzili Muszynę na ulicę. Ludzie przyglądali się, jak wsadzają redaktora do samochodu. Był to terenowy gazik z podniesioną plandeką z tyłu. Muszyna jeszcze wyrywał się i krzyczał.

— Lenka! Lenka! — zawołał głośno.

Oglądał się, jakby szukał jej w tłumie, ale pewno nic nie widział, prócz zielonej smugi akacjowych liści nad szyldem „Obywatelska” i białych plam twarzy gapiów.

— Lenka, Lenka! — chrypiał.

Chłopi śmieli się. Muszyna kopnął któregoś z kaprali w kostkę wtedy drugi uderzył go dwa razy pałką. Dopiero wówczas redaktor spotulniał — sam postawił nogę na stopniu w kłapie gazika. Znikł w środku, kaprale

spuścili plandekę i gazik odjechał. Trochę kurzu z pobocza opadło na jezdnię, kiedy skręcali w drogę pod jesionami.

W „Obywatelskiej” sierżant Olszewski z Ludwisiem podnieśli Jasia Flachę z podłogi. Rozciął sobie brew padając. Ludzie spod restauracji rozchodzili się powoli. Ludwiś zaczął roznosić piwo. Sierżant zasiadł do pisania notatki o przebiegu zajścia. Kierownik Rybaczyński zasnął z głową na skrzyżowanych rękach. Pod stołem, koło buta sierżanta Olszewskiego, leżał aparat fotograficzny-lustrzanka.

Po ósmej, jak tylko Turoń usiadł za biurkiem, odezwał się telefon. Dzwonił sekretarz Miedza.

— Towarzyszu przewodniczący, słyszeliście nowinę? Turoń nie wiedział jeszcze nic. Zażartował:

— A co, sekretarzu, zrezygnowaliście z nowej knajpy?

— Nie zrezygnuję, nie zrezygnuję — powiedział Miedza. Głos miał inny — weselszy. Odczekał chwilę, nim dokończył: — Nie ma już tego waszego redaktora u nas. Wywieźli go.

Henryk milczał. Kiedy wchodził, wydało mu się, że Lenka ma zapłakane oczy. Stała przy oknie z chusteczką, odwróciła się, jakby chciała coś powiedzieć, ale on zaraz wszedł do gabinetu.

— Halo, towarzyszu przewodniczący! — wołał Miedza. Słysząc było oddech w słuchawce. — Spytajcie Rybaczyńskiego. Był przy nim do końca. Wiecie jaką on legitymację ludziom pokazywał?

Henryk milczał.

— Halo! — niecierpliwiał się Miedza. — Słyszycie mnie? Podobno honorowego dawcy krwi. Żadnej innej nie miał!

Henryk milczał. Miedza zawołał kilka razy: „Halo, halo, towarzyszu Turoń!”, ale przewodniczący nie odezwał się. Powoli odłożył słuchawkę. Siedział za biurkiem,

patrzył w okno. Słysząc było gwar spod budki z piwem — czasem głośniejsze powiedziane słowo, ktoś zaśmiał się. Przez plac przejechała milicyjna nyska. Głośnik na dachu zahuczał: „Piesi, pamiętajcie o białych pasach!” Może chciał wstać, zamknąć okno, wyjść? I siedział bez ruchu nad szklaną płytą.

Miedza odłożył w końcu słuchawkę. Wstał, zatarł ręce. Podszedł do okna. W parku oczyszczonym z kawek i gawronów panowała cisza. Ludzie szli chodnikami, młode kobiety popychały wózki, dzieci z przedszkola przechodziły jezdnię trzymając się za ręce. Józik uchylił drzwi warszawy — widać było nogi w sandałach wystające z wozu. Czytał pewno książeczkę z żółtym tygrysem.

Od strony rynku nadjechała milicyjna nyska. Kiedy skręcała w ulicę wysadzaną jesionami, głośnik zachrypiał: „Piesi, pamiętajcie o białych pasach!”

Ktoś uchylił drzwi do gabinetu. Miedza odwrócił się uśmiechnięty. Weszła Czesia ze szklanką gorącej herbaty. Postawiła na szklanej płycie.

— Nie za wcześnie, towarzyszu sekretarzu?

— Proszę, proszę — powiedział sekretarz.

Czesia wyszła cicho zamykając skórzane drzwi. Miedza ruszył w stronę biurka. I dopiero, kiedy schylił się, już siedząc, żeby wyjąć z teczki kanapki przygotowane przez Helenkę, spojrzał na chińską różę i spochmurniał:

— Ach te mszyce, te mszyce!

XVII. ZAMKNIĘTE OKNA

W soboty szwagier przyjeżdżał do Franka (miał IŻ-a dwieście pięćdziesiąt z przyczepą) i jechali drogą wijącą się serpentynami za miasto, nad jezioro. Czasem szwagier brał Marusia, siostrzeńca Słomkiewicza, rezolutnego chłopaczka, z którym Franek prowadził długie rozmowy.

Chłopiec miał osiem lat i chodził do drugiej klasy. Zwykle zostawał przy Franku, siedzieli niedaleko motoru ustawionego w krzakach. Ojciec chodził gdzieś dalej. Na noc rozstawiali namiot, piekli nad ogniskiem ryby, Franek ze szwagrem wypijali pół litra. Kiedy chłopiec zasypiał, już po ciemku, szli stawiać pęczki na węgorku.

Teraz, w południe, Maruś leżał obok Franka w trawie.

— Wujku — mówił — czy ty chociaż masz pozwolenie na łowienie ryb?

Franek i szwagier łowili bez kart. Dlatego obaj, co pewien czas, patrzyli niespokojnie, czy ktoś brzegiem nie nadchodzi. Łowili ryby osobno i gwizdem dawali sobie znać, w razie niebezpieczeństwa.

— Nie mam — powiedział Franek.

— A gdyby tak — mówił chłopiec (leżał na brzuchu, w wysokiej trawie i widział tylko długie łodygi na tle nieba, jak kołyszą się poruszone wiatrem i plecy wuj-

ka Franka siedzącego nad kijem) — przyszła kontrola i spytała, czy masz kartę, to co powiesz?

— Że mam, jasne, tylko zostawiłem w domu.

— Skłamałbyś — powiedział chłopiec.

Franek obejrzał się: — Skłamał, skłamał! A co miałbym robić? Płacić mandat, oddać wędki, ryby i tak dalej? Co ty, Maruś? Za kogo ty mnie masz?

Chłopiec pomilczał chwilę, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią. Franek zaciął wędkę, ale była tylko nieduża ukleja, którą wrzucił z powrotem do wody.

— A gdyby ci chcieli zabrać ryby? — spytał mały.

— No, może poprosiłbym — mówił Franek nawlekając rosówkę na haczyk — żeby nie zabierali, bo moja chora żona bardzo lubi ryby i czeka, że coś przywiezie.

— Oj, wujku, wujku — powiedział chłopiec — ty przecież nie masz chorej żony w domu. W ogóle nie masz żony! — Zaśmiał się cicho.

Franek odwrócił się: — Maruś, czy jak nie będziesz miał odrobionych lekcji, to powiesz pani, że nie odrobiłeś, czy że zapomniałeś zeszytu?

Chłopiec milczał. Franek odczekał chwilę:

— Powiedziałbyś, że zapomniałeś zeszytu, prawda? W życiu trzeba mówić tak, jak pasuje, a myśleć... Myśleć, to możesz sobie co chcesz.

Z cypla, na którym łowił ojciec chłopca, sto metrów od miejsca, gdzie siedzieli Franek z Marusiem, rozległ się krótki gwizd. Franek zerwał się i szybko schował wędkę pod krzak dzikiej róży. Wsunął tam także siatkę z rybami. Położył się na wznak obok swojej laski. Patrzył w niebo.

Chłopiec usiadł w wysokiej trawie. Przyglądał się dwum wędkarzom, którzy przeszli obok w milczeniu. Franek leżał jeszcze kilka minut — pewno nie chciało mu się wstawać. Naokoło, jak do snu, grały koniki polne. Wysoko, na błękitnym niebie, zataczał koła jastrząb.

— Ja tam wolałbym mówić zawsze to, co myślę — odezwał się Maruś. — Nawet w szkole.

Franek westchnął nie otwierając oczu. Powiedział: — Gówniarz jesteś, Maruś. Daleko nie zajechałbyś taką metodą. Najwyżej, ot, tam, pod wodę — machnął ręką.

— To znaczy, że mam kłamać?

— Kłamać, kłamać! — zdenerwował się Franek. — Co ty tak do tego kłamania przyczepiłeś się? — Uniósł się na łokciu i spojrzał na chłopca: — Mówić! Mówić, rozumiesz? Powiedzieć możesz wszystko, od tego są słowa. A o to, co sobie myślisz, nikt cię nie będzie pytał. To nie ma żadnego znaczenia. Pamiętaj. — I Franek z powrotem położył się na wznak.

Dyrektor Gniazdowski wracał wcześniej przez park. Było dopiero w pół do pierwszej — miał wrócić do domu o czwartej (rozpoczętą operacją trzeba było przerwać — pacjent zmarł). Niedaleko pomnika Kościuszki (naczelnik z umęczoną twarzą, szabla biała od ptasiego kału) w tłumie dzieci i nianiek z wózkami zauważył swoją żonę Krystynę obok magistra Leluchowicza. Szli między ławkami — Leluchowicz coś opowiadał, Krystyna śmiała się. Niosła siatkę z produktami, widocznie spotkała magistra wracając z rynku. Doktor zwolnił kroku. Nie mógłby pewno wyjaśnić dlaczego. Wystarczyło przecież dogonić tamtych, przywitać się, zażartować.

— Oj, magistrze, magistrze! — pogrozić palcem.

A on szedł za nimi wolno, przystawał, kiedy zwalniali, czekał. Widział, jak Leluchowicz wziął Krystynę pod rękę, pochylił się, coś szeptał. Kobieta śmiała się, wolną ręką poprawiała kasztanowe włosy. Może nie mógł uwierzyć? Jego Krystyna — ta, która codziennie rano wstawiała, żeby zaparzyć kawę, starannie układała plasterki szynki na półmisku, denerwowała się, że nie ma w masarni wołowiny — szła teraz obok Leluchowicza jakaś inna, szczuplejsza, zgrabna, zupełnie jak młoda dziewczyna. Widział: niebieską sukienkę w żółte i białe kwiaty, kasztanowe włosy, gest uniesionej ręki.

Minęli park, później skręcili w stronę zamku. Nim przeszli jezdnię, stali chwilę blisko siebie — kobieta patrzyła na zegarek, Leluchowicz widocznie nie ustępował. Doktor odczekał dwie minuty, potem poszedł za nimi. Ostrożnie, przystając za drzewami, doszedł do krawędzi skarpy. Nie widział nawet, jak Krzywy Stefan (pasł obok ruin krowę) zdejmował przed nim czapkę.

W dole, na pniu wyrzuconym na brzeg, siedziało tamtych dwoje. Gniazdowski stał mrużąc oczy przed odbłaskiem słońca od rzeki. Widział, jak Leluchowicz położył rękę na ramieniu Krystyny, przyciągnął kobietę bliżej. Gniazdowski oparł się o pień wielkiej topoli rosnącej nad urwiskiem, potem usiadł na trawie. Teczkę położył obok. Zdjął okulary, żeby przetrzeć chusteczką i wtedy rzeka, wzgórze po drugiej stronie, niebieska sukienka Krystyny — wszystko zlało się w jedną jasną plamę. Kiedy znów włożył okulary, nie zmieniło się nic: siedzieli na pniu, torba ze sprawunkami leżała obok. Płynęła rzeka.

Krzywy Stefan z szacunkiem patrzył na dyrektora Gniazdowskiego. Myślał może, że doktor odpoczywa? Łańcuch na szyi krowy podzwaniał cicho. Słychać było turkot wozów na moście.

Gniazdowski położył się na wznak. Może poczuł się źle? Stefan widział, jak rozpiął kołnierzyk białej koszuli. Prawą ręką badał puls w przegubie lewej. Widział pewno niebo nad koroną topoli, wolno płynęły obłoki.

Minęło pięć minut. Doktor usiadł z wysiłkiem — popatrzył w dół, ale na pniu nie było nikogo. Uniósł się, żeby spojrzeć na ścieżkę niżej — myślał może, że już wracają? Była pusta. Wtedy popatrzył na długi, ciągnący się brzegiem pas wiklinowych zarośli i tam mogła mu mignąć niebieska sukienka. Jakby niezapominajki rosły w wiklinach. A może widział tylko rzekę między zielonymi gałązkami? Pusty pień leżał samotnie. I znów zdjął okulary, a woda, wzgórze po tamtej stronie, wikliny

z plamą niezapominajek — wszystko stopiło się w jedno jasne tło. Siedział tak — pochylony do przodu, żdźbła trawy przylepione do marynarki, rzucona obok teczka i patrzył nieruchomo w tę jasność.

Krzywy Stefan chodził niedaleko ciągnąc na łańcuchu krowę. Nie śmiał podejść do dyrektora Gniazdowskiego. Z daleka patrzył tylko z szacunkiem.

Jeszcze było słońce w oknach Prezydium, kiedy Rybaczyński wyszedł z „Obywatelskiej”. Stał na niepewnych nogach pod akacją — kiwał się w tył i przód. Patrzył nieruchomo przed siebie. Miał spocone czoło. Staszek Okrasa i Lewandowski szli akurat przez plac.

— O, Rybaczyński! — ucieszył się Lewandowski. — Chodź, Stasiu, może z nami wypije?

Zatrzymali się przed kierownikiem Rybaczyńskim.

— Panie Janku... — zaczął Lewandowski grzecznie, ale Flacha jakby go nie poznał. A może wziął za kogo innego? Stał kiwając się w tył i przód, oczy miał nieruchome.

— Panie Janku, może razem coś tego?

Rybaczyński nie odpowiadał. Twarz miał zmienioną, czoło pokryte potem i te nieruchome oczy.

— Panie Janku — powtórzył Lewandowski jeszcze raz — chłopaków pan nie poznaje, jak Boga kocham! — Zaśmiał się, ale kierownik milczał. Jakby ogłuchł nagle.

— Zostaw go — odezwał się Staszek Okrasa. — On już swoje wypił!

Rybaczyński odepchnął Lewandowskiego niespodziewanie mocno i odszedł. Zatoczył się, ludzie ustępowali mu z drogi. Porządkowi patrzyli za nim zdziwieni.

— Widziałeś, Stasiu? Taki zmieniony i te oczy w ślup!

— Dobrze musiał tego! — powiedział Staszek Okrasa z uznaniem i kantem dłoni uderzył w szyję.

Weszli do „Obywatelskiej”.

Renata wstąpiła do restauracji wracając z Domu Kultury. Chciała kupić papierosy — sklepy były pozamykane. Koło bufetu chwycił ją pod rękę pijany kierowca Waldek (jeździł starem — wywrotką w POM-ie). Był także Zenek Lewandowski i pijany Mierzejewski. Zaproсили Renatę do stolika. Wymawiała się, że późno, ale w końcu uległa i wypłała dwie setki. Kierowca Waldek przysunął krzesło bliżej — spróbował Renatę objąć. Z początku odpychała go — później (wódka zatarła twarze mężczyzn przy stoliku) zgodziła się na wszystko. Gruba ręka kierowcy błędziła po ciepłych udach.

Mierzejewski opowiadał kawały, Zenek Lewandowski śmiał się głośno. Przysiadł się na chwilę Staszek Okrasa, później ktoś go odwołał.

— Pani Renatko — szeptał kierowca Waldek — ja pani zafunduję wycieczkę do Bułgarii.

— Już wolę na księżyc, panie Waldku — śmiała się Renata. Poklepywała Waldka po policzku.

Mierzejewski dolewał do butelki. Waldek złapał kelnera Ludwisia za rękaw — zamówił jeszcze pół.

Wyszli z restauracji po dwudziestej czwartej — plac był pusty, w domach pogasły światła. Mierzejewski z Zenkiem odeszli podtrzymując się i zataczając. Kierowca Waldek pociągnął Renatę do bramy — weszli w czarny tunel, potem wyszli na małe podwórze między parterowymi oficynami. Renata była pijana.

— Walduś, Walduś! — Klepała kierowcę po policzku.

Mężczyzna rozejrzał się — tylko jedno okno (zasłonięte firanką) rzucało kwadrat światła na bruk. Pod płótem, w kącie podwórza, leżała sterta koksu. Tam pociągnął Renatę.

— Walduś, Walduś — mówiła.

Chwycił kobietę w pół i przewrócił. Renata jakby oprzytomniała na chwilę — zaczęła Waldka odpychać. Zwalił się na nią ciężko, sapał, podkasywał sukienkę. Krzyknęła — wtedy zatkał jej usta dużą, spoconą ręką.

Niedawno spadł deszcz — koks był mokry. Pewno czuła przez sukienkę szorstkie kawałki na plecach. Ręka kierowcy była słona. Słyszała, jak koks sypie się naokoło i coraz głośniejszy oddech mężczyzny.

Potem, w zmiętej sukience z czarnymi plamami na plecach, z kosmykami włosów na czole, wracała przez puste miasto. Nie było nikogo — nawet Olszewski skończył obchód. Przysiadła na wilgotnej ławce w parku, niedaleko pomnika Kościuszki. Siedziała ze skrzyżowanymi ramionami — na gołych rękach wystąpiła gęsia skórka. W świetle latarni krople deszczu błyszcząły na liściach. Poczwała zimną kroplę na szyi, jak ukłucie szpilki.

Może wtedy usłyszała pod nogami skrzek — coś otarło się o jej stopę? Schyliła się i wzięła na ręce małego rudego kotka. Był cały mokry — miał zlepione deszczem futerko. Drżał z zimna i cienko skrzeczał.

— Mój mały — powiedziała Renata. Zaczęła chuchać w rozłożone dłonie. Czuła, jak powoli mokre kocie przestaje dygotać. Zamruczało niespodziewanie głośno.

Wtedy wstała i zaczęła iść w stronę bliskiego domu (z okien mieszkania Leluchowiczów widać park). Trzymała złożone ręce przed sobą — starała się nie potknąć. Brudna sukienka przykleiła się do jej nóg, kosmyki włosów lepiły do czoła. Szła pustą ścieżką między drzewami. Naokoło z szelestem spadały duże krople.

Nowy przewodniczący, Krasula Marian, przyjechał do nas niedawno. Zaraz po ostatnim zebraniu w Prezydium, na którym zapadły ważne dla miasta decyzje.

Budowę skoczni narciarskiej i boiska dla młodzieży, odłożono na lata przyszłe. Za to przy drodze w góry, koło mostu, ma stanąć luksusowa restauracja — kto wie, może kategorii „S”? Lokal (pewno znajdzie się miejsce na kilka gościnnych pokoi — a więc motel, motel!) będzie ważnym ogniwem, jak powiedział na zebraniu towarzysz Miedza, na drodze do rozbudowy bazy turystycznej.

tycznej i gastronomicznej naszego powiatu.

Budki z piwem postanowiono nie likwidować.

— Jest piwo, jest miejsce — mówił sekretarz — komu ta budka przeszkadza? Pije, kto chce, kto nie chce, nie pije. Jasne!

Obecni przyklasnęli trafnej opinii.

Major Popielak także wychodził z zebrania zadowolony. Zdołał przekonać towarzyszy radnych i uzyskać zgodę na radiofonizację naszego miasta. Megafony zostaną założone na co trzecim słupie trakcji oświetleniowej. Studio — w budynku Komendy. W ciągu dnia nadawane będą pogadanki z zakresu przestrzegania przepisów o porządku w miejscach publicznych, w sprawie poruszania się na ulicach i drogach, a także wybrane audycje radiowe. Wieczorem — muzyka z płyt.

Prezes Koła Łowieckiego, nauczyciel Szelaż, wystąpił z projektem zorganizowania masowej akcji tępienia bezpańskich psów i kotów, które ostatnio rozmnożyły się niebezpiecznie. Do akcji tej należałoby wciągnąć młodzież szkolną oraz wszystkich chętnych obywateli. Ze względu na późną porę (zebranie przeciągnęło się do piątej po południu, a nauczyciel zabrał głos, jako jeden z ostatnich) — sprawa ma być szczegółowo omówiona na najbliższym nowym zebraniu Rady.

Wszystkim tym projektom przeciwstawiał się dawny przewodniczący Turoń Henryk. Jako jedyny „przeciw”, wobec pozostałych „za”, został jednak przegłosowany.

Nowy przewodniczący, Krasula Marian, jest człowiekiem zupełnie innego pokroju. Ludzki, życzliwy dla otoczenia — umie z ludźmi żyć. W obecności sekretarza Miedzy uśmiecha się i zgadza na wszystko. Najczęściej milczy. Jest przy tym człowiekiem wykształconym — skończył zaocznie Wydział Prawa na najmłodszym uniwersytecie w kraju. Ma tytuł magistra.

Przed dwunastą skończyli znosić meble. Ciężarówka stała załadowana: z prawej strony szafa z lustrem, po

środku tapczan, z lewej biały, kuchenny kredens. Łóżecko Małgosi, krzesła i dwa stoły położono na tapczanie. Wózek przywiązali sznurkami.

Myszka sama zniosła kwiaty: pelargonie, aloes w dużej donicy, trzykrotki z białymi kołnierzykami na liściach. Ustawiała wszystko przy kłapie, obok krzesła, na którym miał siedzieć Turoń. Ona, z dziećmi, w szoferce.

— Uważaj, Henryku, na kwiaty — powiedziała. Miała trochę zacerwienione oczy. Na schodach przystawała czasem zdyszana, patrzyła przez okno na rzekę płynącą na tle świerkowych wzgórz. Widziała także wieżę kościoła z blachą jasną od słońca. Naokoło ciężarówki biegała gromada dzieci.

Przyszła pani Wilczyńska (żona urzędnika z Rady) z wielką papierową torbą.

— To na drogę, pani Myszeko. Trochę ciasta upiekłam, pierożki dla Małgosi.

Mała, z pluszowym misiem, biegła akurat na dół. Pani Wilczyńska odwróciła głowę. Objęły się z Myszką i ucałowały.

Ludzie nie wiedzieli nawet, dokąd stary przewodniczący jedzie? Mówili różnie: jedni, że do centrali, inni wspominali o Ziemiach Zachodnich. Kiedy wyjeżdżali z miasta, Józik był akurat u sekretarza w gabinecie. Zobaczył ciężarówkę z meblami przez okno.

— Turonie wyjeżdżają — powiedział.

Miedza podniósł się zza biurka, popatrzył. Józik opowiadał potem, że sekretarzowi twarz zmieniła się (warga mu podskoczyła, jakby skurczu dostał): — Mącił, kopał, to i wyjeżdża — powiedział podobno. I dodał z tą zmienioną twarzą: — Chrystusek!

Reniek z Baską czekali na pierwszą gwiazdę. Naokoło wysokie chwasty kołysały się w podmuchach wieczornego wiatru. Pachniało skoszoną za murem trawą. Czasem to pole rosnące na skraju cmentarza chyliły lekko korony.

Słyszeli wtedy szelest liści. Baśka nagle przytuliła się do chłopca.

— Reniu, boję się — powiedziała.

— Czego? — próbował się zaśmiać. Poglądził dziewczynę po włosach, objął mocniej.

— Ktoś tu idzie.

— Głupia! Nikogo nie ma.

Słuchali. Od miasta niosły się dalekie głosy — czyjś śpiew, krzyk dzieci, klaksony samochodów. Blżej, z pola, wiatr przyniósł porykiwanie bydła. Grały naokoło świerszcze. Topole szeleściły sennie.

— Nikogo nie ma, Basiu — powtórzył chłopak.

Wtedy powiedziała: — Czasem tak straszno. Żyjemy, żyjemy, a potem takie chwasty wyrosną. — Dotknęła wysokiego źdźbła.

Reniek nie odpowiedział. Wyciągnął rękę — między konarami topoli zamigotała pierwsza gwiazda. Jak świeczka zapalona wysoko.

Stolarz Groszek wyszedł na próg. Było późno — w oknach sąsiednich domów pogasły światła. Ledwo widział zarysy morelowych drzewek, płot i ścieżkę między rabatkami. Obszedł dom naokoło. Przystawał co pewien czas, jakby nasłuchiwał. Zaglądał za krzaki porzeczek pod oknami, stał chwilę przy jaśminach. Świecił latarką, kilka razy powiedział coś półgłosem. Było cicho, tylko za miastem czekały psy. Stary oparł się o pień orzecha. Słyszał szelest liści, przez gałęzie przeświecały gwiazdy.

Wrócił wolno do drzwi, obejrzał się jeszcze raz, poświecił w ciemność latarką. Wytarł starannie nogi, zamknął drzwi. Słyszał było, jak zachrobotał klucz w zamku, zgrzytnęła sztaba.

Groszkowa już leżała w pokoju obok stołowego. Siwe włosy miała rozpuszczone, uniosła się na łokciu przytrzymując połę kołdry.

— Jańciu, na litość boską, po co ty to robisz? Przestraszyłam się, jak w szyby zaświeciłeś.

Stary w milczeniu sprawdzał, czy okna w stołowym pozamykane. Dokładnie zaciągnął firanki i zasłony. Uważał, żeby najmniejsza szparka nie została. Wszedł po chwili do pokoju, w którym leżała Groszkowa.

— Przecież nawet tego wychodka nie postawili. Zapomnij już o nich.

Stolarz milczał. I tu podszedł do okna. Sprawdził, czy jest zamknięte, zasunął firankę.

— Choć jedno na noc zostawiłbyś otwarte. Udusić się można. Co będzie, jak przyjdą upały?

Groszek nie odpowiadał. Wolno zaczął zdejmować marynarkę — powiesił na oparciu krzesła, potem usiadł, żeby rozsznurować buty. Groszkowa patrzyła na siwą głowę męża, zgarbione plecy. Spodnie miał na szelkach. Westchnęła i położyła się z powrotem.

Lenka przechodziła koło „Obywatelskiej” (chodziła teraz ostrożnie, z dużym, wypiętym brzuchem), kiedy wytoczyli się pijani goście. Dwóch podtrzymywało trzeciego — stanęła przestraszona, że mogą potrącić. Pijany leciał tamtym przez ręce, bełkotał, rzucał głową na boki. Kapelusz spadł na chodnik i potoczył się pod nogi Lence. Schyliła się z wysiłkiem — to był zielony, tyrolski kapelusz. Na denku zostały ślady błota. Kolega pijanego (tęgi, czerwony na twarzy) podchodził uśmiechnięty. Rozkładał ręce, jakby chciał objąć Lenkę. Oddała kapelusz bez słowa i odeszła szybko.

Mogła jeszcze spojrzeć na pijanego przechodząc — stał pod murem z tą latającą głową, ślina ciekła mu z ust, bełkotał. I pewno był w zielonym, ortalionowym płaszczu (tak ubranych mężczyzn spotyka się u nas często), tylko twarz miał obcą. Czerwony wciskał mu kapelusz na oczy.

Później siedziała nad rzeką, na pniu starej wierzby. Często tu teraz przychodziła. Ostrożnie, kołyszac dużym brzuchem, schodziła z wysokiej skarpy. Nie było już gęsi

na łąkach i arniki zwiędły dawno. Wzgórza na drugim brzegu nikły w przedwieczornej mgle. Teraz, jesienią, tam gdzie rosły buki, widać było brąz liści, jakby drzewa stały przyprószone rdzą. Słyszała kopyta koni na asfalcie, błyskały światła samochodów. Lenka siedziała nieruchomo, podpierając brodę rękami. Czasem wsuwała dłoń w szczelinę płaszcza — kładła na ciepłym brzuchu i czuła, jak dziecko kopie nóżkami. Może uśmiechała się wtedy po ciemku?

Marzec-grudzień 1971

SPIS ROZDZIAŁÓW

I.	— <i>Honorowy dawca krwi</i>	7
II.	— <i>Bardzo przepraszam, panno Lenko!</i> ..	29
III.	— <i>Święty Józef na szpilce</i>	39
IV.	— <i>Dyrektor Gniazdowski</i>	51
V.	— <i>Sto lat, sto lat!</i>	57
VI.	— <i>Obywatelu Groszek, pozwólcie!</i>	71
VII.	— <i>Obuchem go, obuchem!</i>	76
VIII.	— <i>Panie Janku, co się z panem dzieje?</i> ..	89
IX.	— <i>Ty nam błogostaw</i>	100
X.	— <i>Duży, drewniany krzyż</i>	107
XI.	— <i>Szalet w morelowych drzewkach</i>	119
XII.	— <i>Świetliki</i>	127
XIII.	— <i>Bracia Monopolanie</i>	135
XIV.	— <i>Gdzie jest Lenka?</i>	145
XV.	— <i>Zapach czosnku</i>	152
XVI.	— <i>Tak będzie lepiej</i>	159
XVII.	— <i>Zamknięte okna</i>	167

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 6 FEVRIER 1973
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1973

Imprimé en France.

F. 20 (dol. 4,50; Ł. 1,75)